U. I. C. C.
APR 24 1978
LIBRARY

12

TWÓRCZOŚĆ

GRUDZIEŃ 1951 ROK

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK

ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK VII ZESZYT 12

WARSZAWA GRUDZIEŃ 1951

Okładkę projektował Henryk Tomaszewski
Druk. Zakłady Graficzne i Wydawnicze „Dom Słowa Polskiego", Warszawa
Zamówienie 2449 z dn. 6.10.51 r. nakł. 6685. Druk ukończono 7.XII.1951 r. 2-B-46708

ZEF STALIN

List do tow. Demiana Biednego

Drogi Demianie!

Piszę do Was z dużym opóźnieniem. Macie prawo mnie kląć. Ale musicie ziąć pod uwagę, że jestem niezwykłym leniem, jeśli chodzi o listy i w ogó- o korespondecję.

Odpowiadam punktami.

1. To bardzo dobrze, że jesteście w „radosnym nastroju". Filozofia „kos- icznego smutku" — to nie nasza filozofia. Niechaj smucą się ci, którzy ydają ostatnie tchnienie i których czas przemija. Naszą filozofię dość afnie wyraził Amerykanin Whitman: „Jesteśmy żywi, nasza krew szkar- na goreje ogniem niewyżytych sił". Tak jest, Demianie.

2. „I ludzi boję się obrazić, i leczyć się trzeba" — piszecie. Moja rada: piej obrazić kilkoro pragnących Was widzieć towarzyszy i towarzyszek, nie leczyć się według wszelkich zasad sztuki. Leczcie się, leczcie, ko- ecznie się leczcie. Nie obrazić odwiedzających — to interes chwili. Tro- eczkę ich obrazić gwoli gruntownego leczenia — to już interesy o trwal- ym zasięgu. Oportuniści tym właśnie różnią się od swych antypodów, interesy pierwszego rodzaju stawiają ponad interesami drugiego rodza- Z pewnością nie będziecie naśladować oportunistów.

3. „W nutkach amnestyjnych Waszego referatu dla sekretarzy komitetów wiatowych*) taiła się pewna przebiegłość" — piszecie. Słuszniej byłoby wiedzieć, że jest w tym p o l i t y k a, która, ogólnie rzecz biorąc, nie wy- ucza również pewnej przebiegłości. Sądzę, że p o t y m, gdyśmy dosz- tnie rozbili przywódców opozycji, my, tj. partia, powinniśmy złagodzić w stosunku do szeregowych i średnich opozycjonistów, aby ułatwić im ejście od przywódców opozycji. Pozostawić generałów bez armii — w tym a rzecz. Opozycja ma w partii ze czterdzieści — pięćdziesiąt tysięcy dzi; większość z nich chciałaby porzucić swych przywódców, lecz prze- adza im własna ambicja lub gruboskórność, buta niektórych zwolenni- w KC, dręczących szeregowych opozycjonistów wtykaniem szpileczek rzez to hamujących ich przejście na naszą stronę. „Ton" mego referatu racał się przeciwko takim zwolennikom KC. Tak i tylko tak można zli- idować opozycję po tym, gdy jej przywódcy zostali skompromitowani ed całym światem.

4. „Czy nie zawiedzie nas urodzaj" — pytacie. Już nas troszeczkę zawiódł. roku ubiegłym zebraliśmy (plon globalny) z górą dwa miliardy siedemset lionów; w tym roku zapowiada się o jakieś 200 milionów mniej. Jest to, ywiście, cios w eksport. Gospodarstw dotkniętych nieurodzajem jest teraz prawda pięć razy mniej niż w roku 1921 i bez szczególnych wysiłków łamy uporać się z tym złem własnymi siłami. O tym możecie nie wątpić. tak czy owak, cios pozostaje ciosem. Zresztą każde zło ma swoją dobrą onę. Postanowiliśmy wykorzystać to, że chłopi przejawiają teraz wzmożoną

*) Patrz J. Stalin: Dzieła, tom 6, str. 238—264. — *Red.*

gotowość uczynienia wszystkiego, co możliwe, by zabezpieczyć się n przyszłość przed niespodziankami posuchy, i postaramy się jak naj pełniej wykorzystać tę gotowość do zrealizowania (wraz z chłopstwem) sta nowczych posunięć w dziedzinie melioracji, podniesienia kultury rolnictw itd. Zamierzamy rozpocząć od utworzenia klina melioracyjnego w stre fie Samara — Saratów — Carycyn — Astrachań — Stawropol. Klin te stanowi minimum tego, co niezbędne. Odkładamy na to jakieś piętnaście – dwadzieścia milionów. W następnym roku przejdziemy do guberni południo wych. Będzie to początek rewolucji w naszym rolnictwie. Miejscowi ludzi powiadają, że chłopstwo wydatnie nam pomoże. Póki grom nie uderzy, chło się nie przeżegna. Okazuje się, że potrzebny jest bicz posuchy, by podnieś rolnictwo na wyższy szczebel i zabezpieczyć kraj na zawsze przed niespo dziankami pogody. Kołczak nauczył nas organizować piechotę, Denikin – organizować kawalerię, posucha uczy nas organizować rolnictwo. Takie s drogi historii. I nie ma w tym nic nienaturalnego.

5. „Przyjeżdżajcie“ — piszecie. Niestety, nie mogę przyjechać. Nie mog bo nie mam kiedy. Radzę Wam wybrać się na „szwędanie się po Baku“ — t konieczne. Tyflis nie jest tak ciekawy, chociaż na pozór ma więcej uroku ni Baku. Jeżeli nie widzieliście jeszcze lasów naftowych wież wiertniczych, t „nie widzieliście nic“. Jeszcze nie minął. Przemówienia i de baty na V Kongresie — to rzecz oczywiście dobra, ale właściwie jest t tylko dekoracja. O wiele ciekawsza jest przyjacielska pogawędka z de legatami Zachodu (jak również Wschodu), którą prowadziliśmy tu wszyscy Ja miałem długą rozmowę z robotnikami niemieckimi, francuskimi, polskim Wspaniały „materiał“ rewolucyjny! Wszystko wskazuje na to, że tam, na Za chodzie, rośnie nienawiść, prawdziwa rewolucyjna nienawiść do ustroju bur żuazyjnego. Z radością słuchałem ich prostych, ale mocnych słów o pragnie niu „urządzania rewolucji na rosyjski wzór“ u siebie w domu. To są now robotnicy. Takich jeszcze na naszych kongresach nie było. Oczywiście do re wolucji nie jest jeszcze tak blisko, ale że idzie ku rewolucji — o tym możn nie wątpić. Uderzyła mnie jeszcze jedna cecha tych robotników: gorąc i mocna, niemal macierzyńska miłość do naszego kraju i ogromna, nieogra niczona wiara w słuszność polityki naszej partii, w jej zdolności, w jej po tęgę. Z niedawnego sceptycyzmu nie pozostało ani śladu. To również n jest przypadkiem. To też jest oznaką narastania rewolucji.

Tak jest, Demianie.

No, na razie wystarczy. Ściskam mocno dłoń

15.VII.24 r. Wasz J. Stalin

J. Stalin. Dzieła, tom VI.

---

*) Chodzi o wiersz pt. Tara — *Red. przekł. polsk.*

W odpowiedzi Bill-Biełocerkowskiemu

Tow. Bill-Biełocerkowski!

Odpisuję z dużym opóźnieniem. Lepiej jednak późno niż nigdy.

1) Uważam za niesłuszne samo postawienie zagadnienia „prawicowców" „lewicowców" w literaturze pięknej (a zatem również w teatrze). Pojęcie „prawicowości" czy „lewicowości" jest obecnie w naszym kraju pojęciem partyjnym, ściślej — wewnątrzpartyjnym. „Prawicowcy" czy „lewicowcy" — to ludzie odchylający się w tę czy inną stronę od właściwej linii partyjnej. Dlatego dziwne byłoby używanie tych pojęć w dziedzinie tak niepartyjnej bez porównania szerszej, jak literatura piękna, teatr itp. Pojęć tych można jeszcze użyć w odniesieniu do takiego czy innego partyjnego (komunistycznego) kółka literatów. Wewnątrz takiego kółka mogą być „prawicowcy" „lewicowcy". Jednakże używać tych pojęć w literaturze pięknej na obecnym etapie jej rozwoju, gdy istnieją rozmaite nurty aż do antyradzieckich wręcz kontrrewolucyjnych włącznie — znaczy to wywracać wszystkie pojęcia do góry nogami. Najsłuszniej byłoby operować na gruncie literatury pięknej kategoriami k l a s o w o ś c i lub nawet takimi kategoriami, jak „radziecki", „antyradziecki", „rewolucyjny", „antyrewolucyjny" itd.

2) Z powyższego wynika, że nie mogę uważać „gołowanowszczyzny" *) ani za niebezpieczeństwo „prawicowe", ani za „lewicowe" — zjawisko to leży poza obrębem kierunków partyjnych. „Gołowanowszczyzna" jest zjawiskiem antyradzieckim. Oczywiście nie wynika z tego, że sam Gołowanow nie może się zmienić na lepsze, że nie może wyzbyć się swoich błędów, że trzeba go prześladować i szczuć nawet wówczas, gdy gotów będzie wyrzec się swych błędów, że należy zmusić go w ten sposób do ucieczki zagranicę.

Albo na przykład U c i e c z k a Bułhakowa, której również nie można uważać ani za przejaw niebezpieczeństwa „lewicowego", ani „prawicowego". U c i e c z k a jest to próba wzbudzenia litości, jeśli nie sympatii, dla pewnych warstw antyradzieckiej emigracji — a zatem próba usprawiedliwienia lub półusprawiedliwienia białogwardyjszczyzny. W obecnej swojej postaci U c i e c z k a jest zjawiskiem antyradzieckim.

Nie miałbym zresztą nic przeciwko wystawieniu U c i e c z k i, gdyby Bułhakow do swoich ośmiu snów dodał jeszcze jeden czy dwa sny, w których ukazałby wewnętrzne społeczne sprężyny wojny domowej w ZSRR, aby widz mógł zrozumieć, że wszyscy ci na swój sposób „uczciwi" Serafimowie i wszelkiego rodzaju prywatdocenci zostali wyrzuceni z Rosji nie z kaprysu bolszewików, lecz dlatego że (mimo swojej „uczciwości") siedzieli ludowi na

*) „Gołowanowszczyzna" polegała na usiłowaniach pewnej części pracowników teatru przeniesienia do teatru radzieckiego starych, burżuazyjnych obyczajów i metod pracy. W latach 1926—1928 grupa artystów Teatru Wielkiego z dyrygentem Gołowanowem na czele występowała przeciwko odnowieniu repertuaru i stworzeniu repertuaru nowego, odpowiadającego zwiększonym wymaganiom szerokich mas pracujących i zadaniom budownictwa socjalistycznego. Grupa ta przeciwstawiła siebie zespołowi teatru i sprzeciwiała się wysuwaniu młodych sił artystycznych. Podjęte przez partię środki w dziedzinie przebudowy pracy teatru radzieckiego zapewniły przezwyciężenie „gołowanowszczyzny". — *Red.*

karku i że bolszewicy wypędzając precz owych „uczciwych“ zwolenników wyzysku spełniali wolę robotników i chłopów, postępowali przeto bezwzględnie słusznie.

3) Dlaczego tak często wystawia się sztuki Bułhakowa? Zapewne dlatego, że za mało jest nadających się do wystawienia naszych sztuk. Na bezrybiu nawet Dni Turbinych są rybą. Oczywiście bardzo łatwo jest „krytykować“ i żądać zakazu w stosunku do literatury nieproletariackiej. Ale tego, co najłatwiejsze, nie należy jeszcze uważać za najlepsze. Chodzi tu nie o zakazy, lecz o to, by krok za krokiem wypierać ze sceny starą i nową nieproletariacką makulaturę w drodze współzawodnictwa, w drodze tworzenia mogących ją zastąpić prawdziwych, ciekawych, artystycznie wartościowych sztuk o charakterze radzieckim. Współzawodnictwo zaś — to sprawa wielka i poważna, gdyż tylko w warunkach współzawodnictwa można będzie osiągnąć ukształtowanie się i skrystalizowanie naszej proletariackiej literatury pięknej.

Co się tyczy specjalnie sztuki Dni Turbinych, jest ona nie taka znowu zła, przynosi bowiem więcej korzyści niż szkody. Nie zapominajcie, że zasadnicze wrażenie, jakie pozostawia widzowi ta sztuka, jest dla bolszewików korzystne: „Skoro nawet tacy ludzie jak Turbinowie muszą złożyć broń i ulec woli ludu, uznając swoją sprawę za całkowicie przegraną — to znaczy, że bolszewicy są niezwyciężeni, że na bolszewików nie ma już rady“. Dni Turbinych są demonstracją niezwyciężonej siły bolszewizmu.

Oczywiście autor bynajmniej nie ponosi „winy“ za tę demonstrację. Lecz cóż to nas obchodzi?

4) To prawda, że tow. Świderski popełnia ustawicznie najbardziej niewiarygodne błędy i wypaczenia. Ale prawdą jest także, że Komitet Repertuarowy w pracy swej popełnia nie mniej błędów, jakkolwiek w innym kierunku. Przypomnijcie sobie Purpurową wyspę, Spisek równych i temu podobną makulaturę, nie wiadomo dlaczego chętnie dopuszczoną na scenę rzeczywiście burżuazyjnego Teatru Kameralnego.

5) Co się tyczy „pogłosek“ o „liberalizmie“, to lepiej o tym nie mówić — zostawcie zajmowanie się „pogłoskami“ moskiewskim przekupkom.

2 lutego 1929 r.

J. Stalin

J. Stalin. Dzieła, tom XI

Do tow. Demiana Biednego

Wyjątki z listu

List Wasz z 8.XII otrzymałem. Potrzebna Wam jest, jak się zdaje, moja odpowiedź. Cóż, proszę.

Przede wszystkim o niektórych Waszych drobnych i małostkowych wypowiedziach i aluzjach. Gdyby te brzydkie „drobiazgi“ stanowiły element przypadkowy, można by je było pominąć. Jest ich jednak tak wiele i tak

żywym „tryskają one zdrojem", że nadają ton całemu Waszemu listowi. A ton, jak wiadomo, decyduje o melodii.

Decyzję KC oceniacie jako „pętlę", jako znak, że „wybiła dla mnie (tzn. dla Was) godzina katastrofy". Dlaczego, na jakiej podstawie? Jak nazwać komunistę, który zamiast wniknąć w istotę uchwały KC i naprawić swoje błędy, pomiata tą uchwałą mówiąc, że jest „pętlą"?...

Dziesiątki razy KC chwalił Was, kiedy trzeba było chwalić. Dziesiątki razy KC bronił Was (nie bez pewnej stronniczości!) przed atakami poszczególnych grup i towarzyszy z naszej partii. KC upominał ostro dziesiątki poetów i pisarzy, kiedy popełniali poszczególne błędy. Wszystko to uważaliście za rzecz normalną i zrozumiałą. Kiedy natomiast KC musiał poddać krytyce Wasze błędy, nagle poczęliście parskać i krzyczeć o „pętli". Na jakiej podstawie? Czyżby KC nie miał prawa krytykować Waszych błędów? Czyżby decyzja KC Was nie obowiązywała? Czyżby Wasze wiersze były ponad wszelką krytyką? Czy nie uważacie, że zaraziliście się pewną nieprzyjemną chorobą, która zwie się „zarozumiałością"? Więcej skromności, tow. Demianie...

Na czym polega istota Waszych błędów? Polega ona na tym, że krytyka braków w życiu, obyczajach i stosunkach w ZSRR, krytyka, którą się uprawiać powinno, która jest nieodzowna, którą początkowo rozwinęliście dość trafnie i umiejętnie, poczęła Was pasjonować ponad miarę, a kiedy daliście się jej porwać, poczęła w Waszych utworach przerastać w o s z c z e r s t w o na ZSRR, na jego przeszłość, na jego teraźniejszość. Taki charakter noszą Wasze utwory Z ł a ź z p i e c a i B e z l i t o ś c i. Taki charakter nosi Wasza P e r e r w a, którą przeczytałem dziś za radą tow. Mołotowa.

Twierdzicie, że tow. Mołotow chwalił felieton Z ł a ź z p i e c a. Bardzo być może. Ja chwaliłem ten felieton może nie mniej niż tow. Mołotow, gdyż jest w nim (jak i w innych felietonach) szereg wspaniałych miejsc trafiających w samo sedno. Ale jest tam jeszcze łyżka takiego dziegciu, który psuje cały obraz i przekształca go w jedną wielką P e r e r w ę. Oto na czym polega sprawa i oto co decyduje o melodii tych felietonów.

Osądźcie sami.

Cały świat przyznaje teraz, że środek ciężkości ruchu rewolucyjnego przeniósł się z Europy zachodniej do Rosji. Rewolucjoniści wszystkich krajów z nadzieją spoglądają na ZSRR jako na ośrodek walki wyzwoleńczej mas pracujących całego świata i uznają w nim jedyną swoją ojczyznę. Rewolucyjni robotnicy wszystkich krajów jednomyślnie przyklaskują radzieckiej klasie robotniczej, a przede wszystkim r o s y j s k i e j klasie robotniczej, awangardzie robotników radzieckich, jako swemu uznanemu wodzowi, realizującemu politykę tak rewolucyjną i tak aktywną, iż stanowi ziszczenie najśmielszych marzeń, jakie kiedykolwiek snuli proletariusze innych krajów. Przywódcy rewolucyjnych robotników wszystkich krajów żarliwie studiują niezmiernie pouczającą historię klasy robotniczej Rosji, jej przeszłość, przeszłość Rosji, wiedząc, że oprócz Rosji reakcyjnej istniała też i Rosja rewolucyjna, Rosja Radziszczewów i Czernyszewskich, Żelabowów i Uljanowów, Chałturinów i Aleksiejewów. Wszystko to napawa (musi napawać) serca robotników rosyjskich uczuciem rewolucyjnej dumy narodowej, które zdolne jest poruszać góry, zdolne jest czynić cuda.

A Wy? Zamiast zdać sobie sprawę z tego doniosłego procesu w dziejach rewolucji i stanąć na wysokości zadań piewcy przodującego proletariatu odeszliście gdzieś w parów i ugrzęznąwszy w śmiertelnie nudnych cytatach z dzieł Karamzina oraz nie mniej nudnych sentencjach z Domostroju*) zaczęliście wieścić całemu światu, że Rosja w przeszłości była naczyniem ohydy i spustoszenia, że dzisiejsza Rosja jest wielką Pererwą, że „lenistwo" i dążenie do „siedzenia na piecu" są nieomal narodową cechą Rosjan w ogóle, a więc również robotników rosyjskich, którzy dokonawszy Rewolucji Październikowej oczywiście nie przestali być Rosjanami. I to się u Was nazywa bolszewicką krytyką! Nie, wielce szanowny tow. Demianie, to nie jest bolszewicka krytyka, lecz oszczerstwo na nasz naród, dyskredytowanie ZSRR, dyskredytowanie proletariatu ZSRR, dyskredytowanie proletariatu rosyjskiego.

I po tym wszystkim chcecie, żeby KC milczał! Za kogo bierzecie nasz KC?

I chcecie, żebym ja milczał z tej racji, że, jak się okazuje, żywicie dla mnie „biograficzną tkliwość"! Jakże jesteście naiwni i jak mało znacie bolszewików...

Może jako „człowiek nie ciemny" nie odmówicie wysłuchania następujących słów Lenina:

„Czy obce jest nam, świadomym proletariuszom wielkoruskim, poczucie dumy narodowej? Oczywiście, nie! Kochamy swój język i swą ojczyznę, pracujemy najwięcej nad tym, by jej masy pracujące (tj. 9/10 jej ludności) podnieść do poziomu świadomych demokratów i socjalistów. Nas boli najbardziej, kiedy widzimy i czujemy, jak carscy kaci, szlachta i kapitaliści dopuszczają się gwałtów na naszej pięknej ojczyźnie, uciskają ją i znęcają się nad nią. Jesteśmy dumni, że gwałty te wywoływały opór w naszym środowisku, w środowisku Wielkorusów, że to środowisko wydało Radiszczewa, dekabrystów, rewolucjonistów-raznoczyńców lat siedemdziesiątych, że wielkoruska klasa robotnicza stworzyła w roku 1905 potężną rewolucyjną partię mas, że wielkoruski chłop zaczął w tym czasie stawać się demokratą, zaczął obalać klechę i obszarnika. Pamiętamy, jak przed pół wiekiem demokrata wielkoruski Czernyszewski, poświęcając swe życie sprawie rewolucji rzekł: „godny pożałowania naród, naród niewolników, od góry do dołu sami niewolnicy". Jawni i zamaskowani niewolnicy — Wielkorusi (niewolnicy wobec monarchii carskiej) nie lubią wspominać tych słów. Według nas natomiast były to słowa prawdziwej miłości ojczyzny, miłości pełnej męki na skutek braku rewolucyjności w masach ludności wielkoruskiej. Wtedy tej rewolucyjności nie było. Teraz jest jej niewiele, ale już jest. Posiadamy w pełni poczucie dumy narodowej, albowiem naród wielkoruski również stworzył klasę rewolucyjną, również dowiódł, że zdolny jest dać ludzkości wielkie wzory walki o wolność i o socjalizm, a nie tylko

*) Domostroj — utwór starodawnej literatury rosyjskiej (XV — XVI w. znany w kilku redakcjach), podręcznik „sztuki kierowania domem", podręcznik moralności i „mądrości życiowej", odzwierciedlający ideologię bogatego mieszczaństwa z epoki akumulacji pierwotnej. Domostroj głosił nieograniczoną, despotyczną władzę ojca rodziny nad wszystkimi jej członkami. Zawarte w nim zalecenia moralne i życiowe odzwierciedlają wielką brutalność obyczajów, fanatyzm religijny, zabobon. — *Red. przekł. polsk.*

wielkie pogromy, las szubienic, katownie, wielki głód i wielką niewolniczą służalczość względem klechów, carów, obszarników i kapitalistów". (Patrz: Lenin, O dumie narodowej Wielkorusów).

Oto jak umiał mówić Lenin, największy internacjonalista na świecie, o dumie narodowej Wielkorusów.

A mówił tak dlatego, że wiedział, iż:

„Interes dumy narodowej Wielkorusów (rozumianej nie po lokajsku) jest zgodny z socjalistycznym interesem wielkoruskich (i wszystkich innych) proletariuszy" (patrz tamże).

Oto jasny i śmiały „program" Lenina.

„Program" ten jest w zupełności zrozumiały i naturalny dla rewolucjonistów, krwią serdeczną związanych ze swą klasą robotniczą, ze swym narodem.

Niezrozumiały i nienaturalny jest on dla wyrodków typu Lelewicza, którzy nie są związani i nie mogą być związani ze swą klasą robotniczą, ze swym narodem.

Czy można pogodzić ten rewolucyjny „program" Lenina z tą niezdrową tendencją, której dajecie wyraz w swoich ostatnich felietonach?

Niestety, nie można. Nie można, gdyż nie ma między nimi nic wspólnego.

Oto w czym rzecz i oto czego nie chcecie zrozumieć.

A zatem, powinniście powrócić na starą, leninowską drogę — mimo wszystko.

W tym sedno, nie zaś w czczych lamentach inteligenta, który stchórzył który z przestrachu plecie, że Demiana chcą rzekomo „izolować", że Demiana „nie będą więcej drukowali" itp.

12 grudnia 1930 r.

J. Stalin. Dzieła, tom XIII

J. Stalin

NARADA POŚWIĘCONA TWÓRCZOŚCI ARTYSTYCZNEJ

27.X. — 28.X.

Z przemówienia min. Jakuba Bermana

Przychodzimy na obecną naradę z niemałym dorobkiem. W ciągu pierwszych dwóch lat naszej 6-latki mamy wielkie osiągnięcia nie tylko w przemyśle i budownictwie, nie tylko w rolnictwie i komunikacji, w oświacie i nauce, ale również we wszystkich dziedzinach twórczości artystycznej — w prozie i poezji, w teatrze i filmie, w muzyce i malarstwie. Zrobiliśmy w tych dziedzinach krok naprzód, często niemały krok naprzód.

Czujemy jednak wszyscy, że twórczość artystyczna nie nadąża za rozwojem naszego życia społecznego. Mamy wciąż za mało utworów pełnowartościowych na miarę naszych czasów, wciąż za mało utworów w stosunku do liczby talentów i ich możliwości twórczych. Cały nasz kraj jest jednym wielkim placem budowy. W okresie 1949—1951 r. nasza klasa robotnicza powiększyła o milion trzysta tysięcy robotników. Nasze wyższe uczelnie zapełniły się młodzieżą robotniczą i chłopską.

Tymczasem w stosunku do twórczości artystycznej trudno oprzeć się uczuciu pewnego niedosytu. Co więcej, daje się ono zauważyć nie tylko u czytelnika, widza i słuchacza, ale i u samego twórcy. Pewnie, że nie wolno do tej sprawy podchodzić z jakąś mechaniczną miarką. Pewnie, że niełatwe jest przestawienie swej twórczości na tory realizmu socjalistycznego, że mogą być na tej drodze — szczególnie w pierwszym okresie — niepowodzenia. Tu i ówdzie wobec trudności, które trzeba pokonywać w pracy twórczej, daje się zauważyć nawet zniechęcenie i uchylanie się od aktualnej tematyki.

Niemniej, mimo niewątpliwej często dobrej woli, wyniki pracy twórczej są niekiedy niewspółmierne do wysiłków. Dlaczego tak się dzieje? Jak temu zaradzić? Pomijam w tej chwili całą problematykę związaną z warsztatem artystycznym. Najważniejsza przyczyna tkwi chyba gdzie indziej. Kto wie, czy główna przyczyna naszego nienadążania w różnych dziedzinach sztuki nie tkwi w niepełnym, nie całkowicie dojrzałym zrozumieniu i wyczuciu tego wszystkiego, co zachodzi dokoła nas, zrozumieniu najgłębszego sensu walki, która się toczy, form tej walki w aspekcie ludzkich losów, ludzkich przeżyć, ludzkich przeobrażeń. Czy aby nie w tym tkwi przyczyna schematyzmu i uproszczeń w potraktowaniu różnych tematów współczesnych i nie tylko współczesnych, przyczyna nie zawsze trafnego wyboru tematów, papierowości postaci?

Wiemy wszyscy, że treścią sztuki jest życie społeczne. Wiemy, że dzieła sztuki są trwałe i cenne wtedy, kiedy odzwierciedlają najgłębsze wewnętrzne związki i prawidłowości rozwoju życia społecznego. Jasne jest też, że twórczość artystyczna wymaga wytężonej pracy myślowej. Nie wystarczy obser-

wowanie, poznawanie życia, chwytanie życia „na gorąco". Trzeba zrozumieć sens tego, co zachodzi, a co więcej — trzeba chcieć przekształcać, przebudowywać to życie w myśl świadomej postawy ideowej twórcy-artysty.

Przyswojenie sobie zasad marksizmu-leninizmu daje niewątpliwie artyście możliwość dogłębnego zrozumienia tego, co się dzieje dookoła, odsłania mu tendencje rozwojowe naszego życia w walce ze starym. Pamiętać musimy równocześnie, że myślenie artystyczne, mieszczące się w ramach ogólnych procesów poznawczych, ma pewne cechy swoiste. Jego uogólnienia nie dadzą się oddzielić od skoncentrowanej treści, od związanych z tą treścią wyobrażeń i uczuć. Pojęcia w toku artystycznego myślenia są nierozerwalnie związane z obrazami.

Badacz radziecki Burow w swej interesującej rozprawie O gnoseologicznym charakterze uogólnienia artystycznego (ogłoszonej w ostatnim numerze *Woprosów Fiłosofii)* daje następującą definicję talentu artystycznego: w zdolności konkretnego (obrazowego) odtwarzania treści, pojęć i myśli ze świeżością i wyrazistością, właściwą wyobrażeniom, w powstawaniu skojarzeń, w których wykorzystuje się całe doświadczenie życiowe artysty, w tym właśnie mieści się najistotniejsza właściwość talentu artystycznego.

A więc o pracy twórczej artysty decyduje znajomość życia, rozumienie życia, cały zasób doświadczenia życiowego artysty, pasja docierania do prawdy, postawa ideowa artysty i jego talent.

Dlatego też dla wyników pracy naszych pisarzy i artystów niemałe znaczenie mogłaby mieć dokładniejsza znajomość spraw i zagadnień, które są aktualne obecnie i w najbliższym okresie. Osią naszej walki jest wykonywanie planów gospodarczych i pokonywanie trudności z tym związanych, w szczególności zaś przełamywanie trudności aprowizacyjnych, które się teraz spiętrzyły. Nikt z nas nie chce abstrahować od tego, że szczególny splot czynników natury gospodarczej oraz klęska posuchy, która dotknęła nas w rozmiarach nieznanych od dziesięcioleci, spowodowały u nas zakłócenie na rynku artykułów rolnych.

Wróg usiłuje żerować na tej sytuacji. Mamy w związku z tym rozzuchwalenie kułaka, próby „odkucia się" z jego strony, próbę wyparcia z rynku państwowego i spółdzielczego skupu i narzucenia swych kułacko-spekulanckich cen konsumentom.

Mamy próby imperialistycznych agentur dezorganizowania naszego rynku i zaopatrzenia miast, poprzez okłamywanie, podburzanie, sianie paniki przy pomocy szczekaczek radiowych i szeptanej propagandy.

Nie ulega wątpliwości, że trudności te będą przełamane, niemniej wymaga to nie byle jakiego wysiłku.

W związku z wrogą agitacją postawmy sobie pytanie, jak należy ocenić rozhisteryzowaną amerykańską propagandę wojenną, co się kryje za amerykańską autoreklamą rzekomej wszechpotęgi militarnej i politycznej bloku atlantyckiego. Byłoby lekkomyślnością i głupotą nie doceniać amerykańskich zbrojeń; lecz jeśli przyjrzeć się faktom bliżej, to widać w tym wszystkim niemało bluffu i szantażu. Nie taki diabeł straszny, jak się sam maluje.

Niedawno padły spokojne i ważkie słowa towarzysza Stalina, które dowiodły niezbicie, że amerykański monopol na broń atomową leży w gruzach. Niedawno amerykańska prasa doniosła z niemałym zakłopotaniem o nowej próbie broni atomowej na terenie Związku Radzieckiego.

Wymowa tych faktów jest dostatecznie mocna. Światowy ruch pokoju uzyskał nowe bodźce, nowe potężne atuty.

A jak wygląda zwartość i siła polityczna bloku atlantyckiego? Trzeszczy coraz mocniej cały system kolonialny imperializmu. Po historycznym zwycięstwie Chin Ludowych ruch narodowo-wyzwoleńczy rozlał się szerokim strumieniem po Dalekim Wschodzie. Świadczy o tym bohaterska walka narodu koreańskiego poparta przez ochotników chińskich, walka, w której łamie sobie zęby imperializm amerykański, poparty przez wszystkich swoich satelitów. Ostatnie wypadki w Iranie i Egipcie świadczą o tym, jak coraz bardziej wzrasta napięcie na Bliskim Wschodzie. Bliski Wschód stał się terenem rywalizacji anglo-amerykańskiej w walce o ropę naftową i o wpływy polityczne, ale w niemniejszym stopniu jest on terenem ruchu narowo-wyzwoleńczego milionów ludzi. Jednocześnie rośnie walka patriotów we Francji i we Włoszech, której przewodzą partie komunistyczne.

Nie wolno nam jednak zamykać oczu na fakt, że remilitaryzacja Niemiec zachodnich forsowana jest z gorączkowym pośpiechem. Coraz bezczelniej poczynają sobie neohitlerowcy, działający pod amerykańską opieką, a wtórują im z właściwą sobie służalczością zgangrenowane grupki emigracyjne Andersa, Bora-Komorowskiego, Zaremby i innych. W obliczu tych wydarzeń, wzmacniając naszą czujność, cementować będziemy coraz usilniej nasz Front Narodowy w walce o pokój i Plan Sześcioletni.

A jak dajemy sobie radę z trudnościami gospodarczymi? Nie cofniemy się ani o krok w realizacji planu uprzemysłowienia kraju, ani w umocnieniu jego obronności. Potrafimy opanować sytuację i zabezpieczyć klasę robotniczą i inteligencję pracującą przed próbą uszczuplenia jej udziału w dochodzie narodowym, przed próbą przerzucenia na nią ciężaru przez elementy kułackie i kapitalistyczno-spekulanckie.

Najistotniejszym elementem realizowanej obecnie z tak wielkim rozmachem w mieście i na wsi akcji politycznej jest pełne uświadomienie sobie przez miliony ludzi pracy, że nie ma sprzeczności między trwałym interesem osobistym a interesem klasy i narodu, jest zrozumienie zarówno zadań chwili obecnej jak i perspektywy dalszego rozwoju.

Czego to wymaga? Wymaga wzmożenia pracy politycznej i wychowawczej, wymaga rozszerzenia horyzontów myślowych, wymaga kształtowania najlepszych i najszlachetniejszych cech charakteru, tłumienia egoizmu, eliminowania drobnomieszczańskich narowów, likwidowania przesądów.

Tysiące, dziesiątki tysięcy naszych aktywistów robotniczych i chłopskich, twardych i nieustępliwych, hartuje się w tej walce. Na wsi z pełnym poczuciem swojej misji, z całym żarem poczucia swojej słuszności przekonywują oni opornych, przeciągają na swoją stronę chwiejnych, apelują do duszy chłopa — człowieka pracy przeciwko drugiej jego duszy — duszy posiadacza.

Jaka w tej sytuacji powinna być postawa naszej twórczej inteligencji? Chce się zaapelować: nie gardźcie piórem i słowem propagandzisty, współpracujcie z naszą prasą i radio, wyjeżdżajcie na wieś z aktywem robotniczym i studenckim, szukajcie zbliżenia ze środowiskiem robotniczym! Kto zasklepia się w kręgu utyskujących inteligentów, ten nie zrozumie istoty toczącej się walki i przemian.

Najważniejszym obowiązkiem każdego artysty jest wzbogacać własną twórczość, czyniąc ją bardziej odkrywczą i walczącą. Dosięgnijcie waszą ostrą bronią kułaka i spekulanta, szpiega i dywersanta, amerykańskiego podżegacza i neohitlerowca. Odsłońcie zawiły mechanizm kułackiej postawy, kułackiego wyzysku, jego perfidne zasłanianie się chłopem mało- i średniorolnym. Ukażcie całą ostrość przeciwieństw, pokażcie wielkość naszych czasów.

Czyż nie jest porywające wychowywanie i kształtowanie poprzez własną twórczość nowego człowieka, odsłanianie całego bogactwa jego życia wewnętrznego? Idźmy za przykładem radzieckich pisarzy, radzieckich artystów, którzy dokonali tak wielkiego wkładu w kształtowanie, w podnoszenie, w uszlachetnianie radzieckiego człowieka, przodującego człowieka całej ludzkości. Dokoła nas rosną, krzepną dziesiątki, setki tysięcy nowych ludzi, przenikniętych ideą i moralnością socjalistyczną, ludzi, którzy będą kształtować przyszłość Polski.

Warto opowiedzieć o naszych marynarzach. Radiostacje anglosaskie podają wiadomości o kilku marynarzach, którzy uciekli z naszych statków. Istotnie — kilku naszych marynarzy wpadło w sieci imperialistycznych agentów. Za amerykańskie pieniądze spojono ich wódką, zdemoralizowano — ci dezerterzy skazali się na hańbę, nędzę i poniewierkę. Ale nie oni będą kształtować przyszłość polskiej marynarki.

Chińscy towarzysze opowiedzieli nam następujący epizod. Do chińskiego portu zawinął polski statek z ładunkiem towaru. Nasi marynarze wyszli na ląd, żeby obejrzeć miasto. W mieście nie było innych środków lokomocji prócz chińskich riksz. Nasi marynarze znaleźli wyjście: posadzili Chińczyków w wózki, sami zaś siedli na rowery i w ten sposób obejrzeli całe miasto. Towarzysze chińscy opowiadali o tym fakcie z prawdziwym wzruszeniem. Do tych chłopców należy przyszłość naszej marynarki.

Nie ma wątpliwości, że pokonamy wszelkie trudności, pokonamy skutki posuchy, wyjdziemy z tych trudności mocniejsi, bardziej zahartowani, bardziej ubojowieni. Nic nie daje większej radości niż udział w walce o kształtowanie nowej rzeczywistości, która rodzi nowego, lepszego człowieka. Nie wątpimy, że nasi pisarze i malarze, nasi muzycy, reżyserzy i artyści będą szli razem z nami po tej niełatwej ale jedynej drodze, po tej jedynej drodze dla ludzi, którzy brzydzą się kłamstwem, którzy chcą tworzyć, kształtować coraz piękniejszego człowieka, coraz lepsze i szczęśliwsze życie człowieka na ziemi.

Z przemówienia Pawła Hoffmana

kierownika Wydziału Kultury w KC PZPR

Słuchając wczorajszych dyskusji, można było odnieść wrażenie, że dla niektórych naszych pisarzy i artystów sprawą szczególnej troski, która znalazła bezpośredni lub pośredni wyraz w ich przemówieniach, fundamentalnym niejako problemem jest zagadnienie, czy realizm socjalistyczny w literaturze i sztuce jest dla nich możliwy, czy da się urzeczywistnić w ich praktyce twórczej. Tak, żeby był i realizmem, i socjalistycznym, i żeby spełniał jednocześnie te wszystkie postulaty, których się od niego oczekuje. Tadeusz Breza też problem ten poruszył: czy realizm socjalistyczny jest możliwy? Tadeusz Breza ma wątpliwości z różnych przyczyn. Między innymi dlatego, że — jak twierdzi — twórcy dzisiejsi (miał może na myśli swoje pokolenie, które dojrzało lub zaczęło dojrzewać w okresie międzywojennym) wychodzą z realizmu krytycznego i z niego muszą wykonać skok do realizmu socjalistycznego.

I tu należałoby pewne sprawy sprecyzować. Po prostu sprostować je historycznie, bo przecież jeżeli chodzi o naszą twórczość literacką i artystyczną okresu międzywojennego i o tę jej kontynuację, z którą mieliśmy do czynienia w pierwszych latach naszego okresu, to trudno uważać ją za wytwór realizmu krytycznego. Jest to nieporozumienie historyczne.

Twórczość, która kształtowała się w okresie międzywojennym, zawierała oczywiście pewne, nieraz poważne elementy realizmu krytycznego, kontynuowanego nadal w bardzo trudnych warunkach epoki rozkładu kultury burżuazyjnej w fazie imperializmu, ale twierdzenie, że cała twórczość tego okresu wywodzi się z realizmu krytycznego, byłoby historyczną nieścisłością. Nie wyrosła ona w klimacie realizmu krytycznego i dlatego cała konstrukcja budowana na takiej przesłance jest zawodna.

Twórczość w okresie imperializmu jest twórczością innego typu, i jeżeli się mówi o trudności przeskoku z jej pozycji na pozycje realizmu socjalistycznego, to właśnie dlatego, że po tej stronie „rowu" nie było już realizmu krytycznego, tylko coś zupełnie innego, coś, co się wyrażało w różnych dekadenckich „izmach", jak freudyzm, bergsonizm, personalizmy różnego typu i podobne postawy, będące w teorii i w praktyce zjawiskiem odejścia od tego, co nazywamy realizmem krytycznym.

Ażeby sobie z tego zdać sprawę, musimy zatrzymać się przez chwilę przy pojęciu, które określamy, często może nadużywanym, mianem realizmu krytycznego. W zakres tego pojęcia wchodzi m. in. pewna bardzo osobliwa postawa artysty, osobliwy stosunek artysty do klasy w danym momencie panującej, odmienny niż we wszystkich innych okresach rozwoju literatury i sztuki. Jest nim jakiś rozdźwięk, skłócenie artysty z klasą, z którą jest on przecież sprzęgnięty bardzo różnymi więzami ideologii i wychowania.

Mianowicie artysta wyrastający w klimacie kulturalno-ideologicznym, stworzonym przez burżuazję, nie zawsze jest po prostu pachołkiem burżuazji, jak dajmy na to burżuazyjny policjant. Gdy mówimy popularnie „pisarz burżuazyjny", nie zawsze i nie przede wszystkim mamy na myśli pisarza, który za burżuazyjne pieniądze broni ustroju burżuazyjnego, świadomie fałszuje

rzeczywistość w interesie bankierów, fabrykantów itd. Z pisarzami, o których mówimy jako o przedstawicielach realizmu krytycznego, z pisarzami-deologami tego okresu w dziejach literatury — rzecz ma się zgoła inaczej.

Weźmy Żeromskiego. Zapewne, jest to pisarz ograniczony horyzontem deologicznym burżuazji (który nie wiadomo dlaczego, nazywany bywa u nas iekiedy „szlacheckim"). Ale nie jest to pisarz, który świadomie i celowo słuył burżuazji. Widząc zło, widząc bolesne niedomagania, ohydę ustroju buruazyjnego, potrafił on — podobnie jak inni przedstawiciele realizmu krytycznego — niedomagania te i tę ohydę ukazać i napiętnować. Krytyka ustrou burżuazyjnego jest jednak tutaj w mniejszym lub większym stopniu zawże ograniczona, bo pisarz ten wyrósł i tkwi w klimacie ideowym i kulturalym burżuazji. A taki pisarz nie potrafi nigdy wskazać drogi wyjścia z syuacji, którą poddaje krytyce. Nie potrafi jej wskazać, gdyż droga wyjścia est w rewolucji, która dojrzewa w klasie robotniczej. Nie wskazuje jej także eromski, chociaż aluzje do niej możemy znaleźć w jego twórczości, z której resztą wnioski rewolucyjne wypływają obiektywnie, niezależnie od subiekywnych zamierzeń pisarza czy nawet wbrew nim.

Szczytem postawy realizmu krytycznego jest chyba Zmartwychwstanie Lwa Tołstoja. Jest to już jakby ostateczna granica realizmu rytycznego. Dalej pójść, to znaczy dojść do rewolucji proletariackiej. Tołtoj demaskuje tu wszystko: i feudalizm i kapitalizm, i carski aparat pańtwowy, i sądownictwo, i oficjalny kościół. Ale, że horyzont filozoficzny isarza jest w istocie rzeczy burżuazyjny, jednocześnie zaś reprezentuje on o, co Lenin określił jako poglądy patriarchalnego chłopstwa miażdżonego rzez kapitalizm, przeto w końcu dochodzi Tołstoj do jakiejś dziwacznej, ielogicznej koncepcji, że jedynym wyjściem z sytuacji jest... nieprzeciwtawianie się złu i ewangeliczne doskonalenie się człowieka.

Ale czy twórczość Tołstoja lub Żeromskiego „leży w interesie burżuazji"? Nie leży, bo nie leży w interesie burżuazji takie demaskowanie jej rządów. eżeli jednak u Tołstoja i Żeromskiego nie widać realnego wyjścia z sytuacji, o może burżuazja nie powinna się czuć zagrożona? Przecież wyjście trzeba yło pokazać: jedyne wyjście było w rewolucji proletariackiej. Innego nie yło — i ono wynika z krytyki danej przez Żeromskiego czy Tołstoja.

Realizm krytyczny jest tedy krytyką ustroju kapitalistycznego, która moe iść bardzo daleko, ale krytyką z pozycji ideowych wytworzonych przez enże ustrój i będących jego nadbudową ideologiczną.

Na tym polega bezradność realizmu krytycznego, bo nie można krytykować skutecznie ustroju burżuazyjnego z pozycji ideowych właściwych temu ustrojowi. Krytykować ustrój burżuazyjny czy to z pozycji burżuazyjnego postępowego racjonalizmu, czy ideologii wielkiej rewolucji burżuazyjnej, czy wreszcie z pozycji jakiegoś wyimaginowanego, ad hoc urobionego, ewangelicznego chrześcjaństwa, to znaczy krytykować ustrój burżuazyjny z tych pozycji ideologicznych, które są jego wykwitem i jego nadbudową.

Czy nasza twórczość międzywojenna, z wyjątkiem pisarzy i artystów kontynuujących realizm krytyczny w bardzo trudnych warunkach imperializmu, awierała przynajmniej tego rodzaju krytykę, ideową krytykę ustroju burżuazyjnego? Czy stawiała żarliwie, w sposób głęboko moralny, z pełnią od-

powiedzialności za człowieka i jego los, sprawę ohydy ustroju klasowego? Przecież nie. I dlatego nie można mówić, że pokoleniu pisarzy i artystów wyrosłych w tamtym okresie wypadło uczynić teraz skok z realizmu krytycznego do realizmu socjalistycznego. Przeciwnie. Okres twórczości, który obejmuje u nas schyłek w. XIX i pierwsze 40-lecie XX wieku, cechuje zupełnie inna postawa pisarza — nie taka jak pisarza realizmu krytycznego, który się szamoce i buntuje przeciw własnej klasie, chociaż nie potrafi tego buntu doprowadzić do końca, oprzeć się o rewolucyjną klasę, ani wskazać rewolucyjnej drogi wyjścia. Tu zaś mamy w różny sposób przejawiającą się negację człowieczeństwa, negację rozumu ludzkiego, jego zdolności poznawczej, negację jakichkolwiek objektywnych kryteriów i walorów określających rolę człowieka we własnej historii, a zatem negację filozoficzną, poznawczo-teoretyczną i — negacją moralną, która prowadzi do takich przejawów, jak przed wojną twórczość Celine'a czy dziś schyłkowa, dekadencka twórczość na Zachodzie. Jest to postawa, która charakteryzuje różne reakcyjne „izmy" wytworzone przez burżuazję w okresie jej upadku i zrywania z prawdą. I jeżeli wychodzimy z tych pozycji, to nie jest to oczywiście droga do realizmu socjalistycznego.

W realizmie socjalistycznym mamy oczywiście inną postawę niż w realizmie krytycznym, ale na pewno nie tę co w literaturze i sztuce schyłkowej. Ujmując rzecz w najogólniejszym skrócie, postawą, która cechuje pisarza i artystę reprezentującego metodę realizmu socjalistycznego, jest twórcza i zwycięska afirmacja, zgodność z dążeniami, z walką swojej klasy, postępowej, rewolucyjnej klasy, a nie skłócenie z nią.

Jeżeli natomiast sięgniemy do naszej literatury międzywojennej, znajdziemy tam, po pierwsze, olbrzymią rozmaitość różnych schyłkowych, dekadenckich, w gruncie rzeczy antyhumanistycznych postaw. Po drugie — znajdziemy jeszcze dość poważny nurt realizmu krytycznego, choć nieraz bardzo obficie skażony schyłkowymi „izmami". Po trzecie wreszcie — znajdziemy zaczątki realizmu socjalistycznego. Jeżeli w twórczości Kruczkowskiego czy Wasilewskiej mamy krytykę stosunków i ustroju kapitalistycznego w faszystowskiej Polsce, jest to nie tylko taka krytyka, jaką daje realizm krytyczny; w twórczości pisarzy marksistów świadomie ukazana jest rewolucyjna droga wyjścia w odróżnieniu od twórczości największych nawet pisarzy realizmu krytycznego.

Ujmując w ten sposób sprawę, dojdziemy do przekonania, że skok, który trzeba wykonać, powinien być rzeczywiście skokiem od realizmu krytycznego do realizmu socjalistycznego. Odskocznią nie może być natomiast okres dekadencki.

Pewne nieporozumienie, które istniało u nas przez jakiś czas w okresie powojennym w krytyce literackiej, dziś już na ogół nie zachodzi, ale zdarza się jeszcze w krytyce muzycznej i plastycznej (może nie tej „pisanej", ale „mówionej"). Polega ono na osobliwym pomieszaniu chronologii z rzeczywistą treścią rozwoju dziejowego. Pisze się na przykład o danym kompozytorze (mniejsza o to czy w sensie pochwały, czy zarzutu, to jest w danym wypadku obojętne), że stosuje on (względnie nie stosuje) „nowoczesne środki muzyczne".

Co to znaczy „nowoczesne"? Operującemu formalną chronologią te środki, które powstały — powiedzmy — w wieku XX, musiałyby się wydać bardziej „nowoczesne" od osiemnasto lub dziewiętnastowiecznych. Jest to jednak grube nieporozumienie, bo w tym sensie na przykład faszyzm byłby bardzo nowoczesny w porównaniu z burżuazyjną demokracją. Bergsonizm również powstał „później" niż różne kierunki filozoficzne minionych wieków. Biorąc rzecz „chronologicznie", trzeba by go uznać za nowocześniejszy. W ten sposób doszlibyśmy do absurdu, bo — jak wiadomo — bergsonizm jest o wiele bardziej reakcyjny i obskurancki niż najbardziej „stare", nawet idealistyczne filozofie przeszłości.

Nieporozumienie to w literaturze — jak zaznaczyłem — coraz rzadsze, nieporozumienie co do tego, co jest „nowoczesne", ciąży jeszcze niekiedy na naszej krytyce i na naszej twórczości. Staroświecki według takiego rozumowania jest Krasicki, Kraszewski, a nowoczesny Arcybaszew, Przybyszewski. Taki pogląd wytworzyła oczywiście schyłkowa, imperialistyczna burżuazja.

Dlatego, jeżeli dziś porusza się kwestię, czy jest możliwe przejście do realizmu socjalistycznego — to trzeba odpowiedzieć: oczywiście, przejście takie jest możliwe. Jest możliwe z tym zastrzeżeniem, że nie literatura, sztuka i filozofia okresu imperializmu, z której wyrośli nasi starsi pisarze, jest tą nowoczesną, postępową w stosunku do poprzedniego okresu literaturą i sztuką, o której należy twórczo nawiązywać, krytycznie przetwarzając i wprowadzając jej elementy do literatury realizmu socjalistycznego. Postępowe tradycje naszej kultury tkwią gdzie indziej, tkwią między innymi rzeczywiście w realizmie krytycznym — choć nie tylko w nim. Wcale bym ich do tego nie ograniczał. Realizm krytyczny jest to pewien, chyba już niepowtarzalny okres w rozwoju literatury, sztuki i estetyki, okres skłócenia pisarza, artysty z jego własną klasą, jego szamotania się między społecznym zamówieniem tej klasy a niechęcią do służenia jej, chęcią zerwania z nią. Artysta zamówienia społecznego swojej klasy nie chce spełnić, chciałby się nawet od tej klasy oderwać, przełamać w sobie jej horyzont filozoficzny, lecz nie jest w stanie tego osiągnąć.

I jeżeli mówimy, że poprzednikiem realizmu socjalistycznego jest realizm krytyczny, a nie dekadencka literatura i sztuka imperializmu — to trzeba pamiętać, że jest on tylko jednym z poprzedników. W literaturze polskiej mamy na przykład jeszcze przed realizmem krytycznym realizm romantyczny— a co w swoich ostatnich pracach zwraca uwagę Kazimierz Wyka. Mamy w Polsce — i rzecz jasna nie tylko w Polsce — również wielkiego poprzednika w realizmie okresu Oświecenia (może byśmy go tymczasowo nazwali realizmem racjonalistycznym), przy czym realizm ten oczywiście bardzo się różni od naszego socjalistycznego realizmu i od realizmu krytycznego.

W burżuazyjnym realizmie osiemnastowiecznym nie ma owego skłócenia artysty z jego postępową wówczas klasą. Jest w nim natomiast również pewna jakiejś zwycięskiej, optymistycznej afirmacji życia. Różni się ona od socjalistycznego realizmu i od realizmu krytycznego swą naiwnością, uroczą, filozoficzną naiwnością. Pisarz realizmu „racjonalistycznego", pisarz czasu, kiedy burżuazja była klasą postępową, a zarazem nadawała ideologiczny ton całemu społeczeństwu, znajdując się na szczytowej wówczas fali postępowego rozwoju ludzkości — nie przeczuwa jeszcze przeciwieństw, które się po la-

tach ujawnią, może wierzyć, że jego „filozoficzny" ustrój przyniesie pełne, absolutne wyzwolenie człowiekowi.

Jest to afirmacja naiwna, po której musiało przyjść rozczarowanie, ale jest to bardzo piękna, zwycięska, zdobywcza postawa człowieka, wiara w człowieka. Dlatego błędem byłoby ograniczanie dziedzictwa, które chcemy dzisiaj włączyć w naszą twórczość realizmu socjalistycznego, tylko do realizmu krytycznego, czy nawet realizmu romantycznego, skoro mamy też w Polsce piękny, racjonalistyczny realizm wieku Oświecenia.

Narada nasza nie ma charakteru historyczno-literackiego, ale skoro postawione zostało pytanie, czy możliwy jest u nas realizm socjalistyczny, chcę podkreślić, że mamy pod tym względem piękne i bogate zaplecze w naszej tradycji. Do czego w tej tradycji nawiązujemy? W realizmie krytycznym bliskie nam jest głęboko moralne służenie człowiekowi poprzez poznawanie rzeczywistości i piętnowanie zła, ale obca nam jest teoretyczna bezradność jego wniosków. W relizmie racjonalistycznego wieku Oświecenia bliska nam jest zwycięska i zdobywcza wiara w nieograniczone możliwości człowieka, obca natomiast jego naiwność, ograniczoność historyczna.

Realizm socjalistyczny wychodzi z ideowych pozycji określonej klasy społecznej — proletariatu, który staje się hegemonem ludzkości w jej walce o wolność. Realizm socjalistyczny związany jest z taką klasą, która walcząc o swoje interesy, walczy o wyzwolenie ludzkości i człowieka — i ma oręż zapewniający jej zwycięstwo.

Podniesiono tu kwestię, czy pisarz, artysta, kompozytor, wychowany w minionym okresie pierwszego półwiecza XX wieku, może przejść na pozycje realizmu socjalistycznego.

Otóż twierdzę, że realizm socjalistyczny jest również subiektywnie, osobiście możliwy dla człowieka, tak zbogaconego wiedzą przez obiektywny rozwój historyczny, jak człowiek naszych czasów, a zwłaszcza dla ideologa, jakim jest pisarz, artysta. Pisarz bowiem i artysta, może pisarz i artysta teatralny najbardziej bezpośrednio — czy wie o tym, czy nie wie — jest przecież w wybitnym stopniu ideologiem, działaczem politycznym, skoro operuje tak zasadniczym narzędziem ideologicznego oddziaływania, jakim jest słowo.

Możliwości poznawcze umysłu ludzkiego są nieograniczone. A w naszej wiedzy o świecie, o człowieku, dokonał się olbrzymi, wzbogacający nas przełom, olbrzymi skok naprzód. W ciągu ostatnich 30 lat wzbogaciła się tu wiedza bardziej niż w ciągu setek lat poprzednich. I dlatego każdy, zasługujący na to miano człowiek nauki, tak samo jak prawdziwie ideowy, uczciwy pisarz czy artysta, który nie był nigdy tym, czym był burżuazyjny minister albo burżuazyjny komisarz policji, tzn. nie chciał służyć burżuazji, tylko był ograniczony jej horyzontem społeczno-ideowym, filozoficznym — ma dziś wszelkie dane i możliwości po temu, aby wyjść poza ów horyzont. Toteż na pytanie, czy dla współczesnego pisarza i artysty realizm socjalistyczny jest możliwy — odpowiadam pozytywnie. Realizm socjalistyczny jest możliwy — i obiektywnie, i subiektywnie.

Skoro już mówimy o różnych sprawach — warto poruszyć jeszcze jedną. Stosunek między klasą robotniczą i narodem a pisarzem, artystą — jest

zupełnie inny niż w okresie realizmu krytycznego. Między klasą ro-iczą, od której pochodzi zamówienie społeczne, a afirmującą jej walkę ideały postawą pisarza i artysty nie ma dziś przeciwieństw, nie ma kon-tu ideowego. Zamówienie społeczne klasy robotniczej ma przy tym cha-cer często zorganizowany, instytucjonalny.

Tak jest i tak być powinno. Dobrze, że tak jest. Po raz pierwszy w historii wiek tworzy bowiem świadomie swoje życie. Tworzy je od dołu, od niższych fundamentów bazy do najwyższych pięter nadbudowy — posób planowy, a więc zorganizowany.

Z tego, że zamówienie społeczne ma w okresie socjalizmu charakter zor-zowany, instytucjonalny, reprezentowany przez ludzi — wynikają pew-konsekwencje. Nasz nowy, młody aparat zamówienia społecznego nie sze może już dziś składać się z ludzi idealnie zorientowanych w szczegó-problematyki artystycznej. Dlatego także w zorganizowanym, instytu-alnym zamówieniu społecznym mogą się zdarzać braki i niedomagania. jest zrozumiałe, choć należy z tym walczyć.

Czy fakt, że w naszym aparacie zamówienia społecznego mogą się je-e zdarzać ludzie nie dość zorientowani w problematyce artystycznej, ważnia pisarza, artystę do tego, by przestał pisać, malować czy kompo-ać? Czy z drugiej strony fakt ten upoważnia go do tego, by — jeżeli formułowaniu zamówienia społecznego są pewne wady i uproszczenia — rzył w sposób prostacki, niedoskonały? Nie. Odpowiedzialność twórcy -ec współczesnych i wobec historii nie może być z tego powodu zmniej-a. Jeżeli zamówię u szewca parę butów z cholewami, a szewc zrobi mi w sposób partacki i wszyscy będą się z tych butów śmieli, choć ja będę ch zadowolony, to nie wynika stąd, że tylko ja jestem za to odpowie-ny. Nie, szewc też jest winien, bo zrobił złe buty. Jeżeli w dodatku po-szewcowi, aby różnokolorową dratwą wyszył mi na cholewach historię y trojańskiej lub cykl bajek Krasickiego — nie zdejmuje to odpowie-ności z szewca, bo on powinien był odmówić, a nie tłumaczyć się iej, że „zamówiono" u niego takie właśnie buty. Pisarz, artysta odpo-da w pełni za sposób, w jaki realizuje zamówienie społeczne. Wszyscy rzymy rzeczy nowe i w tym tworzeniu sami się przetwarzamy. Rozu-ąc w ten sposób sprawę własnej twórczości, pisarze i artyści będą wy-wywali nie tylko sami siebie jako twórców, ale także społeczeństwo jako miot instytucjonalnego zamówienia społecznego.

Bywają błędy. Błędy należy poddawać krytyce. Mówi się u nas czasem awie do błędu. Niesłusznie. Nikt nie ma prawa do błędu. Można co naj-ej stwierdzić, że błędy się popełnia, i walczyć z nimi. Są to błędy i po-ki wzrostu, cena nauki, jaką wynosimy z naszych doświadczeń.

Obowiązkiem naszym jest, starając się w miarę swoich sił, doskonalić na-dzieła, umieć wspólnie wykrywać wszystkie ich niedomagania i błędy. ili popełniamy błędy — poddajemy je krytyce, samokrytyce. Niektórzy ywie rozumieją sens samokrytyki. Wyobrażają sobie, że koniecznie musi yć jakieś deklarowane przyznanie się do winy, połączone z tzw. biciem w piersi. Tymczasem samokrytyka nie zawsze odnosi się tylko do po-onego „błędu". Samokrytyka zawierać się może także w uświadomio-

nym przejściu do następnego etapu w procesie historycznego rozwoju, któ
w każdym z nas i poprzez każdego z nas się odbywa. Często przecież sa
artysta, po stworzeniu dzieła, przyjmuje z czasem w stosunku do niego p
stawę krytyczną. Nie ma w tym żadnego pomiatania własnym dorobkie
obcego nam elementu jakiejś spowiedzi czy kajania się.

Takim przykładem samokrytyki jest np. ostatni, piękny wiersz Antoni
go Słonimskiego: poeta porównał swoją dawną twórczość do złamanej rę
która się źle zrosła i którą trzeba na nowo łamać. Jest to przykład wyją
kowo pięknej samokrytyki.

Poruszono tutaj problem naturalizmu. Cóż to jest naturalizm? Sądzę,
naturalizm jest to spojrzenie na świat ze stanowiska kołtuna. Kołtun wid
wszystko naturalistycznie. Dlatego istnieje nie tylko naturalizm artystyc
ny czy literacki, ale także — i przede wszystkim — naturalizm spojrzen
społeczno-politycznego.

A naturalizm w literaturze i w sztuce nie polega wcale na tym, że artys
zatrzymuje swoją uwagę na szczegółach. Żadne tendencje ogólne, żad
istotne, kierunkowe myśli nie mogą być pokazane artystycznie inaczej n
poprzez szczegóły, poprzez to co konkretne. Ogólne istnieje tylko w szczegó
nym. Chodzi o to, że naturalizm jest fałszywym wyłapywaniem szczegółó
prowadzącym do fałszywego uogólnienia.

Naturalizm prowadzi do fałszywego obiektywizmu, to znaczy do fałsz
wej bezstronności, fałszywej dlatego, że rzeczywistość nie jest bezstronn
lecz stanowi jedność przeciwieństw. W rzeczywistości klasowej, antagon
stycznej, na każdym biegunie-przeciwieństwie znajduje się konkretna kl
sa społeczna. W naszych czasach — burżuazja i proletariat. Dlatego — jeż
chcemy dać prawdziwy, tzn. odpowiadający postulatom realizmu socja
stycznego, obraz tej rzeczywistości, to nie może on być „bezstronny", le
musi być naukowo, rewolucyjnie stronniczy, zgodnie z konkretną rzecz
wistością społeczną, z jej obiektywnie rewolucyjną tendencją rozwojow

Wiąże się z tym podniesiona w dyskusji kwestia, jak należy rozumi
„głębię przeżyć" postaci pozytywnych i negatywnych w utworze literacki
Ze stanowiska burżuazyjnego pseudo-obiektywizmu można by sobie w
obrazić postulat ukazania zarówno komunisty jak hitlerowca jako lud
którzy walczą, których sprawa jest sprawą ludzką, toczy się między ludź
i trzeba ją w ten sposób podać, ażeby — nawet jeśli sympatia autora j
po stronie komunisty — pokazać po o b u stronach walczącego człowie
Dotykamy tu kwestii tak zwanego uczłowieczenia wroga, reakcjonisty, f
szysty, hitlerowca.

Otóż nie chodzi bynajmniej o to, żeby wroga „odczłowieczać". Pamię
trzeba jednak, że wróg, jakkolwiek jest oczywiście człowiekiem, jest jedn
człowiekiem złym. Złym nie dlatego, że autor go nie lubi, ale dlatego, że s
ży złej sprawie.

Wróg jest człowiekiem — to prawda. Czyż kułak lub spekulant miej
to czysty *homo oeconomicus*? Jest to człowiek z wszystkimi namiętnościa
ale jest to człowiek reprezentujący złą sprawę.

Nie wiem, jaką literacką, artystyczną, a to znaczy poznawczą i emoc
nalną korzyść wyniesiemy z dzieła, jeżeli mówiąc o hitlerowskim ka

święcimia pokażemy jego ognisko rodzinne, miłość do dzieci i żony. Jeżeli tysta pokaże to w ten sposób, że przez zestawienie potwornych okrucieństw faszysty, jego antyludzkich postępków w życiu publicznym z jego ntymentalnym życiem rodzinnym wzbudzi większą zgrozę i odrazę do tego szystkiego, do czego faszyzm doprowadził człowieka, będzie to dobra rota. Ale jeżeli pokaże, że to jest „właściwie też człowiek", hitlerowski mlet? Wiemy, że do hitleryzmu w okresie jego „marszu do władzy" nanęło wielu takich inteligenckich Hamletów-zbrodniarzy. Jakiż cel ma dla arza i artysty pokazywanie tych rzeczy, jeżeli nie chce on być pseudoiektywnym naturalistą? Chyba tylko ten, że potrafi w sposób jeszcze barej dramatyczny i wstrząsający pokazać ohydę, do której faszyzm prowadzi owieka, ohydę faktu, że kat Oświęcimia, mordujący tam dzieci, jest jednocześnie dobrym ojcem i słucha wieczorem przez radio muzyki Bacha.

Trzeba też pamiętać o tym, jakiego wroga przedstawiamy: czy szeregowy wrogiej armii, który często sam jest oszukaną ofiarą, czy przywódcę, ry jest czynną, wrogą ludzkości siłą historyczną, a nie przedstawicielem robnomieszczańskiej" masy otumanionej i ciemnej. Z chwilą jednak, kiedy robnomieszczanin" stał się SS-manem, obowiązkiem twórczości literackiej t przedstawić go tak, ażeby wzbudzić odrazę do faszyzmu. Na tym polega itatorska funkcja literatury w najlepszym tego słowa znaczeniu. Słowa o nie należy się wstydzić. Przeciwnie, jest to słowo przynoszące zaszczyt ademu pisarzowi i artyście. Jest dla niego zaszczytem, jeżeli może powieeć, że był agitatorem dobrej sprawy.

Można i trzeba przedstawiać wroga tak, żeby był człowiekiem a nie licznem, ale na nic nie przydadzą nam się głębie jego przeżycia, cała ta „psyologia głębinowa", polegająca na rozgrzebywaniu jego skomplikowanej, biryntowej jaźni.

Inną sprawą jest problem ukazania bardzo zawiłego splotu przeciwieństw tagonistycznych i nieantagonistycznych w naszej rzeczywistości.

Sprawa to dlatego skomplikowana, że przecież w życiu przeciwieństwa tagonistyczne, klasowe, które jeszcze u nas istnieją w dość dużym zakre i które musimy przezwyciężać w walce politycznej — splatają się z przeciwieństwami już nieantagonistycznymi, które przezwyciężamy i będziemy zezwyciężać drogą bardzo świadomej krytyki i samokrytyki, tzn. wysiłku oznania i zrozumienia samych siebie, tego, co w nas samych jest stare, a co owe. Przewalczamy te rzeczy przez wydobywanie na jaw tego co nowe, maganie mu w jego wzroście, umacnianie go — pamiętając, że to, co owe — choć wydać się może słabe i wątłe — zwycięży.

Ale przecież u nas w życiu te rzeczy trudno jest czasem rozeznać i odznić. Trudno rozpoznać, gdzie i kiedy w reakcyjnej, kontrrewolucyjnej, wersyjnej plotce, szerzonej i przez zagraniczne radio, i przez imperialiyczne ekspozytury w kraju, kolporter tej plotki jest tylko narzędziem, emnym kołtunem, ofiarą, która widzi rzeczywistość w sposób naturaliyczny, a gdzie występuje czynny reprezentant antagonistycznej siły, wróg asowy. Wydobyć tę rzecz, ukazać ją trafnie, realistycznie, jest trudno. Jest robota dająca pole do niezwykle subtelnych rozwiązań powieściowych dramatycznych. Sztuka dać sobie z tym radę. Nasi pisarze dramatyczni

w pewnym stopniu podjęli się już tego. Występuje u nich często ów „dobry człowiek", który reprezentuje „nieantagonistyczne stare", ale za nim tkwi „antagonistyczny" inżynier-sabotażysta wykorzystujący owo „nieantagonistyczne stare". Sprawa proporcjonalnego i żywego, nieschematycznego ustawienia tych postaci jest niewątpliwie bardzo trudna. Idzie przecież o artystyczne uczłowieczenie przede wszystkim tego reprezentanta przeciwieństwa nieantagonistycznego, ale idzie także o jakieś „uczłowieczenie" reprezentanta przeciwieństwa antagonistycznego tak, aby był on typem złego człowieka a nie demonem zła.

Są to bardzo teoretyczne kwestie, nad którymi łatwo jest dyskutować, ale rozwiązać je w dziele sztuki jest trudno. Trzeba głęboko rozumieć te rzeczy i czuć je. Warunkiem jest przezwyciężenie zakłamania, zarówno poznawczego jak emocjonalnego. Bo artysta może nie być zakłamany poznawczo, tzn. może rozumieć, że ustrój burżuazyjny jest nieuchronnie skazany na zagładę, ale w gruncie rzeczy żałować dawnych czasów, w którym wyrósł. Może być na tyle przenikliwy poznawczo, by rozumieć nieuchronność upadku kapitalizmu, ale może żałować, że „ginie kultura", czyli ściśle biorąc te jej elementy, które burżuazja w najgorszym właśnie okresie swego istnienia — wytworzyła. Będzie to przezwyciężenie zakłamania poznawczego — przy trwającym zakłamaniu emocjonalnym. Jednym z najjaskrawszych objawów takiej postawy będzie w dziele sztuki martwy schematyzm i martwa deklaratywność.

Na odwrót, może istnieć zakłamanie poznawcze nawet przy emocjonalnym solidaryzowaniu się z klasą robotniczą i jej walka przy głębokim nawet umiłowaniu ludu. Jeżeli przy najgłębszej szczerości emocjonalnej nie ma poznawczej rzetelności, wynika z tego znowu — martwy schematyzm i martwa deklaratywność.

Jeżeli to zrozumiemy, wówczas kwestia bardzo skomplikowanego, zamaskowanego, zaciemnionego splotu przeciwieństw antagonistycznych i nieantagonistycznych w naszej rzeczywistości — nabiera żywego wyrazu. Ów splot przeciwieństw jest także w każdym z nas, każdego z nas nurtuje problem, co jest w nim stare, ale ma już charakter nieantagonistycznego przeciwieństwa, a co wyraża burżuazyjny, a więc wrogi balast. Kłaść tego na wagę decymalną i odmierzać się nie da. Trzeba to umieć ująć także emocjonalnie — i to jest zadaniem artysty.

Jeżeli tak będziemy rozumieli sprawę realizmu socjalistycznego, zrozumiemy, że krytyka i samokrytyka stanowi również intelektualne i emocjonalne odbicie rzeczywistości. Jeżeli mamy poznawczy i emocjonalny związek z rzeczywistością, jeżeli ją rozumiemy i czujemy, potrafimy zdać sobie sprawę z wszystkich poznawczych i emocjonalnych czynników twórczości. Tylko wtedy powstaną utwory, które przejdą do dziedzictwa kulturalnego przyszłych pokoleń jako dzieła klasyczne naszej rewolucyjnej epoki.

Bo cóż to jest dzieło klasyczne? Klasyk jest to artysta najbardziej współczesny swojej epoce. Jeżeli spojrzymy wstecz, zobaczymy, że dla nas klasykami zostali tacy twórcy i takie ich dzieła, w których odzwierciedliło się to, czym ludzkość żyła w danym czasie. Pozostaje trwale to, co odzwierciedla daną epokę, jej najlepsze, postępowe tendencje, które w procesie historycznym kolejno przyczyniały się do uczłowieczenia człowieka

One stanowią istotną treść rozwoju kulturalnego i moralnego ludzkości — i one „pozostają". A jeżeli tak, to pozostaną jako wartość trwała, jako utwory klasyczne, te dzieła dzisiejszych czasów, w których twórcy zrealizują postulat prawdziwie głębokiego odzwierciedlenia naszej epoki, naszej rzeczywistości.

Jeżeli będą to czynić w sposób możliwie rzetelny poznawczo i emocjonalnie, jeżeli potrafią wskazać decydujące nurty i problemy tej rzeczywistości, wtedy sprawa formy, sprawa „środków artystycznych" będzie — jakkolwiek nie automatycznie, nie „siłą rzeczy" — możliwa do rozwiązania. Wówczas znajdziemy się na drodze do jej rozwiązania.

W jaki sposób, ukazując poznaną rzeczywistość, budzić w odbiorcy właściwą postawę emocjonalną wobec tej rzeczywistości; jak pomóc przekształcać tę rzeczywistość, mobilizując swoim dziełem najszlachetniejsze dążności i namiętności odbiorcy — oto problemy, które stoją dziś przed naszymi twórcami.

Z przemówienia Włodzimierza Sokorskiego

Słuchając naszych dwudniowych obrad sądzę, że mimo pewnych nieporozumień możemy obiektywnie stwierdzić, że nasza narada posiadała specjalny zupełnie charakter i nastrój, zarówno w dyskusji jak i w formułowaniu swoich ocen, poglądów czy krytyk. Mam wrażenie, że zasadniczy apel w referacie tow. Bermana, apel do ogólnej wielkiej mobilizacji świata artystycznego na gruncie konkretnych zadań i konkretnej sytuacji międzynarodowej oraz sytuacji w naszym kraju, że ten apel w zasadzie został właściwie zrozumiany. Przez wystąpienia wszystkich niemal dyskutantów przebijała głęboka troska o losy sztuki i głęboka troska o wdrożenie jej w rydwan zadań stojących przed partią, przed narodem. Przez całą dyskusję przebijała głęboka troska o to, żeby udoskonalić metody oddziaływania na społeczeństwo, głęboka świadomość, że wiele z dotychczasowych naszych osiągnięć już nie wystarcza na obecnym, nowym etapie.

I to, że w dyskusji było wiele głosów krytycznych, a nawet bolesnych, że w wielu przemówieniach czuło się jeszcze jakąś wewnętrzną walkę, nieprzezwyciężenie szeregu problemów — to wszystko nadaje naszej konferencji ten specjalny ton szczerości i samokrytycyzmu, tak dla niej charakterystyczny.

Obraz, jaki w jej wyniku otrzymaliśmy, jest jasny. Jasne jest ogólne dążenie do wypracowania nowych metod pracy, do zaostrzenia spojrzenia na zjawiska chwili obecnej, do wielkiej mobilizacji ludzi sztuki nie na gruncie fałszywego kompromisu, lecz na gruncie zrozumienia istotnych potrzeb naszego kraju. Dlatego we wszystkich głosach, włącznie do ostatniego przemówienia tow. Zakrzewskiego — przebijała serdeczna troska, brak atmosfery jakiejś nagonki, próba znalezienia właściwej definicji dla stojących przed nami zadań. Stąd też w pewnym stopniu czuję się zwolniony z szeregu wyjaśnień czy też sprostowań pewnych, niezupełnie ścisłych sformułowań, chcę natomiast zatrzymać się na kilku zagadnieniach bardziej ogólnych.

Pierwszy problem. Dlaczego właśnie w chwili obecnej, właśnie teraz wszyscy odczuwamy, że dotychczasowe metody walki o socjalistyczną sztukę są niepełne, są niedostateczne. Dlaczego zdajemy sobie sprawę z tego, że mimo niewątpliwie poważnych osiągnięć we wszystkich dziedzinach sztuki — podkreślam we wszystkich — łącznie z plastyką, mimo że mamy do czynienia z dokonanym w zasadzie przełomem, że mówimy wspólnym językiem o sprawach, które nas wszystkich wspólnie bolą, że mamy świadomość, iż sztuka powinna służyć narodowi w budowaniu socjalizmu i w walce o pokój — to jednak osiągnięcia nasze muszą wywoływać i wywołują surową krytykę.

Dlaczego pozycje, o których jeszcze niedawno, na różnych konferencjach, mówiliśmy z dumą, i to ze słuszną dumą, dzisiaj wywołują krytykę i świadomość, że nie wszystko jest tak dobrze, jak to może myśmy sami w siebie wmawiali?

Sądzę, że główną przyczyną tego zjawiska, niewątpliwie bardzo zdrowego i słusznego, jest obecna sytuacja gospodarcza i polityczna, jest świadomość, że w okresie wielkiej próby, w okresie koniecznej mobilizacji całego społeczeństwa do realizacji określonych zadań państwowych, w okresie konieczności uodpornienia społeczeństwa na wrogą propagandę zmierzającą do zachwiania ideologicznego pewnych grup inteligencji pracującej, a nawet pracującego chłopstwa — musimy sobie postawić zadanie udoskonalenia metod naszego oddziaływania i zaostrzenia kryteriów w stosunku do samych siebie.

Jasną jest rzeczą, że jeśli społeczeństwo przeżywa poważne trudności na gruncie realnej sytuacji gospodarczej i w obliczu realnego niebezpieczeństwa wojennego ze strony imperializmu anglo-saskiego, że w obliczu rozpasania plotki i kłamstwa, które drążą nasze społeczeństwo w najrozmaitszy sposób — tak czułe narzędzie propagandy, jakim jest dzieło sztuki, musi być specjalnie doskonałe. Albowiem w wypadku, w którym człowiek nie znajduje w dziele artystycznym odpowiedzi na trudne sprawy naszej epoki, na swoje wątpliwości i kwestie, braki takiego dzieła występują jaskrawiej niż kiedykolwiek. Jeżeli człowiek pracy idzie do teatru i patrzy na sztukę współczesną, w której nie ma odpowiedzi prawie na żadne własne zagadnienie, lecz przeciwnie — spotyka się z deklamacją, schematycznymi postaciami, które nie dźwigają problemu, a tylko deklarują, spotyka się z partią, która jest partią wyłącznie od zebrań, spotyka się z sekretarzem partii, który wychodzi na scenę tylko po to, żeby wygłosić jakieś schematyczne przemówienie, to taka sztuka nie może do niego przemówić, nie może stać się jego prawdą, jego własną racją.

To samo oczywiście dotyczy każdego innego dzieła sztuki zarówno literackiego jak i plastycznego. To samo dotyczy również przeżycia muzycznego, chociaż ono oczywiście — jak słusznie mówiła tow. Lissa — jest bardziej skomplikowane. To samo dotyczy filmu.

Na tle właśnie konkretnej sytuacji w naszym kraju, o której mówił tow. Berman, na tle realnych trudności, które przezwyciężamy w walce, na tle konieczności opanowania trudnej sytuacji drogą mobilizacji frontu narodowego pod kierownictwem klasy robotniczej, wystąpiła cała oczywistość nowego spojrzenia na rolę sztuki, na jej metodę oddziaływania, na jej zadania.

W tych warunkach rodzi się konieczność wyjaśnienia sobie podstawowych problemów, które dzisiaj przed naszą twórczością stoją. I to było głównym celem naszej konferencji.

Sądzę, proszę kolegów, że zarówno referat tow. Bermana, jak i przemówienie tow. Hoffmana zagadnienia te ustawiły i w znacznym stopniu wyjaśniły różne wątpliwości dotyczące walki z formalizmem i walki o sztukę realizmu socjalistycznego, co zwalnia mnie od ponownego poruszenia tej problematyki w swoim podsumowaniu.

Natomiast chciałbym zatrzymać się nad kilkoma zagadnieniami, które dalszej dyskusji nie znalazły pełnego wyjaśnienia.

Pierwsze zagadnienie, które nie wszyscy do końca zrozumieli, to zagadnienie niebezpieczeństwa w obecnej sytuacji naturalizmu jako ideologii mieszczańskiego kołtuna, jako wykładnika filozofii schyłkowej burżuazji. Niebezpieczeństwo to jest równie groźne jak destrukcyjne oddziaływanie formalizmu, stanowiąc zresztą swoistą metodę deformacji rzeczywistości na gruncie podniesienia roli szczegółu do wykładnika zjawisk jakiegoś ogólnego procesu.

Towarzysz Hoffman bardzo ostro ten problem postawił i postawił go nie przypadkowo. Bo właśnie działanie plotki, kłamstwa, wykorzystywanie przez wroga istniejących jeszcze starych urazów, nawyków myślowych w różnych grupach naszego społeczeństwa, polega na tym, że usiłuje się jakiś fakt, jakieś przypadkowe zjawisko podnieść do symbolu niepowodzeń systemu.

Oczywiste jest w tych warunkach, że do zadań naszej sztuki należy przezwyciężanie do końca zarówno formalistycznych jak i naturalistycznych deformacji. I dlatego tow. Krajewska, którą ogromnie szanuję za jej niezłomną postawę w walce o realizm socjalistyczny, nie miała absolutnie racji broniąc naturalistycznej, drobnomieszczańskiej, sentymentalnej sztuki okresu międzywojennego, nie dającej nam absolutnie nic dla naszej konkretnej walki o socjalizm. My nie możemy w tym właśnie trudnym momencie oddziaływać na społeczeństwo poprzez nawiązywanie do sentymentalizmu mieszczańskiego, sentymentalizmu, który jest swoistą formą ucieczki przed naszą rzeczywistością i przed koniecznością walki z określonymi trudnościami na dzisiejszym etapie. I to trzeba sobie wyraźnie powiedzieć, ponieważ nieporozumienie tego zjawiska ogromnie jeszcze ciąży na różnych dziedzinach naszej twórczości, a zwłaszcza ciąży bardzo zarówno na plastyce jak i na sposobie inscenizacji poszczególnych naszych teatrów. Przejawia się to na przykład w niewłaściwym zrozumieniu sensu współczesnych sztuk i w niewłaściwym odczytaniu myśli przewodniej sztuk radzieckich, w niezdolności do wydobycia istotnego nurtu historycznego sztuk klasycznych, w zatrzymywaniu się nad tekstem biernie odczytanym i wygrywaniem takich czy innych przypadkowych szczegółów akcji. Wiemy, że mieliśmy takie inscenizacje sztuk współczesnych, które oddziaływały wręcz wrogo na skutek wygrywania zupełnie drugorzędnych, nieistotnych momentów gubiących właściwą linię problemu.

Mieliśmy i mamy również do czynienia z poważnym obciążeniem naturalistycznym w naszej twórczości plastycznej. To też trzeba sobie otwarcie

powiedzieć. Oczywiście mam pełną świadomość, że w momencie pierwszego uderzenia w formalizm, w fałszywe, idealistyczne poznanie rzeczywistości, nie mogliśmy jednocześnie załatwić sprawy naturalizmu. I taka postawa w zasadzie była słuszna, chociaż zawsze mówiliśmy, że nie możemy tracić z oczu jego niebezpieczeństwa. Natomiast dziś to niebezpieczeństwo nabiera poważnego znaczenia, jeżeli podczas obecnej dyskusji nie zostały solidarnie potępione, słusznie zaatakowane przez tow. Andrzejewskiego, gusty estetyczne symbolicznych już dla nas gabinetów dentystycznych i poczekalni fryzjerskich. Nie odrzucamy w sztuce uczuć rodzinnych i naszej miłości do pejzażu, do dziecka i kobiety, ale nasze uczucia odgrywają inną rolę w codziennym życiu i same są inne niż uczucia kołtuna drobnomieszczańskiego. I to czas już zrozumieć.

Jeżeli stawiamy dzisiaj zagadnienie wielkiej mobilizacji ideologicznej, jeżeli poświęcamy tyle uwagi roli sztuki w agitacji politycznej, jeżeli widzimy konieczność wielkiej żarliwości w przemawianiu i oddziaływaniu na społeczeństwo, to przecież przedmiot tej żarliwości musi być oczywiście inny niż zakres zainteresowań minionej epoki. I dlatego zupełnie celowo zatrzymałem się na wypowiedzi tow. Krajewskiej.

Natomiast problem, że tak powiem w skrócie, kol. Eibischa, który oczywiście nie jest jego osobistym problemem, stanowi zagadnienie inne, zagadnienie tej grupy plastyków, którzy wciąż jeszcze stoją na zewnątrz naszej walki, lecz z których nie chcemy rezygnować.

Z dużą uwagą słuchałem, podobnie jak wszyscy, przemówienia kol. Eibischa, przepojonego troską o przyszłość naszej plastyki. Zwłaszcza że wierzymy, że profesor Eibisch również walczy o znalezienie właściwego wyrazu w obrazie plastycznym dla naszej rzeczywistości, sięgając od szeregu lat po tematykę zrośniętą z naszym życiem. I tego mu absolutnie nikt z nas nie może zaprzeczyć. Lecz jednocześnie trzeba stwierdzić, że nasza dzisiejsza konferencja powinna pomóc prof. Eibischowi w wyjściu przez niego z jakiegoś własnego kręgu nieufności w stosunku do tego, co my na odcinku sztuki chcemy zrobić. W przezwyciężeniu przez niego wewnętrznej izolacji w stosunku do niewątpliwie dokonanego już na odcinku plastyki przełomu. I dlatego kol. Tesseyre miał niewątpliwie rację, kiedy analizując nieporozumienia na odcinku plastyki wskazał, że plusem w całej tej sytuacji jest to, że mówimy już na gruncie sztuki kształtowanej metodą realizmu socjalistycznego. I przy całej słuszności stwierdzenia, że zagadnienie sztuki realizmu socjalistycznego, to bynajmniej nie problem takiego czy innego stylu, bo sztuka realizmu socjalistycznego może być kształtowana w oparciu o różne indywidualne warsztaty realistyczne, czego dowodem jest wystawa radziecka, jednocześnie niepokojące jest właśnie to, że profesor Eibisch nie ma tego przekonania, że aby iść naprzód, należy przekroczyć rubikon sztuki socjalistycznej, i nie bardzo nam wierzy, że kieruje nami równie wielki niepokój i równie wielka troska o to, ażeby plastyka nasza stała się istotnie godna socjalistycznej epoki.

Zgadzam się z prof. Eibischem, że myśmy mogli w okresie pewnych przełomowych posunięć właśnie na terenie szkolnictwa popełniać niejednokrot-

nie błędy. Był to jednak dla nas problem niesłychanie istotny i jest nim w dalszym ciągu. Młodzież naszą musimy kształtować w oparciu o metodę twórczą realizmu socjalistycznego i tego nie wolno nam nigdy tracić z oczu. Mając jednak świadomość tych czy innych błędnych posunięć, jednocześnie należy z całą otwartością zaapelować do profesora Eibischa: jeżeli istotnie chce, tak jak my wszyscy, tworzyć sztukę socjalistyczną, to musi — on i jego przyjaciele — do końca, szczerze przejść na nasze pozycje, do końca bić się już wewnątrz naszego wspólnego obozu, w atmosferze wzajemnego zufania, o właściwe rozumienie sztuki realizmu socjalistycznego.

I jeżeli już mówimy w podsumowaniu tyle o plastyce, to trzeba sobie powiedzieć, że poważnym naszym błędem było również to, że w odniesieniu do jej dziedzictwa kulturalnego — w przeciwieństwie do literatury i muzyki — nie od razu wyjaśniliśmy sobie zagadnienie właściwych tradycji zamazując sprawę realizmu krytycznego i realizmu epoki Oświecenia, zbyt długo plącząc się w jak najgorszych tradycjach mieszczańskiego naturalizmu okresu międzywojennego.

To zamazanie dziedzictwa przeszłości, do którego powinniśmy byli od razu nawiązać, utrudniało nam ustawienie polskiej plastyki kształtowanej metodą realizmu socjalistycznego.

Chciałbym podkreślić, że sprawa ta stała się dla nas zasadniczo jasna już w momencie przyznawania nagród państwowych. Oglądając bardzo wiele prac, zdaliśmy sobie sprawę z tego, że zwłaszcza w malarstwie zagubiliśmy problem przewartościowania właściwych tradycji. I jedyna nagroda w malarstwie dla kolegi Kobzdeja, mimo jego tych czy innych braków, była nagrodą nieprzypadkową. To było wskazanie na obraz, który w poszukiwaniu właściwego realistycznego wyrazu ideowego próbował nawiązać do właściwych realistycznych tradycji polskiego malarstwa. To znaczy był dokumentacją tezy, że sztuka o treści socjalistycznej musi być w formie sztuką narodową. Pod tym względem w muzyce myśmy śmielej eksperymentowali. Mówiła już o tym tow. Lissa. I, chociaż popełniliśmy innego rodzaju błędy wynikające z niedostatecznego przemyślenia zagadnień natury ideologicznej, to jednak w walce o realizm socjalistyczny w muzyce potrafiliśmy nie zagubić żadnego większego talentu. I to jest niewątpliwe nasze osiągnięcie.

Chciałbym się jeszcze zatrzymać nad zagadnieniem zamówienia społecznego, o którym się tutaj tyle mówiło — właściwie tylko nad jednym aspektem tego zagadnienia. Musimy zdać sobie sprawę z tego, że zagadnienie planowania zamówienia społecznego powinno odgrywać w naszym ustroju bardzo poważną rolę, pod warunkiem, że problemu tego nie będziemy upraszczać. Dlaczego do tego zagadnienia powracam? Oddziaływanie dzisiejszej sztuki na społeczeństwo to sprawa niezmiernie ważna. Musimy sobie bowiem uświadomić, że sam tylko film — to 104 miliony widzów rocznie, teatr zawodowy — 8,5 miliona, nie mówiąc już o milionach widzów w teatrach świetlicowych, 5,5 miliona w muzeach i galeriach sztuki. Jest to więc zagadnienie wielomilionowej rzeszy ludzkiej. A mamy jeszcze niezdobyte tereny wsi. A więc zagadnienie planowania zamówienia społecznego, to problem współgrania potrzeb społecznych i oddziaływania sztuki. To problem jej wychowawczej roli, jej aktualności bieżącej. I dlatego musimy sobie powiedzieć,

że w ustroju socjalistycznym nie możemy nie planować zamówienia społecznego. Natomiast niewątpliwie częstokroć upraszczamy sobie tę sprawę. Na przykład, sądzę, że w zasadzie bardzo słusznie Związek Plastyków usiłował ustalić najbliższe wystawy w płaszczyźnie nie po prostu warsztatu realizmu socjalistycznego, lecz w płaszczyźnie podsunięcia plastykom określonej tematyki, tak samo jak to robi film czy teatr. Natomiast podsuwając tę tematykę nieraz upraszczamy ją sobie w tym sensie, że nie doceniamy drugiej strony problemu. Nie doceniamy tego, że artysta tylko wówczas może stworzyć dzieło na miarę epoki, jeżeli je dramatycznie w sobie rozwiąże. I dlatego, gdy mówimy o walce ze schematyzmem w twórczości, to powinniśmy mówić z równą siłą o przezwyciężaniu schematyzmu w pracy aparatu administracyjnego, związkowego i politycznego. Inaczej mówiąc, jest to zagadnienie organizowania imprez artystycznych, festiwali, konkursów oraz omawiania uprzedniego zamówienia z twórcą. Problem właściwych form dyskutowania z twórcą. Pod tym względem zrobiliśmy wiele błędów i podczas Festiwalu Sztuk Współczesnych, i omawiając scenariusze filmowe, i omawiając takie czy inne kompozycje plastyczne.

Powiedziałbym nawet więcej. Problem nie wyczerpuje się na właściwej formie dyskutowania dzieła na kolegium z twórcą. Zagadnienia tego nie potrafimy ustawić, jeżeli w sposób właściwy nie sprecyzujemy postulatów pod adresem krytyki artystycznej. To nie znaczy, żebym w czambuł potępiał naszą krytykę. Przeciwnie nawet. Polska krytyka ma poważne osiągnięcia. Nie można powiedzieć, że u nas problem krytyki nie istnieje i że nie został w ostatnim czasie poważnie postawiony. Sam stosunek do aktualnych dzieł zaostrzył uwagę krytyki i na literaturę, i na omawianie sztuk teatralnych, i nawet na omawianie współczesnych dzieł muzycznych. Pod tym względem obserwujemy znaczną poprawę, chociaż ciągle jeszcze jest źle w krytyce dotyczącej plastyki współczesnej.

Co jednak mimo wszystko ciągle jeszcze obciąża naszą krytykę zarówno literacką jak i artystyczną? Jeżeli w stosunku do twórczości mówimy o pasji, o ostrym widzeniu rzeczywistości, o konieczności nieprzemilczania ciężkich faktów, pokazywania ludzi w konkrecie tworzenia socjalizmu w Polsce, to dotyczy to w równym stopniu krytyki, którą jednocześnie powinna jednak cechować serdeczność, troskliwość w stosunku do omawianego dzieła, zrozumienie ideowo-artystycznego etapu, na którym znajduje się twórca. Dotyczy to zresztą nie tylko omawianego dzieła, lecz i innych zjawisk kulturalnych w naszym życiu. Krytykę naszą powinna cechować umiejętność dostrzeżenia i zaopiekowania się zjawiskami nowymi, wybiegającymi naprzód, w stosunku do których każda krytyczna uwaga musi płynąć, że się tak wyrażę, z socjalistycznego serca i z rozumienia historycznego tła wydarzeń. A jakże często brak nam tej niezbędnej serdeczności i historycznego spojrzenia na dzieło artystyczne, bez czego ostrze krytyki nie może osiągnąć swego celu.

Sądzę, że problemowi krytyki poświęcone będą najbliższe posiedzenia związków twórczych i dlatego nie chcę się nad tym, tak bardzo istotnym zagadnieniem, zatrzymywać dłużej. Konkretnym wnioskiem płynącym z dwudniowych obrad naszej konferencji powinno być postanowienie, żeby tezy naszej narady przenieść z kolei zarówno na pracę państwowego jak i społecznego aparatu, a w pierwszym rzędzie na pracę związków artystycznych.

Jedną ze słabości organizacji naszego życia kulturalnego jest nieumiejętność opierania się aparatu państwowego na działalności związków artystycznych, niedocenianie roli silnych, mocnych ideologicznie, walczących o nasze cele stowarzyszeń kulturalnych. I trzeba to sobie wyraźnie powiedzieć, że bezpośrednim wnioskiem z obecnej narady powinno być przemyślenie zarówno twórczości jak i krytyki artystycznej, w płaszczyźnie przezwyciężenia obciążających nas dotąd schematów formalistycznych i naturalistycznych na kolejnych plenarnych posiedzeniach zarządów związków lub nawet na statutowych ich zjazdach. I to powinno być tym łożyskiem, po którym potoczy się dalsza dyskusja i dalsza mobilizacja twórców do wielkich zadań, o których mówił tow. Berman.

Sądzę, że na tym akcencie organizacyjnym powinniśmy zakończyć naszą tak owocną dyskusję, zapewniając i partię i rząd o solidarnym froncie twórców z klasą robotniczą i z całym narodem w jego walce o pokój i socjalizm.

NA ŚMIERĆ WERNERA TIEGEL

Na brzegu tataraki szumiały zdradziecko,
Kiedyś stanął nad Łabą, nad rzeką niemiecką.

Róg księżyca opadał w nurtu falę bystrą,
Gdyś wpław próbował przebyć granicę ojczystą.

Tam, gdzie słupy księżycem zatrzymanej wody
Dzielą ziemię niewoli od ziemi swobody,

A oba brzegi gwiezdne spinają promienie
Jak jednej mowy na tych obu brzegach brzmienie.

Tyś jednej gwiazdy szukał, w nią wpatrzony płynął —
Która by połączyła twą ziemię rodzinną,

Gwiazdy pokoju — jej to patrzyłeś na wschodzie,
Chłopcze szesnastoletni, najlepszy w narodzie.

Chłopcze, którego ojciec, brat starszy, być może,
Uśmiercał moich braci w gazowej komorze,

Ty, któremu przypadło odkupić ich winy,
Niewinny i do celów przeznaczony innych, —

Od tej samej w morderstwie wyćwiczonej dłoni
Padłeś, w fali się chroniąc, aby ujść pogoni.

Ja twarz twą zapamiętam, jak pamiętam twarze
Twego ojca i brata. Pograniczne straże

Nienawiści dosięgły w złej pogoni ciebie,
Ale zostałeś z nami, będziesz w naszym gniewie

Żywy, zdobędziesz pokój — naszą wspólną sprawę —
Ty, któryś most przyjaźni przerzucił przez Łabę.

POTTIER

Przedmieścia wrogiem opasane
I tylko pozostało męstwo —
Nie łatwo zginąć, odnieść ranę,
Trudniej samemu zostać z klęską.

Trudno jest żyć, gdy inni giną.
Lecz jakże to umarłym wyznać,
Gdy nad ostatnią ich godziną
Zamknęła się jak czas ojczyzna?

Przedmieścia opasane wrogiem,
A w samym mieście wolność kona
I trzeba pod ojczyzny progiem
Uderzyć, zginąć lub pokonać.

Wydarzeń wiatr listowie zrywa,
Szum, wichrze, liści nikt nie zliczy —
Zrodzi się jeszcze prawda żywa
Z wyrzeczeń, troski i goryczy.

Pamiętam dni niełatwe, twarde,
Ta pieśń nas wspomagała nieraz
I bezimiennym komunardem
Niejeden spośród nas umierał.

Czy Wisła to, czy też Sekwana,
Czy to w Warszawie, czy w Paryżu —
Jednaka troska domieszana
Do pieśni, co przez lata zbliża.

Ale ich klęska — dziś swobodą,
I pieśń, co czas jak klamra spina,
Jaśniejsza jest niż nasza młodość,
Choć wiarą młodość przypomina.

WEZWANIE

Na górach wiatr. Szeleszczą drzewa,
Piana listowia groźnie wzbiera,
A potok, bijąc o kamienie,
Cofa się nagle oniemiały.

Pomyśl o jutrze, gdy ulewa
Na piasku uczuć ślad zaciera.
Dzień minął nam niby westchnienie
Przez wiatr porwane oszalały.

*

Pomyśl. To wszystko, co się dzieje,
Jest zgodne z żywym rytmem świata.
My budujemy jego dzieje,
On nasze w swoje tętno wplata.

I patrz: daleko stąd, a blisko,
Gdzie lasy na skinienie rosną,
Gdzie rzeki płyną zgodnie z planem,
Gdzie ludzka wola świat przetwarza,

Tam ludzka miłość rodzi wszystko
I mierzy miarą bezlitosną
To, co jest w nas nieokiełznane
I to, co w życia rytm się wdraża.

*

Ta ziemia, co nas przytuliła
Do swojej piersi dziś na górze,
Patrz: teraz z wiatrem wzwyż się wzbiła
I utonęła w liści chmurze.

Ta ziemia razem z nami wzlata
I w blask, i w radość, w szczęście pędzi.
Spiesz za mną, miła, w radość świata —
Prędzej.

Seweryn Pollak

STASIA SZARLIŃSKA NA BUDOWIE BERLINA

Zakasała czarnowłosa rękawy koszuli,
rozejrzała się: — Zaczynamy!...
U jej stóp —
kłębowisko nieznajomych ulic
kaleczyło powietrze ruinami.

Z tego miasta kiedyś wyruszył pożar,
który w zgliszcza obrócił Warszawę,
dzieciństwo młodej murarki pożarł
złą zgryzotą, trującym żalem.

Już nie wzniecą pożaru! Dziś są tu mocne
przyjaciół dłonie,
ich spojrzenia ciepłe.
Warszawska dziewczyna stoi na pomoście,
uśmiecha się, sięga po cegłę.

Jeszcze raz patrzy w stronę, skąd słońce świeci:
jak blisko do naszych
pól i miast nad Odr
Ten dom będzie szkołą. Niemieckie dzieci
nauczą się w niej najważniejszej rzeczy —
z sercem przyjaznym wychodzić naprzeciw
narodom.

THÄLMANN

(12 sierpnia)

Powiedziałbyś: niebo spłynęło na ziemię
i maszeruje naprzód, błękitnobluze —
gdyby niebo umiało
wprawiać serca w drżenie
i śpiewać, i weselić się
po prostu, jak ludzie.

Przez którą to już szybkonogą godzinę
radość falą narasta, pod gardło podchodzi?

Wpatrujemy się
z wiarą i podziwem
w nowych Niemiec
siłę,
nadzieję,
młodość.

I tylko za Bramą Brandenburską, w głębi
sektoru nędzy i wojny —
pusto
i bura mgła się kłębi,
gęstniejąc, grożąc wolnym.

Ale tu,
chociaż jeszcze wicher z ruin
podnosi żółty kurz wspomnień,
nie boją się mgły — i maszerują
przeciwko wojnie.

Dziewczęta, niby róże z berlińskiej pieśni,
przodownicy pracy
z dłońmi żelaznymi,
z wszystkich miast utrudzonych
i ze wsi
maszerują. A z nimi,
z nimi —

nie, nie przeoczysz tej szerokiej twarzy —
wśród hamburczyków, w splocie ramion szczelnym —
jakby nie na plakacie, lecz żywy: towarzysz
Thälmann.

Czapka z daszkiem, w siwych oczach uśmiech,
kołyszącym się krokiem marynarskim idzie.
— ...Towarzyszu Thälmann,
oto gałęzie dzięki tobie nieuschłe
owocują. Jak dobrze
tu być i to widzieć.

Któż zapomni, że walka była zacięta
pod niebem niemieckim, ciężkim jak trumny wieko!

Jak dobrze wiedzieć,
że każda kropla krwi
wytoczonej w kacetach
zamieniła się
w żywego,
walczącego o szczęście człowieka.

Była i gorycz.
Opętany podręczny Kruppa
jadowity wywar sączył młodym.
Jak radośnie brzmi chrzęst,
z którym
zdarta dłonią surową i czułą skorupa
opada ze zdrowego ciała narodu.

Przeszedł. I znów
huczą pieśnią szeregi.
Są jak Alpy. Nie ustąpią
i nie pozwolą!
Są jak Elba spieniona, rwąca twarde brzegi.
Są jak łańcuch orłów, ciągnący w wolność.

Powiedziałbyś: to niebo spłynęło na ziemię
i maszeruje naprzód, błękitnobluze —
ale
od nieba piękniejsze i czystsze
jest spojrzenie,
którym patrzą
ci nowi,
śmiali, wspaniali ludzie.

— ...Towarzyszu Thälmann,
twoje życie, to twoja walka,
to ty pokonałeś
rozdartego narodu niemoc.
Kiedy takich jak ty przebijały kule w Buchenwaldach,
już świtało. Rodził się
dzisiejszy dzień Niemiec.

Z cyklu „Berlin, sierpień 1951"

Wiktor Woroszylski

ROMAN BRATNY

ROZSTANIE Z TOWARZYSZEM BOROWSKIM

Gdybyś do nas sześciu
— do sześciu dźwigających Twoją trumnę —
powiedział: „dajcie-no po parę lat!"
dożyłbyś niedostępnego nam wieku.

Dalibyśmy bez żalu, wiedząc,
że oddasz je za nas z nawiązką
ludziom tego kraju.

Twój przyjaciel Niemiec,
który dźwigał Cię z nami,
dałby Ci swoje lata
— oddałbyś je z nawiązką
i jego ludowi...

Choć przeszedł koło Ciebie
pieców Oświęcimia
pochód żałobny.

Gdybyś do nas sześciu
— do sześciu towarzyszy — mógł powiedzieć:
„dajcie-no po parę lat"
dożyłbyś komunizmu.

Ale się dzieje inaczej:
to Ty dawałeś
lata swego życia,
abyśmy prędzej dożyli.

Roman Brat

SADY

1

Sadów za mało, nad płotami śliwek,
grusz nad dachami, przydrożnych czereśni...
Ten, co w spółdzielniach uszlachetnia dziczki,
czuwa i czeka na ów czas szczęśliwy,
gdy jabłka będą jak w wesołej pieśni
do liści tulić rumiane policzki.

2

Ileż zapachów, smaków i kolorów
głosi cierpliwą pracę ogrodnika!
Odmian tropiciel, uczeń Miczurina
pędy przenosi, leczy drzewa chore.
Jak w życie ludzkie, w życie drzewne wnika
starzec zgarbiony lub smukła dziewczyna.

3

Jabłonie biegną ku rzekom, ku Wiśle.
Grusze stadami przy domach, na wzgórzach.
Jak pełne kosze, dni sierpnia i noce.
Idzie przez sady poeta i myśli,
żeby wiersz nie był krzakiem dzikiej róży,
ale jabłonią, co rodzi owoce.

NIEDZIELNY WIECZÓR W MIASTECZKU

...Znowu się przeniósł gwar na ulicę:
właśnie skończyli próbę w świetlicy
członkowie kółka dramatycznego,
teraz głos skrzypiec stamtąd dobiega.
Pora łagodna, jesienna prawie.
Chodźmy, gdzie świerszcze czuwają w trawie
i małych domków strzegą jabłonie,
tam, gdzie nad rzeką pasą się konie...

Pod zachód słońca gawronów stado
zgiełkiem i chmurą na drzewa spada
młodego parku, za którym szkoła
cynkowym dachem świeci wesoła...
Nim księżyc wzejdzie, jeszcze wymienię
tych — co na ławkach — czułe westchnienia,
mięt dzikich zapach, gwiazdy nieśmiałe
na niebie ciemnym, znieruchomiałym.

WIERSZYK ŻARTOBLIWY

Przy traktorze stoi
sam agronom i bada,
czy głębokość orki
wymogom odpowiada?

Rzeczowe uwagi,
gospodarska w nich troska,
traktorzysta słucha,
bo te słowa to rozkaz...

Gdy skończył agronom
udzielanie wskazówek,
traktorzysta rzuca
kilka takich ot, słówek:

Czy drogi agronom
będzie czas miał wieczorem,
czy przyjść by nie zechciał
pod brzozę nad jeziorem?

Dość dziwnych tych słówek
jaka była przyczyna?
Ten agronom, mili,
to poza tym dziewczyna!

Jan Huszcza

PAMIĘTNIK Z CELULOZY*)

VIII

Był już blisko sprawy, był prawie po tej stronie — dlaczego jednak szedł, czemu pętał się nadal bez celu i czynu?

Dwadzieścia lat później, opowiadając o tych czasach, Szczęsny po- e komisji od pamiętników:

— Przez tę moją hardość, albo jak to nazwać... głupią wrażliwość? le drobnostka, byle przypadek mogły mnie zrazić.

A wypadki wtedy jakby się sprzysięgły przeciw Szczęsnemu, zra- ąc go do czerwonych.

„Nie macie pojęcia, jaki ze mnie był ciemniak. W Związku Ra- eckim więcej mnie sól obchodziła, a w Rzekuciu świat był deskami ity. Nic się nie widziało poza swą krzywdą i że to nie ta ojczyzna, my jej wyglądali z Symbirska — jakieś wielkie oszukaństwo. I za- łem po trochu garnąć się do czerwonych, ale znów nie przez uświa- nienie, ale z buntu i z chęci walki. Najwięcej, pamiętam, przemówił mej wyobraźni ten pochód, o którym opowiadano u nas na Grzyw- : jak to komuniści zebrali bezrobotnych z Grzywna i poszli pod gistrat; jak Dworakowski wpadł do gabinetu prezydenta miasta (pre- łentem był wtedy Greiser), a ten się schował pod biurko, tak że orakowski musiał go stamtąd wyciągnąć, by przedstawić żądania robotnych. Wywalczono wówczas bony żywnościowe do sklepów. tem strajk w Celulozie. Tu sam byłem świadkiem, że naprawdę wal- , że niczego się nie boją. I postawa Marusika. Ale strajk upadł, ro- nicy mnie wyrzucili, Marusik odtrącił, do tegoż jeszcze Pandera nas głaskał i chadeki dały pożyczkę. No i jak tu się nie obrazić, nie ątpić, czy aby czerwoni mają rację na sto procent? Nie wszyscy pa- wie przecież są źli. Może ojciec słusznie powiada, że lepiej bez krzy- spokojnie"...

Jest w tej relacji pośpiech i nawał. Za dużo naraz i nie do końca — to zwykle u Szczęsnego. Musimy to wszystko rozpatrzeć po kolei. Otóż ze strajkiem tak było.

Komitet Fabryczny udał się do Pandery. Pandera przyjął ich bardzo rze, na fotele posadził, częstował egipskimi — nikt oczywiście nie

*) Patrz numer poprzedni Twórczości.

wziął. Marusik w imieniu Komitetu przedstawił żądania załogi. Pandera na wszystko się godził, ale — mówił — konferencja odbędzie się jutro. Był bardzo wystraszony, ręce mu drżały. — „Panowie, nie trzeba strajk! Ja chcem dobra placa, i dobra robota, i socjalizm — tak! Bez ruina, bez rewolucja — tak! Ja jestem stara socjalista!" — i pokazywał legitymację z Węgier, że był tam socjal-demokratą. Rozstali się z nim w nadziei, że dojdą jakoś do ładu. Nazajutrz jednak, gdy przyszli na konferencję, Pandera oświadczył, że Komitetu nie uznaje i mówić z nimi nie chce. Skąd ta zmiana? Otóż w międzyczasie związki chadecki i endecki przysłały delegacje: strajku nie popierają, ich ludzie stoją po stronie dyrekcji! Pandera zwrócił się wtedy do PPS-u: jakie jest stanowisko partii? — „Dziki strajk — powiedziano mu — nie mamy z tym nic wspólnego". Komisarz domagał się kroków stanowczych — policja w pogotowiu! Rzecz jasna, Pandera nabrał otuchy i nie chciał już słyszeć o żadnych ustępstwach. Wierzył w zwycięstwo. Istotnie większość załogi stanęła do pracy i strajk upadł. Z fabryki zostali wydaleni, jakoby na żądanie władz, Marusik i Włosiński za podburzanie i Osietczak za to, że dał sygnał do strajku. Majstra przecież usunął z kotłowni i syreną ogłosił...

O tym wszystkim Szczęsny dowiedział się z przemówienia Tomczewskiego na masówce między rejami w czasie przerwy obiadowej. Wracał do swoich z pustym wiadrem i tu, na Placu Drzewnym, w wąwozie zwartych sągów, natknął się na tę grupę. Słuchał więc stojąc z tyłu jak Tomczewski pocieszał, że ta ich walka nie pójdzie na marne. Na tych porażkach oni się nauczą, wszyscy ich w końcu zrozumieją. Trzeba tylko mądrzej i ostrożniej...

Pomówili jeszcze o tej ostrożności i zaczęli się rozchodzić.

Szczęsny podniósł wiadro, zbierając się do odejścia, wtem poczuł na ramieniu czyjąś dłoń.

— Czy to ten? — pytał się krępy niemłody już robotnik, z twarzą od węgla.

— Ten — potwierdził młody ładny blondyn.

Białasek grał z nim kiedyś w karty na „bezrobotnej łączce" — Szczęsny pamiętał — Gąbiński.

Węglarz jednym ruchem obrócił Szczęsnego do siebie, zajrzał mu w oczy. Doskoczyło jeszcze kilku.

— Co tu robisz?

— Idę z obiadu. Obiad nosiłem.

— Idzie! — zaśmiał się Gąbiński. — Cały czas tu stał i słuchał!

— To co, że słuchałem. Chcę przecież wiedzieć...

— Chcesz wiedzieć? — powtórzył węglarz i powiódł okiem po towarzyszach, potem do Szczęsnego z hamowaną złością: — A ty, taki synu, skąd? Od kogo?

— On od rozbijaczy, z chłopskiej partii, chadecki syn! — oskarżał achłystując się Gąbiński. — Ta heca na Maślanej — przez niego właśnie! I po wiecu pobiegł prosto do Wajszyca, Wajszyc coś mu w bramie powiedział. Prowokator!

Szczęsny szarpnął się — na Gąbińskiego, za to szczekanie!

— No nie, gnidko — tu nie Maślana! Żebyś był troszkę starszy, toby śmy... Ale żeś jeszcze gnidka, to tylko tak!

Obrócił w ręku, kopnął w pośladek.

— Zmiataj!

Rzucił za nim wiadro.

— A gdybyś jeszcze raz przyszedł do nas, wtedy inaczej pogadamy!

Szczęsny nie miał kamienia ani noża, więc cisnął:

— Ścierwo! Pachołki!!

Złapał wiadro i w nogi.

Bolało. Bolące było nie kopnięcie, ale że kopnęli jak psa. Gorzej eszcze — jak judasza. Prowokator! To chyba to samo... Przezywano go różnie, wymyślano mu od zbójów, od chuliganów, od bolszewików... Nikt jednak nigdy nie powiedział, że szpieguje, że kogoś zdradza!

Cały dzień tym się truł, pracując na dachu. Przybił ostatnią kantówkę i nawet wianka nie wywiesił. A przydałby się wianek. Niechby ojciec zobaczył z daleka, że ciesielska robota skończona.

Do Brońci, która świergoliła na dole, nie odzywał się wcale, aż się spytała po dłuższym namyśle:

— Ugryzł?

— Daj mi spokój.

— Brylek ugryzł? Pokaż nogę...

Pod wieczór już tak nie bolało, już tylko ćmiło, bo kładł z ojcem pierwsze czerepy na swój sposób i to się udało — ojciec pochwalił. Ale przy kolacji Korbal znów wszystko przypomniał.

— Marusika wyleli, wiesz? — powiedział zadowolony, skrobiąc się swoim zwyczajem pod rozchełstaną koszulą. — Mówiłem, że tym się skończy.

Korbal z tą swoją mądrością stał się ostatnio niemożliwy. Wszystkich obgadywał, wszystko z góry wiedział — prorok zaświerzbiony!

— Osioł! Pandera go przecież do siebie wzywał, chciał z nim po dobremu. Po co to pyskowanie? Niech zostanie, zmianowym będzie, jak się trochę uciszy po strajku. Wiecie, ile zmianowy ma? Siedemset złotych! To ten idiota, panie dziejku, jeszcze się pytał: „A co z towaszyszami, którzy są na liście?". „Na nich mi nie zależy — pójdą precz". — „No to ja panu dyrektorowi bardzo dziękuję, ale nie jestem Udałkiem. Nie do sprzedania!"

— A pana to boli? — nie wytrzymał Szczęsny.

— Co ma boleć?

— A że pana nikt nie chce kupić!

Ojciec trącił Szczęsnego — przestań, do czego to podobne... Szczęsny jak zwykle, gdy stary błagał go wzrokiem o spokój, o pokorę — przepuścił Korbalowi słowa o niedorosłych szczeniakach i Marusika pozwolił opluwać.

— Byłby sobie pracował uczciwie jak każden jeden, bez żadnego podburzania. A tak kobietę zmarnował łobuz, dzieci zmarnował, poszedł na zieloną trawkę — salami ośle!

Ze wszystkich czerwonych w Celulozie Marusik najbardziej pociągał Szczęsnego. Widział go wszędzie, gdzie działa się krzywda, z którą trzeba było walczyć. A z tego, co słyszał o nim, najmocniej utkwiło w pamięci, że samochód kupił dla bezrobotnych towarzyszy. Został bez pieniędzy, żeby tylko oni mieli pracę. Teraz, gdy Marusik wybrał bezrobocie zamiast podłego bogactwa, Szczęsny nie miał już żadnej wątpliwości, że to człowiek sprawiedliwy.

I właśnie Marusik odtrącił go okrutnie, bez żadnej racji.

Spotkali się na ulicy. Szczęsny chciał zagadać, a nie wiedział jak. Marusik szedł prosto na niego, nie widząc go, zasępiony. Dopiero na parę kroków przed sobą dostrzegł twarz i uśmiech Szczęsnego. Był to uśmiech słaby, proszący, ale Marusik wziął go za grymas złośliwości. Poznał Szczęsnego: ten, który wszczął bójkę na Maślanej! Przez którego został ukarany w komisariacie...

— Uuch, jak bym cię, gada...

Ruszył ręką, jak by się chciał zamachnąć. Mógłby zabić — takie miał wtedy oczy.

A gdy natychmiast wyminął go z wyrazem obrzydzenia — uśmiech Szczęsnego stężał w gorzkiej zaciętości: nigdy przed nikim nie będzie się tłumaczył, nikogo o pomoc nie poprosi!

W tych dniach lipcowych Szczęsny schudł na szczapę. Gotowanie, wożenie gliny, obkładanie chałupy „czerepami", snu zaledwie kilka godzin i znów do pracy zajadłej, nieodczepnej, a tu upały jak nad Wołgą w ten straszny rok posuchy. Schudł, przygarbił się, na wszystko zobojętniał.

Strugacze wyglądali nie lepiej. Na Placu Drzewnym trudno było ustać z gorąca. Żaden podmuch wiatru nie dochodził do osłoniętej rezami kobyłki. Nagrzane drzewo parowało, od wiórów bił kwaśny żar — kartofle upiec w nich można, mówił Korbal.

Pracowali w spodniach bez koszul. Obiad trwał nie kwadrans jak dawniej, ale blisko godzinę. Nie mieli sił od razu po jedzeniu stanąć do roboty.

Pewnego razu odpoczywali jak dziewięciu Gawlikowskich. Nawet Korbal stał się podobny do swego kumpla, który odzywał się tylko z musu, a i to jego słówko zawsze można było tłumaczyć na dwoje. Nikt nie wiedział, o czym myśli Gawlikowski i czy w ogóle myśli, jaki jest w gruncie rzeczy ten Gawlikowski — człowiek dla wszystkich nijaki.

Milczeli więc po obiedzie. Tego dnia ojciec także zdjął koszulę. Szczęsny zląkł się po prostu, jak bardzo jest on wyschnięty. Wyssała go ta Celuloza — „Ameryka", psiamać! Skóra i kości. Szyja cieniutka, ręce dziecięce, do łokci tylko żylaste, ciesielskie. Łysy i drobny — niemowlątko z wąsami, można powiedzieć, siedzi tam na obałku.

— Uwaga — ostrzegł nagle Korbal — Minoga!

Powstali, dziwiąc się temu, że minoga tu zaszła i że tak późno. Zawsze przecież chodzi po fabryce z rana, a na Plac Drzewny najrzadziej zagląda.

— Siadać, chlopy, siadać. Odpocześć trzeba.

Nie wypadało przy dyrektorze, więc stali z uszanowaniem, dopiero gdy Pandera usiadł na kobyłce, wycierając chusteczką spocone czoło, ó i oni poszli za jego przykładem.

— Oh — oh, ogień z nieba...

Wyjął papierośnicę.

— Palić, chlopy. Pandera zaplaci.

Uśmiechnęli się blado. Palić na Placu Drzewnym można było tylko przy specjalnych cembrowinach. Za palenie gdzie indziej płaciło się złotówkę kary.

Papierosy były ze złotą obwódką. Palący wygmerali po jednym z podanego cacka. Palce od ośnika nie chciały się zginać.

Korbal zapałką usłużył. Pandera przypalił, głową skinął:

— Dziękuję.

Już nie mówił: dżenkujem. Może to i prawda, że co dzień przychodzi do niego nauczyciel z gimnazjum i uczy polskiego. Ale tego „ł" w żaden sposób nie może się nauczyć, wciąż ma swoje „chlopa" i „zaplaci".

— Teraz ciężka praca... Ale jest zarobek, dobry zarobek?

Pytał Gawlikowskiego, ale ten swoim zwyczajem odpowiedział nijako:

— Po dwa dwadzieścia od metra.

— Owszem, panie dyrektorze — wyręczył kolegę Korbal. — Zarabiamy. Może nawet lepiej od innych. Ale za taką pracę wartoby dorzucić — choć 10 groszy na metr. Robi się na akord, a wypada dniówka — 6 złotych!

Zełgał, bo wypadało średnio 7 złotych.

Pandera bardzo się tym przejął.

— Dlaczego tyle malo? Nie umiecie pracować?

— Panie dyrektorze, kto by umiał lepiej! Naszą partię tu znają — pierwsza partia. Pan Arciuch powie. Orły! Każdego prześcigną, łobuzy. Choćby na ten przykład siekiera. Nie było w Celulozie takiej siekiery i nie będzie!

I do ojca:

— Pokaż sztukę.

A do Pandery:

— On, panie dyrektorze, z jednej zapałki robi dwie.

— Dwie, oh-oh? Pokaż to chlopa, nagrodę dam.

Korbal położył na łagance zapałkę. Wszyscy podeszli bliżej. Wiele razy widzieli tę sztukę, ale zawsze byli jej ciekawi.

Ojciec stanął o krok przed ługanką, chowając cieślicę za siebie, jak gdyby miał uciąć łeb stworzeniu, które nie powinno widzieć narzędzia swej śmierci. Chwilę patrzył na zapałkę z zawstydzeniem, przepraszając zdawało się za to, co zaraz z nią zrobi. Naraz machnął leciutko i rozszczepione akuratnie połówki odskoczyły od siebie główkami w różne strony. Obie można było zapalić, bo siarki nie popsuł.

— Nasza siekiera, panie dyrektorze, muchy rąbie. Czasem zobaczy u kogoś muchę na łbie, to zaraz ją przez pół, a łba nawet nie draśnie!

— Oh nie, leb nie, niemożliwe — śmiał się Pandera, przyglądając się ojcu jak gdyby chciał go sobie zapamiętać. Oczy miał bystre, piękne oczy, a czoło wyniosłe, gładkie. Z daleka wyglądał na ofermę, co ze szpitala uciekła. Przez ten krok jakiś rozchwiany, i cerę żółtawą, i to,

że był tykowaty, wąski w piersi. Ale z bliska widziało się, że to człowiek bardzo żywotny, że w tej małej kształtnej głowie myśli biegają bez ustanku tam i z powrotem, szukając ujścia.

Schował do portfelu rozszczepioną zapałkę, a ojcu dał w nagrodę pięć złotych srebrną monetą.

— Malo zarabiacie, bo dużo ludzi.

Strugacze, tłumaczył im, pracują na dwóch sortowników. Dlaczego jest dwóch? Czy jeden nie wystarczy? Niech jeden zostanie, na każdego wtedy więcej przypadnie, bo partia będzie liczyła tylko 8 ludzi.

— A co z drugim?

— Drugi wyladowacz będzie, więcej zarobi.

— Ile?

Pandera powiedział, że przy wyładunku płaci się osiem i osiem dziesiątych grosza od metra. Wagon ma 20 ton czyli 46 metrów przestrzennych. Dwa wagony zawsze się wyładuje. Wypada 8 złotych dziennie. O złotówkę więcej niż u strugaczy.

Korbal połakomił się na tę złotówkę.

— Ja bym poszedł, proszę pana dyrektora.

Pandera kazał mu przyjść jutro między dziesiątą a jedenastą. O tej porze każdy może przyjść do niego ze swą sprawą, wszystkich wysłuchuje i załatwia.

Zabierał się już do odejścia, ale jeszcze sobie przypomniał:

— A kto ma rower?

Nikt oczywiście nie miał.

— Niedobrze, chłopi, niedobrze. U mnie robotnik musi mieć rower. Teraz rower, później motocykl. W Ameryka tak jest i tu będzie jak w Ameryka.

Uśmiechnąwszy się na pożegnanie, oddalił się, powłócząc nieznacznie nogami.

— To ja rozumiem — powiedział Korbal. — To jest dyrektor. Wszędzie zajrzy, z każdym porozmawia. Gospodarz, panie dziejku. Czego chcą od niego? Człowiek na miejscu.

Na miejscu, przyznali wszyscy. Wielki pan, a papierosa z nimi wypalił. Pogadał, nawet poradził. Ludzki człowiek.

— Gawlikowski, a ty co powiesz?

— Minoga.

Pośmieli się z niego — że też nigdy nie powie, o co mu chodzi! — i ruszyli do kobyłki.

Szczęsny także nie znalazł w Panderze nic z człowieka, którego pomawiano o straszne rzeczy. Żałował nawet, że nie znalazł. Wolałby Panderę z wiecu czerwonych. Bo teraz znów nie wiadomo: może nie wszystko, co o nim gadają, jest prawdą? Może trochę przeholowali?

Zabrakło na domek. Wyczerpały się wszystkie pieniądze: i te 300 złotych, które zostały po sprzedaży gruntu, i to, co ojciec zdołał odłożyć z zarobków. Chałupa wprawdzie stała, ale bez dachu, bez pieca, bez podłogi w kuchni. Potrzebowała drzwi i okien, tynków wewnątrz, wyprawy z zewnątrz, malowania... Zabrakło na wykończenie. Gdy zaczęli liczyć, to się okazało, że wykończenie kosztuje trzy razy tyle, co sama chałupa.

Ojciec chodził jak struty, aż się Korbal zlitował. Nie od razu, dopiero po paru dniach, gdy ojciec zupełnie zmarniał.

— A czemu, ojczulku, nie pójdziecie do związku?

— A czy związek da?

— Da, swoim daje. Ludzie pobrali pieniądze na domki, przy Wierzbowej, a wam przecież potrzeba na wykończenie. Napiszcie prośbę. Na pewno dostaniecie, niech tylko ksiądz Wojda poprze.

Łatwo powiedzieć: napiszcie! Oni tej roboty nie byli zwyczajni. Kto ma napisać? Ojciec nie umiał, Szczęsny owszem pisał, ale litery wychodziły u niego jak z grubego drutu, nie bardzo z sobą posczepiane. I znowuż na słowach trzeba się znać. Może ten zarząd jest wielmożny, a może tylko szanowny? I jak się go prosi: zwyczajnie „bardzo proszę", czy sztywno „dopraszam się", czy miękko „upraszam pokornie"... Słowa też są w różnych gatunkach. Jak deski na składzie: odziomkowe, górne, boczne, trwadziel, biel i same obladry.

— No to ja za was napiszę — wyręczył ich Korbal. — Niech tylko Szczęsny skoczy do Sosnowskiego po papier. I niech przyniesie czterdziestkę z jednym małosolnym. Lepiej się będzie pisało.

Napisał jak należy, bo i ksiądz Wojda poparł, i zarząd uchwalił. Dostali tysiąc złotych pożyczki na pięć lat, do zwrotu, z procentem po 17 złotych 60 groszy miesięcznie.

— Sam tera widzisz — mówił ojciec Szczęsnemu — widzisz, który związek o nas dba. Tamci krzyczą, obiecują Bóg wie co, a ci spokojnie, po chrześcijańsku. Poratowali przecie, pomogli...

Zwieźli zaraz wszystek budulec do domku, pokryli czym prędzej kawałek dachu w kuchni i pod nim zamieszkali. Tu był ich magazyn, stała prycza i warsztat z kilku desek. Przy tym warsztacie, uporawszy

ę z dachem, robili futryny, okna, całą stolarkę, której ojciec uczył
częsnego.

Cichowicz sprowadził ze wsi rodzinę i przeniósł się do swej budki
sąsiedztwie; Michalski od miesiąca już mieszkał z dziewczyną po
itkiewiczu, tak że w „arce" zostało tylko sześciu: dwóch żonatych
czterech kawalerów.

Jeden żonaty, Kwapisz, rozpił się w mieście. Drugi powiedział, że
a dużą rodzinę, w takiej budce jak Cichowicz mieszkać nie może,
na porządny domek jak u „siekiery" zbierać musi co najmniej jeszcze
k, więc zabezpieczy „arkę" na zimę i gdy wszyscy odejdą, zostanie
m, jakoś się przemęczy. Kawalerowie o chałupach nie myśleli. „My
urządzimy na mieście" — mówili i pieniądze wydawali na ubranie.

Gawlikowski, gdy go zapytano, odrzekł niewyraźnie:

— Korbal wybuduje.

Miało to chyba znaczyć, że zamieszka u Korbala. Ten co prawda
walił się, że postawi domek murowany, pierwszy na Kozłowie z czy-
ej cegły, ale w to nie bardzo wierzono, bo o plac swój nie dbał i pie-
ądze tracił. Pewnego razu jednak niedowiarki zobaczyły, że Korbal
głę wozi. Furami wozi na Kozłowo — tego tu jeszcze nie widziano.

— Skąd na to wziąłeś?

— Pan Bóg przysłał przez anioła. Poleconym, bo by łobuz ukradł!

Dopiero w kilka miesięcy potem wyszło na jaw, że ten anioł nazywa
ę Pandera! Pandera pozwolił wywieźć parę fur starej cegły z roz-
órki budynku fabrycznego, bo Korbal, załatwiając u niego sprawę
zeniesienia do wyładunku, poprosił go o to w imieniu „chłopskiej
artii". — „Na podmurówkę nie mamy, na piece..." Nic go ta cegła nie
sztowała, furmanowi tylko zapłacił i pobudował się cudzym. Nieraz
u to koledzy później wytykali, ale wtedy on już na nich gwizdał.

A więc cegłę zwiózł i murarza jakiegoś z „bezrobotnej łączki" zgo-
ził. Ten robił, a Korbal po pracy przebierał się, pucował i po daw-
emu znikał na Warszawskiej Szosie — elegancki pan!

Na Kozłowie mówiono, że Korbal idzie w górę, na człowieka wy-
odzi nowym kapeluszem i „wytrawnym językiem". Tak mu raz przy-
adał Tomczewski, maszynista z Celulozy:

— Wytrawnym językiem karierę chce pan Korbal zrobić u cha-
ków.

Bo Korbal przy każdej okazji jechał na czerwonych. A gadał na
szystkich zebraniach, o wszystkich sprawach, swobodnie, z waszecia,
że umiał rozśmieszać i rację swoją kładł słuchaczom do głowy ich
łasną łopatą, więc mu chętnie klaskali.

— Korbal, kolego, ma... A ma! Z chłopów on, szelma, chłopski rozum...

Porastał u chadeków w poważanie i znaczenie. W „Ogniwie" wybrano go do komisji rewizyjnej.

Ludzie z Kozłowa widzieli go w tej spółdzielni, jak się handlu przyglądał. Widzieli też i z Kleszczówną, której ojciec miał jatkę na Cygance. Bywał z nią w kinie, przeważnie w „Słońcu" na Gęsiej, na bulwarach nad Wisłą i w cukierni „Chłodnej" na Trzeciego Maja.

Rozmaite na ten temat krążyły plotki i domysły, ale Szczęsnego z ojcem mało to wszystko obchodziło. Żyli swoją budową, przyspieszali roboty, bo się miało na jesień.

— Żeby tylko zdążyć przed słotą. Jeszcze piec, jeszcze tynki...

Piec stawiał im zdun z Celulozy. Ojciec poprosił, żeby przyszedł po fajrancie. A co do zapłaty, to się przecież pogodzą.

Zdun przyszedł z pomocnikiem. To było przykre spotkanie. Białasek nie wiedział, do kogo majster go prowadzi, oni znów nie mieli pojęcia, że białasek pracuje u tego majstra.

W pierwszej chwili chciał się cofnąć — takie mieli wrażenie — po prostu odwrócić się i odejść. Ale oni widocznie byli bardziej zmieszani i zaskoczeni od niego, bo się uśmiechnął i został.

Przy poczęstunku ojciec oczywiście zaprosił go także do stołu i majster ojca poparł:

— Chodź, Staszku, na jednego.

— Dziękuję, ja nie pijący.

W żaden sposób nie dał się namówić i od razu wziął się do roboty. Szczęsny też przy nim pracował, mieszając glinę, żeby ten czegoś czasem nie sknocił przez zemstę. Ale białasek robił rzetelnie dzień i drugi, a gdy ojciec przy pożegnaniu chciał mu dać coś od siebie, poza majstrem, ten tylko głową potrząsnął.

— Zapłacone.

Napasł oczy ich zawstydzeniem i upokorzywszy, odszedł zadowolony z siebie.

Nigdy później o nim między sobą nie rozmawiali.

Pod koniec września stanął wreszcie domek zgrabny, jak sobie ojciec wymarzył: jednym oknem na Grzywno, a drugim na Celulozę. Pierwszy na Kozłowie domek, gdzie wszystko trzymało się winkla i pionu. Jasnożółtej wyprawy, z dachem wysokim na dobry strych. I drzwi z zamkiem cuhaltowym były filungowe.

— Pilnuj, synu — rzekł ojciec ze wzruszeniem, oddając klucz. — Na ogień uważaj i żeby nam szyb nie wyjęli...

Poszedł do Rzekucia po dzieci, Szczęsny został w partii zamiast ojca ekierą, a obiad dla wszystkich gotowała Cichowiczowa.

Na parę dni wybrał się ojciec, a zabawił przeszło dwa tygodnie. ymczasem zaszły wypadki niespodziewane i trudne do uwierzenia.

Nazajutrz po odejściu ojca zjawił się Sosnowski.

— Jak się masz, waleczny! Dobrze, co? Nie w ziemi, widzę, w chapie mieszkacie.

Dług chciał oddać.

— Dwieście kilo po dziesięć groszy i piętnaście kilo po piętnaście — ile razem będzie?

Szczęsny nie mógł policzyć, więc Sosnowski sam odpowiedział:

— Dwadzieścia dwa złote dwadzieścia pięć groszy. Trzymaj, kasa aci!

Wyjął garść srebra, ale gdy Szczęsny wyciągnął po nie rękę, Soowski schował.

— Nie, waleczny. Chciałem ci tylko pokazać, że mogę wypłacić każdej chwili. Ale zapłacę czym innym, żebyś wiedział, jak Sosnowi wynagradza.

Zabrał go z sobą do mieszkania Sosnowskiego pierwszego, co rotkowe pobierał, a głowę miał jak arbuz gołą. Mieszkał przy sklepie.

— Daj tę kapitańską galę. Może będzie pasowało.

— A coś ty... — zacharczał tamten. — Nie dla niego taki towar...

— Daj, daj, kutwo. Nie twoja rzecz. I lakierki przynieś.

Rogatkowy obrzucił Szczęsnego niedobrym spojrzeniem i wyszedł, mykając drzwi za sobą. Po paru minutach przyniósł brązowe kamae, granatowe spodnie i takąż marynarkę ze złotymi galonami na rękawie. Wszystko nowe.

— Włóż — rozkazał Sosnowski.

Szczęsny włożył. Marynarka była za luźna. Rękawy za długie.

— Głupstwo. Lubart ci to raz-dwa przerobi. Złoto spruje, znaku e będzie... Wziąłbym za to najmniej dwieście złotych, a tobie oddaję dwadzieścia. Bierz, chłopak, niech się dobrze nosi.

— Kiedy ja nie wiem — bronił się Szczęsny, oszołomiony oglądaym bogactwem — nie wiem, co pan za to chce.

— Niczego nie chcę. Ja, braciszku, biorę i daję, jak mi się podoba. eź, chłopak, nie dziękuj, może kiedyś przy sposobności...

Po prostu wetknął mu to zawiniątko i wyprowadził na ulicę. Jak ykle gdzieś się śpieszył. Porozmawiają, gdy będzie wolniejszy...

Szczęsny domyślał się, że te rzeczy nie przyszły tu drogą uczciwą. ochodzą z kradzieży. Ale on ich nie ukradł — dostał za pracę. Dla-

czego miałby nie skorzystać z okazji? Napracował się, nadźwigał, o mało go wojsko nie złapało przy wale...

— W razie czego powiem, jak było — uspokajał siebie, przymierzając w domu piękne ubranie. — Nic mi nie zrobią, ja to wziąłem zamiast pieniędzy.

Chodził po domu w nowych skrzypiących półbucikach, w spodniach z kantem jak strug. Spoglądał na rękaw, żałując, że złoto trzeba jednak spruć. W tej kapitańskiej gali czuł się wyższy, pewniejszy siebie. Mógłby usiąść w niedzielę w parku na ławce przed samą orkiestrą, mógłby wejść jak Korbal do „Słońca".

Tegoż dnia zaniósł do Lubarta. Oni się już wyprowadzili. Fejga znalazła kąt u kogoś, Lubart dostał pracę w zakładzie krawieckim. Ale dla Szczęsnego, mówił, dla Brońci opiekuna, wszystko zrobi. Za parę dni przyniesie garnitur.

Wziął miarę, obejrzał raz jeszcze przyniesione ubranie i wyskubawszy z lewej strony nogawki pasemko włókien, rozciągał je pomału przed nosem, na którym siedziały niepewnie okulary w dziadowskiej oprawie.

— Bielski materiał. Trzydzieści dwa złote metr! Będziesz pan wyglądał jak młody Radziwiłł.

W tym samym czasie Szczęsny próbował rozmówić się z Sumczakiem co do pracy. Niech zapyta strugaczy albo pana Arciucha, czy zły z niego robotnik. Tydzień już ojca zastępuje i partia wcale tego nie odczuwa. Prosi więc o pracę. Jeśli nie na placu, to gdzie indziej, chociażby przy maszynach w rąbalni, gdzie drzewo szatkuje się na drobne kawałki. Albo przy warnikach, w których tę miazgę z ługiem gotują i odciągają celulozę. Albo w tym budynku, gdzie celulozę płuczą, suszą, bielą i prasują. Wszystko jedno gdzie — byle pracować. Przy piecach, gdzie pali się piryty, ażeby mieć siarkę. Na wieżach z wapniakami, przez które puszczają gaz siarkowy z wodą, żeby mieć ług. W spirytusowni, bo i spirytus tu się robi z niepotrzebnego już ługu, który odchodzi z warników...

Tyle jest w tej fabryce różnych działów, że zawsze człowieka można wetknąć, jeśli się chce. A żeby Sumczak chciał, Szczęsny mu powie

— Panie szefie, jeżeli pan mnie urządzi, to przez pierwszy miesiąc nie widzę wypłaty. Listę podpisuję, a pieniędzy nie biorę.

Tak sobie to wszystko Szczęsny ułożył, całą rozmowę, ale nie mógł jakoś zastać Sumczaka samego.

Zajrzał raz do kantorku w porze obiadowej i wyszedł, bo było dużo osób.

Spróbował po fajrancie, ale kantorek był pusty. Usiadł więc na aborku przy drzwiach i czekał — może jednak Sumczak przyjdzie.

Pokój był od dawna nie wietrzony i zaniedbany. Zaduch, podłoga rudna, niedopałków pełno na stole... Szuflady puste, pootwierane, jak dyby ktoś tu spakował się i wyniósł. Przedsiębiorstwo podobno ku-eje. Nie ma Iwana, nie ma Udałka, może nie będzie i Sumczaka. Trze-a się pospieszyć, póki on jest.

Z pokoju naprzeciwko, gdzie był warsztat rymarski, dochodziły łowa rozmowy. Szczęsny z początku nie uważał, ale gdy poznał głosy, ;ął się wsłuchiwać. Dwóch tam rozmawiało: rymarz Kępiński, który iedyś na „łączce" ośmieszał Sumczaka, i Gąbiński. Widocznie Kępiński racuje w drugiej zmianie, dlatego jest tu o tej porze. Ale co robi niego ten goguś? Może znów niewinnego oskarża, że sługus, że pro-okator...

— ...a deszcz wtedy lał. Mokro było, szlamu powyżej kostki. I do egoż ten smród, ten brud... — skarżył się Gąbiński. — Co wam będę powiadał, sami wiecie, jak jest w kanałach. Poszedłem do Sumczaka, eby dał gumowe buty. To mi powiedział, żebym robił boso. — „Boso, nówię, robić nie będę". — „A to się wynoś, nygusie!" — Wziął za ark i wyrzucił.

— Zupełnie, drań, spodlał — ozwał się Kępiński. — Trzeba go reszcie utemperować.

— Siostrę też wyrzucił. Była sklepową w „Ogniwie". Ale Korbal hciał tam wepchnąć na praktykę swoję Kleszczównę, więc Sumczak orbalowi poszedł na rękę. Ten w zarządzie, a tamten w komisji rewi-yjnej — ręka rękę myje. A mnie został winien 10 złotych z ostatniej ypłaty. Miałem mu darować? No sami powiedzcie: miałem darować?

— Nikt tego nie mówi. Co zarobiłeś — święte. Musi oddać.

— Toteż tak właśnie myślę. I przychodzę do niego raz — on nic ie wie, nie pamięta, musi listę sprawdzić. Przychodzę drugi raz: „Pa-ie Sumczak, kiedyż pan mi odda?" A on się śmieje: „Ty buty zedrzesz, im ci oddam!" Przy wszystkich. Nie! Nie zedrę. Do trzech razy sztuka. ak mi teraz nie odda, to ja się z nim załatwię!

— Wiesz, co ci powiem... Idź ty teraz do domu, uspokój się. A jutro a z nim pogadam.

— Nie, ja muszę sam — upierał się Gąbiński. Ale w końcu pod-ał się i poszedł.

Szczęsny pomyślał, że Kępiński najlepiej będzie wiedział, kiedy utro Sumczak przyjdzie do kantorku i przeszedł przez sionkę do war-ztatu. Rzeczywiście Kępiński wiedział.

— Jutro o piątej. Rachunki ma porządkować, tak mówił, ale czy przyjdzie, za to nie ręczę. A ty w jakiej sprawie do niego?

— Szukam pracy.

— O, z tym gorzej. Zwalniać, owszem, zwalniają, ale żeby teraz kogoś przyjęli... Cóż, zapytaj, może się uda.

Następnego dnia Szczęsny spóźnił się o parę minut. Stał się wypadek: Cichowicz zasłabł im w bramie. Od dwóch dni robił na siłę. Skaleczenie było lekkie, ale ręka mu spuchła i sczerniała. Widzieli, że ledwo trzyma się na nogach. „Rzuć to — radzili mu — idź do doktora". Ale w doktorów Cichowicz nie wierzył i na robotę był łapczywy. Po fajrancie wyszli wszyscy razem za bramę i tu Cichowicz nagle zesztywniał. Twarz mu się strasznie wykrzywiła i nic nie mógł powiedzieć. Zaniemówił. Posłano Szczęsnego po dorożkę. Gawlikowski z Korbalem powieźli Cichowicza do szpitala, wtedy dopiero Szczęsny poleciał do kantoru.

W sionce natknął się na Gąbińskiego. Chciał go wyminąć, ale ten ręką drogę mu zagrodził.

— Czekaj, ja pierwszy wejdę.

Zatrzymał Szczęsnego, do Sumczaka jednak nie szedł. Stał wciąż wsparty o ścianę, sam jak ściana blady.

— Więc wchodzisz czy nie?

— Zaraz. To nie jest takie łatwe...

Odwrócił się, ale nim zniknął za drzwiami, zdążył jeszcze rzucić przez ramię:

— A ty mi wybacz, jeśli nie jesteś od Wajszyca.

Szczęsny czekał przed oknem rymarza.

— No jak ci tam poszło? — spytał Kępiński.

— Nie byłem. Dopiero teraz pójdę, kiedy...

Chciał powiedzieć „kiedy wyjdzie Gąbiński"... Ale w tej chwili rozległy się raz za razem dwa przytłumione ciasną klitką strzały — zdawać by się mogło, że ktoś z kantorku trzepaczką dwa razy trzepnął.

— A niech ich... — zaklął Kępiński. — Nie mają już gdzie strzelać na wiwat!

— Kto?

— A przedsiębiorcy. Mają broń, to tak sobie czasem...

Nie skończył, bo na dwór wypadł Sumczak. Trzymał się za brzuch i usta otwierał, jakby chciał parsknąć śmiechem.

— Trzymajcie go — jęknął padając — zabił mnie... bandyta...

Kępiński rzucił się do niego, ale Sumczak odwrócił się na bok, nogą wierzgnął i zamarł.

Huknęło po całej fabryce. Zbiegli się ludzie, oglądali trupa z płochwie chciwym przerażeniem, a Kępiński wołał, że tam na rogu leży eszcze Gąbiński, że Gąbiński zabił Sumczaka i siebie.

— Może są tylko potrącení?

— Może da się uratować? Do szpitala!

Zajechała platforma, ta ciemnoburaczkowa, z której przemawiano a wiecu.

Gdy kładli ich na deski po węglu, przypomniały się słowa Wasilewciego z tej samej platformy: „nie Udałek, nie Sumczak, ale ustrój"... Szczęsny pojął, że Sumczak zginął jak żył — za kogoś, w zastępstwie. on, Szczęsny, mógłby leżeć tak samo jak Gąbiński z pistoletem dłoni mściwej i bezradnej...

IX

Ojciec wrócił po pogrzebie Sumczaka i Cichowicza. W jednym dniu h chowali: Sumczaka tłumnie, z wieńcami i mową, a Cichowicza bogo, bez chóru, w trumnie szczerososnowej, którą Szczęsny zbił narędce z Gawlikowskim. Nieśli ją strugacze na zmianę, uważając na yboje tej drogi ostatniej kolegi, któremu zmarło się tak nagle i głuio. Widocznie było to zapisane w górze, bo nikt nie umiera od rzazgi, wbitej powyżej przeguba.

Zapłacili za pogrzeb i dali wdowie po pięć złotych na sieroty. Poszła trojgiem drobiazgu do swej budki, by patrzeć tam martwym wzroiem na ściany, stawiane przez niego, na półeczkę, którą przybił z myślą o niej, żeby miała gdzie trzymać ślubne ich zdjęcie i flakon po wodzie kwiatowej.

Budka Cichowiczowej, ciemna i cicha, stała nieco niżej, nie zataniając widoku na Grzywno i Włocławek. Szczęsny widział przez okno oń jeziora stężałą w poświacie, o połysku matowym, po którym ślizgały ię bezładnie rozbiegane światła miasta. Jedne patrzyły w bok, unijając Kozłowa, drugie prosto na wdowią budkę, mrugając domyślnie, e 40 złotych starczy najwyżej na miesiąc. Może strugacze znów się łożą na sieroty, a potem co? Gotuje obiady; gotować będzie dla nich eszcze czas jakiś, ale czy można pożywić się przy sześciu? Zresztą ada dzień opuszczą „arkę". Na służbę nikt nie przyjmie z dziećmi. Do fabryki dostać się nie można, bo kryzys, wszędzie redukcje... Żeby nów pranie brać do domu — też słaba nadzieja. Pozostaje tylko

chrust. Pewnie chrust będzie zbierała w lesie. Jeśli borusy nie złapią, może sprzedawać na Starym Rynku po 50 groszy wiązkę...

Zachrzęściły koła po tłuczonych „czerepach" przed domem. Końska morda wyrosła za oknem. Nie zdążył wybiec na spotkanie, już drzwi trzasnęły i do izby wdarły się głosy rodzeństwa.

— Szczęsny, przyjechaliśmy!

— Gdzie jesteś, Szczęsny?

Kachna z Walkiem wpadli po ciemku na niego, uwiesili się rąk, ściskali i śmiali się z radości, że się wszyscy odnaleźli.

Ojciec, zarapując o skrobaczkę błoto z butów, odezwał się od proga:

— Zapal, synu, lampę, bo w tych ciemnościach...

A Weronka ze dworu:

— I rzeczy pomóż znieść.

Zapalił światło, przywitał się ze swoimi i z Żebrem, który ich przywiózł, a Weronka wciąż stała na dworze. Wyskoczył do niej.

— Weruś...

— Dobrze, dobrze... Bierz kopciuszka.

Zarzucił na plecy znajomy tobół, ona wzięła mniejszy, ale nie ruszyła z miejsca, zalękniona, że jeśli i tym razem wszystko okaże się złudą, to już chyba nie wytrzyma.

Popchnął ją lekko ku domkowi.

— Wejdź. Na swoje idziesz, na własne śmiecie.

Złożyli toboły w ciemnej kuchni, Walek z Kachną pobiegli do fury po resztę, a Weronka powiedziała przez zaciśnięte zęby, jak gdyby było jej zimno:

— Zaświeć.

Szczęsny przyniósł z izby lampę, uniósł ją wysoko nad głową i wtedy ujrzeli duży piec z fajerkami, białe tynki, podłogę gładką, wiórkowaną, z klapą po środku.

— To i piwnicę mamy?

— A jakże. Na wiosnę można lodu narąbać w jeziorze.

Jeszcze nie wierzyła w ten domek z opowiadań ojca. Ale już się prostowała, szacując wszystko okiem gospodyni. Bo jeśli nawet nic nie ma poza tym, to ta kuchnia od biedy wystarczy.

— Pokaż wszystko, żebym wiedziała, od czego tu zacząć.

Szczęsny pokazał sień ze spiżarką i schodki na strych, potem pokój duży, gdzie stały dwa drewniane łóżka, stół, i trzy taborety. Ściany były malowane na kolor złocisty ze szlaczkiem, a okna pod majowy liść, co to nie wiadomo: jasna zieleń czy seledyn?

— Spójrz na okna — chwalił się ojciec. — W każdym oknie ba-net-sztangi i lufcik, żebyś mogła wywietrzyć...

Zaglądał jej w oczy, czy dogodził, czy go za to pochwali. Szczęsny śmiechnął się na to, bo ojciec tak samo kiedyś dreptał za matką, czekając na dobre słowo. Weronka pojaśniała i była chwila, gdy się zdawało, że schyla się, by ojca w rękę całować.

— Rękawy ojciec, widzę, całkiem wystrzępił. Trzeba to koniecznie dziś zaszyć.

W tym odezwaniu się była cała Weronka. Jak matka zaharować się mogła dla nich, ale żeby serce okazać tkliwością jakąś, słowem czu-łym — nie, tego się wstydziła, czy nie umiała.

Kiedy wszystko już obejrzeli razem z Żebrem, który najgłośniej wyrażał swój podziw, Weronka zapytała, gdzie tu można co kupić, bo nic nie ma na kolację.

— A poleć, synu, do Sosnowskiego. Chleba zawsze można u niego dostać, i śledzia, i baleronu. No i wódki przynieś, bez tego dziś nie wypada...

W niespełna dwadzieścia minut wrócił Szczęsny od Sosnowskiego i w ciemnej sieni wyrżnął z rozpędu piersią w koński zad. Wojciech z ebro z ojcem — jak się okazało — zdążyli wyprząc konia i zdjąć dwa koła z wozu. „W sieni bezpiecznej", orzekł ojciec. Różni ludzie mieszkają na Kozłowie, może któryś uprowadzić sprzed domu, bo po podróży spać będą mocno, a psa nie ma.

Tak oto koń chrupał obok w sieni, a oni zasiedli w izbie do kolacji.

Śmiercią Sumczaka ojciec nie bardzo się przejął. „Świeć Panie" — powiedział z westchnieniem i, jak się godzi, chwilę odczekał. Ale nagły zgon Cichowicza zdjął go serdecznym żalem. Cichowicz był mu bliski, może najbliższy z całej partii, bo tak samo rwał się do roboty, odkła-dając na domek i żył dla rodziny. Nieraz rozmawiali o życiu i dzie-ciach; przy budowie jeden drugiemu pomagał, dzieląc się własnym pomysłem... Nikomu Cichowicz nie zawadzał, zawiści nie miał w sobie żadnej, więc po co go było tą drzazgą uśmiercać?

Ojciec przepił raz po raz do Żebra i krzywiąc się zagryzał balero-nem z bolesnym potępieniem. Nie pochwalał. Szczęsny zagadnął go w Rzekucie, dlaczego przyjechali tak późno, ale on zajęty swą myślą, wytanie zbył półsłówkami. Dopiero Kachna powiedziała, jak ciężko im było, gdy Weronka zachorowała — całe szczęście, że ojciec przyszedł.

— E, wtedy już czuła się dobrze — sprostował Walek. — Już cho-dziła, ale ojciec jednak powiózł ją do doktora. Nikt w Rzekuciu nie

wiedział, że to szkarlatyna. Dzieci chorowały, ale nie tak jak ona. Ona ma szesnaście lat, to dlatego. Im człowiek starszy, tym gorzej przechodzi dziecinną chorobę. Doktór jeszcze mówił, żebyśmy się pilnowali zarazków.

— A myśmy się wcale nie pilnowali i nie zachorowali! Ja tam w żadne zarazki nie wierzę.

— Boś nie widziała.

— A ty widziałeś?

— Nawet rysowałem na tablicy. Pełno ich w książce do przyrody — w powiększeniu. Bakterie. Jedne są jak sprężynki, drugie jak kuleczki, inne znów zupełnie jak glisty...

Walek mówił gładko, z wielką pewnością siebie, swej książkowej mądrości. I co jeszcze Szczęsnego w nim uderzyło, to ten jego niedziecięcy chłodek w ciemnopiwnych oczach, ta jakaś dojrzała świadomość na twarzy cherubinka z kasztanową czuprynką. Pucołowata Kachna, trzpiotowata Kachna wciąż była dzieckiem, ale Walek zachowywał się, jak gdyby pojął coś, do czego Szczęsny nigdy nie dojdzie.

Pytali go o naukę we Włocławku, o szkoły i profesorów — nie wiedział. I widząc ich rozczarowanie, zrozumiał, że ci dwoje mają swoje życie, swoją drogę, którą on z Weronką dotąd osłaniał, żeby przynajmniej oni, najmłodsi, mogli wyjść na ludzi. Cóż, Kachna pójdzie do piątego oddziału, Walek jest już po szkole powszechnej, chce się uczyć na mechanika... A on, Szczęsny, będzie nadal umiał tyle, co umie — trochę tego tam pisania i czytania. Z Weronką jest gorzej. Weronkę każdy może obrzucić słowem obcym i wstrętnym: analfabetka!

Przysiadła się na chwilę, złożywszy na kolanach dłonie czerwone i duże, od ścierki i tarki; posłuchała z wyrazem frasobliwej obcości, o czym mówią przy stole i przypomniawszy sobie o kawie, poszła znów do kuchni. Chód miała lekki, ruchy mądre, dokładne, wysoka była i zgrabna, choć niełądna. Szpeciły ją mocno rozwinięte żuchwy i usta szerokie, zacięte. Śniadą cerą i kruchym włosem przypominała brata, ale w Szczęsnym było coś ze zbója, co pociągało, żeby odgadnąć, a Weronkę widziało się jak otwartą książkę mozolnych rachunków domowych.

Walek Kachnę pouczał, jak się ma zachować w nowej szkole, żeby od razu zrobić dobre wrażenie, bo grunt właśnie — dobre wrażenie. A Żebro wypytywał ojca, czy można dostać się do jego „Ameryki".

— Sami wiecie jak u nas... Żeby nie koń, to bym nie wyżył. Koniem jeszcze się wyciągnie parę groszy z lasu, przy zwózce. Ale co to

a życie! A wy macie sto osiemdziesiąt na miesiąc, czasem, powia-
acie, nawet dwieście złotych! Nie wiem, czy u nas leśniczy ma tyle.
I znowuż ten dom! Kto to widział, żeby w pół roku dorobić się domu?

— Nie za swoje postawiłem — za pożyczone. Pięć lat będę spła-
ał. A co do roboty, to za darmo jej nie dali. Grunt musiałem sprzedać
a to wpisowe.

— A ja konia sprzedam! Akurat zmarł wam jeden, to ja bym w jego
niejsce... Pobudowałbym się obok, sąsiada mielibyście swojaka, co by
wam był wdzięczny do samej śmierci. Pomóżcie, toć ta „Ameryka"
erca wam nie zżarła...

— Nie zżarła, mówicie... Nie, ona jest żerna, ta „Ameryka", czło-
wieka ona niszczy.

Uśmiechnął się cierpko pod wypłowiałym wąsem, znów nalał i wy-
iwszy, jeszcze bardziej posmutniał. Wódka szła mu przeważnie do
erca, osiadając mętnym smutkiem.

— Dziewięciu nas tu przyszło. Dziewięciu chłopów bez roli, bez
adnego w świecie oparcia... Co się nam wtenczas widziało? To samo
o i wam: ta praca miejska, osiem godzin i fajrant, i dobre zarobki,
domki swoje tanim kosztem. Tanim! Bożeś drogi... I gdzież te domki?

Ręce przed siebie położył na stole, palce począł zaginać, wyliczając:

— Cichowicz zgorzał przy pracy, Michalski zadał się z lekką dziew-
zyną i złapał paskudną chorobę, cały teraz w pryszczach. Kwapisz
o zarobi, to przepije. Kaźmierczak, owszem, mieszka u siebie, zaraz
a nami. Popatrzcie jutro, jak mieszka w jamie, po naszemu w „arce".
Na chałupę zbiera, ale zaczem uzbiera, za rok albo za dwa, to mu ta
wilgła ziemia w kości wlezie — prędzej on gośćca się dorobi niż cha-
upy. Nieżonaci śmieją się z nas i wolą kąt u kogoś w mieście. Bo ja
wiem, może to i mądrzej... Więc kto się z nas wszystkich pobudował?
Tylko ja i Korbal. Mnie ksiądz jeden dopomógł, a Korbalowi... A Kor-
bal taki przebieglec, że równać się z nim nie możemy.

— To co mi radzicie?

— Nie wiem. W Rzekuciu źle i tutaj niedobrze. Zarobki większe,
ale życie droższe i wydatki dubeltowe. A że praca lżejsza, w to nie
wierzcie. Ja tam wolę dwanaście godzin robić w Rzekuciu przy kro-
wiach niż tu osiem na akord.

Wziął przylepkę, przełamał i nakładając plasterek baleronu, nad
ym chlebem głową pokiwał.

— Tak, tak... „Ameryka". Pół roku, mówicie i już domek. A mnie
ię wydaje, że dziewięć lat zeszło, że połowa krwi mojej gdzieś tutaj
wsiąkła...

Szczęsny już nie spał leżąc obok Walka, gdy drzwi skrzypnęły i do pokoju weszła Weronka. Boso, w samej koszuli, z warkoczami jak długie czarne węgorze. Na ręku miała przewieszone wyprasowane ubranie ojca, a w drugiej ręce obrazek z Rzekucia. Obrazek widocznie posmarowała od spodu klajstrem, bo ledwo przytknęła do ściany u wezgłowia ojca, przylgnął równo, bez zmarszczek. Szczęsny uprzytomnił sobie, że dziś niedziela. Wczoraj, w sobotę, odjechał Żębro, a dziś ma się odbyć poświęcenie chałupy.

Szerokolica Weronka, blada po chorobie i wymizerowana, była prawie ładna, gdy uśmiechnęła się do Rzekucia na ścianie, gdzie łany zboża, upstrzone kropkami po muchach, falowały bez końca od płockiej do włocławskiej świątyni, gdzie bydło pasło się piękne, wielgachne i pastuszek grał na fujarce pod gruszą. Może wierzyła jeszcze w to, co Szczęsny dawno odłożył między bajki: że gdzieś jest taka wieś syta i dostojna. A może po prostu widziała całą ich wędrówkę z tym obrazem i matkę, która umierając, nakazała jej dzieci pilnować, a najwięcej ojca, bo to słaby człowiek, nieporadny, choć serce ma złote. Nie doczekała się matuś tej niedzieli, gdy dom, pachnący świeżym drzewem, ksiądz pobłogosławi na długie lata szczęśliwości i dostatku.

Szczęsny wyciągnął ostrożnie spod łóżka kuferek, który zbił sobie z obrzynków po trumnie Cichowicza i wymknął się ze swą galą do spiżarki.

Gdy wyszedł stamtąd w nowym ciemnogranatowym garniturze, w brązowych półbucikach, Weronka o mało nie sparzyła się rosołem, który akurat próbowała, a Kachna rzuciła się do niego z piskiem, że taki ładny, że zupełnie geometra!

Na ten hałas zajrzał do kuchni Walek i też nie mógł się nadziwić, że brat, którego miał za niechluja i niedojdę, wygląda jak malowany, z pańska, niczym młody dziedzic. Obejrzał go ze wszystkich stron. Pomacał materiał.

— Po czemu metr?

— Trzydzieści dwa złote.

Walek gwizdnął — patrzcie go, trzydzieści dwa! — i spojrzał na brata z szacunkiem.

— Pochodź trochę — poprosiła Kachna. — Jak stoisz, to nie tak widać.

Szczęsny przeszedł się po kuchni, do pieca i z powrotem. Kachna zawołała:

— Buty niezapłacone, bo strasznie skrzypią. Niezapłacone!

— Nie bój się, wszystko zapłacone.

— A z czego, synu? — odezwał się nagle ojciec od progu. — Za kie pieniądze to wszystko sprawiłeś?

Szczęsny zbity z tropu, chciał się wykręcić żartem jak Korbal:

— Anioł przyniósł.

— Ty mi aniołem nie trzaskaj — rozsierdził się ojciec. — Mów, edy pytam: z czego?

— Więc mówię, że z zarobków. Czego się ojciec gniewa... Z flisu. raz po fajrancie biegłem do portu, dłużyce wyciągałem do późnej cy, czasem przez całą noc.

— I tyleś wyciągnął bez dwa tygodnie? Dwieście złotych albo i trzy- a — pytał nieufnie ojciec, szacując ubranie i po chwili do We- nki: — Śniadanie masz? Trza się pospieszyć, wiesz, jaki dziś dzień...

— Zanim ojciec się ogoli, to będzie podane.

Przy śniadaniu ojciec nie brał udziału w rozmowie, potem gdy szyscy wstali od stołu, żuł wąsy jak zwykle, gdy coś mu doskwierało, reszcie skinął na Szczęsnego.

— Chodź. Obaczmy ten wychodek, jak go skończyć.

Na dworze dzień był blady, po słocie ociężały, z zawiesiną lekkiej gły. Brudnawe chmury stały nisko, nieruchomo, zwisając strzępami samych kominów fabrycznych. Pod nogami błoto chlupotało i na raniu drobniuśkie krople osiadały, nie wiadomo — mgła czy desz- yk rozpylony.

Nad dołem, gdzie tkwiła już pojemna skrzynia, ale ustęp cały był szcze w proszku, na kupie budulca obok wykopu ojciec wyciągnął łcalówkę i do tej deski, obracając ją w ręku, przemówił:

— Jeśli mnie jako ojca choć krzynę... Jeśli nie chcesz mego stra- enia, to mów tera, jak było z tym ubraniem.

Tyle było w nim niepokoju i lęku, że może jest w tym jakieś oszu- aństwo, może nawet kradzież, że Szczęsny powiedział, za co go So- nowski tak hojnie wynagrodził.

— I ty w to wierzysz? — spytał ojciec. — Pięćdziesiąt dwa roki yję i nikt mi za darmo nie dał. A to przecie za darmo! Dwa razy óciłeś taczką i już takie ubranie? Nie, on ciebie chce kupić, on ebie przynęca. Wiesz, do czego?

— Nie wiem.

— A co mówił ostatnią razą?

— Nic takiego, ot, żeby się dobrze nosiło. Żebym nawet nie dzię- wał, bo może kiedyś mu się odwdzięczę.

— A no właśnie! Kiedyś... Może jutro przyjdzie, wymówi. Czym odziejowi się odwdzięczysz? Tylko złodziejską robotą! Ech, synu, mia-

łem cię za dostałego, a ty, widzę... I do czego były mu potrzebne te rury?

Nie byle jakim ciężarem te rury ołowiane przygniotły starego. Nie wyprostował się, nie rozchmurzył przez całą drogę do kościoła oo. reformatów, gdzie służył ksiądz Wojda, ani nawet po sumie, gdy młodego dobrodzieja podsadzał na bryczkę.

Szczęsny wymknął się z rodzeństwem przed kazaniem. Pobiegli na Kozłowo, by gości przyjąć. Przed domem zastali Lubartów, Szymka z Brońcią. Podała im prezent płaski jak deska, w gazecie.

— Żeby wam się dobrze mieszkało, żebyście zawsze smacznie jedli..

W domu rozwinąwszy gazetę, ujrzeli tacę rżniętą w lipie ze snopkiem po środku i napisem wokoło: „chleba naszego, powszedniego daj nam dziś". Uściskali małą i Szymkowi podziękowali. Byliby chętnie zaprosili tych dwoje, ale zaczęli schodzić się goście, Korbal spojrzał krzywo na Żydziaków, lada chwila miał nadjechać ojciec z księdzem. Co by ludzie powiedzieli, gdyby na święceniu domu byli Żydzi? Weronka mrugnęła na Szczęsnego, ale ten wciąż trzymał Broncię na kolanach, słuchając jej paplaniny, że tatele pracuje w zakładzie pana Baumgartena, że wujek z Ameryki przysłał 50 dolarów i że Baśka na Jom Kipur będzie miała małe kózki.

Na szczęście Szymek zobaczył, właściwie nie zobaczył, bo co tam taki ślepak może dojrzeć, ale wyczuł głupią sytuację i wyniósł Brońcię w ostatniej chwili, gdy dorożka, grzęznąc w glinie, gramoliła się pod górę.

Ksiądz obszedł cały domek, skropił wszystkie kąty i słowa uroczystej łaciny zrosiły serca spragnione otuchy niezrozumiałą rzewnością.

Zasiedli do pożyczonych stołów: ksiądz na honorowym miejscu obok niego ojciec z dziećmi, prócz Weronki, która podawała, dalej cała partia strugaczy i Korbal, bo chociaż z nimi już nie robił, ale kiedyś był ich Mojżeszem, na Kozłowo przyprowadził — nie można było nie zaprosić.

Rozmowa jakoś im się nie kleiła. Milczeli, skrępowani obecnością osoby duchownej, młody dobrodziej znów pamiętał, że jest tą osobą i nie mając wprawy w podobnych wypadkach, trzymał się sztywno.

Odetchnęli, gdy Korbal zagaił:

— Tomasz — skinął na ojca — dał początek. Teraz ksiądz będzie miał z nami prawdziwe utrapienie, bo każdy będzie prosił o błogosławieństwo.

— A tak, słyszałem — odrzekł ksiądz Wojda — słyszałem, że domek ma pan na ukończeniu.

— Nie tylko domek. Najpierw poproszę o zapowiedzi i ślub.

To wszystkich zaskoczyło. Zaczęli wypytywać, z kim się żeni.

— Z Kleszczówną Eugenią — oznajmił dobitnie Korbal.

W pierwszej chwili nie uwierzyli. Kpi sobie z nich czy co? Stary Kleszcz, co ma jatkę na Cygance, przechera, kutwa i niedostęp, który głowę nosi wyżej nosa — ten Kleszcz wydaje starszą córkę za zwykłego szewca botnika?

Ale Korbal ciągnął dalej z niezmąconą godnością:

— Względem zapowiedzi to nawet jutro chciałbym zgłosić się do księdza.

Sypnęły się pytania, jak to się stało, że Kleszcz ustąpił. Kaźmierczak nawet o posag zagadnął: ile?

— Ja tam o posag nie stoję. Da, to dobrze, nie — to drugie dobrze. Nie zginiemy.

— W takim razie — rzekł ksiądz, gasząc przyziemne tematy — godzi się wypić zdrowie młodej pary.

Wychylili po kielichu „Złotej Renety", łypiąc okiem w stronę karafki. Woleliby czystą, ale przy księdzu niech tam będzie jabłecznik.

Przy stołach zrobiło się gwarno. Strugacze wypytywali Korbala o narzeczoną, o plany na przyszłość. Ksiądz stracił nieco na sztywności i wdał się z ojcem w rozmowę o ich życiu i kłopotach. Bardzo mu się dzieci spodobały: figlarna Kachna i Walek dobrze ułożony, staranny, z wejrzeniem jak ministrant.

— Nie mogę narzekać — westchnął ojciec. — Dobre dzieciska, do nauki chętne, Walek nawet nagrodę dostał. Ale kłopot mam z nimi, bo szkoła się zaczęła. Czy ich teraz przyjmą?

— Przyjmą — uspokoił go ksiądz. — Niech przyjdą do mnie jutro z rana samego, ja się nimi zajmę.

Wzruszony wybuchem ogólnej podzięki, czerwienił się i szkła w złotej oprawie zaszły mu parą. Widział dobre twarze złego losu, widział smagłą wysoką dziewczynę i w jej oczach rozszerzonych, pełnych uwielbienia czytał sens świeżego kapłaństwa swego, by iść między lud z pomocą, z jasnym słowem bożym, w ogóle czuł się na tym pogorzelowie jak św. Wojciech wśród pogan.

Odchodząc powiedział niegłośno, nie patrząc na nich, niby do siebie:

— Błogosławieni cisi i pokornego serca, albowiem ich jest królestwo niebieskie...

Korbal po jego odjeździe zawołał:

— Chodźcie no, cisi! Zdrowie dobrodzieja po raz pierwszy!

Dopiero zaczęła się zabawa. Jedząc i pijąc gadali o wszystkim, najwięcej oczywista o zabójstwie Sumczaka: kogo teraz dyrekcja wyznaczy na jego miejsce i jaki wyrok dostanie Gąbiński, gdy wyjdzie ze szpitala.

Wódka robiła swoje. Wzmagał się gwar i zamęt. Przyszedł harmonista. Skądciś wzięły się dwie dziewczyny, narzeczone Paciorka i Milewskiego. Rozpoczęły się tańce. Korbal przewodził. Coraz to słyszało się jego zachrypnięty głos: „Kółeczko!"... „Panie do środeczka!"... „Bierzemy się za rączki, panie na lewo, panowie na prawo!" Z braku pań porywano Kachnę — miała wielkie powodzenie. Kaźmierczak wyrokował, że o tę szelmę, gdy dorośnie, chłopaki bić się będą jak kozły w październiku. Szczęsny z Weronką, nie tańczący, ściany podpierali, a na dworze pod oknami tłoczyli się kozłowiacy, nosami szyby szmerglując z tej zazdrości, że cieśla dom oblewa tak hucznie i bogato.

Gdy Korbal, zadyszany, przysiadł się na chwilę do starego, ten zapytał z najbardziej udaną obojętnością:

— Powiedz mi... Jeden mówił, że są rury nie żelazne, nie mosiężne ale z ołowiu.

— A są. U nas, na przykład, w siarkowni.

— W Celulozie? A dlaczego one nie są z żelaza, to by taniej kosztowało.

— Drożej, ojczulku, o wiele drożej. Ług, panie dziejku, każde żelazo przeżre, co miesiąc musieliby rury zmieniać. Dlatego właśnie biorą ołów. Moglibyście nawet obejrzeć, dwie zapasowe rury leżały przed siarkownią, pół roku temu, dopóki jakiś łobuz nie ukradł.

— Złapali?

— Ale! Czysta robota. Jak kamień do wody.

Stary spojrzał na garnitur Szczęsnego i znów poczuł ołów na sercu. Mogą złapać Sosnowskiego albo Witkiewicza, po nitce dojdą do kłębka. Co wtedy? Boże drogi, drelich więzienny, i hańba, i życie chłopaka złamane...

Ks. Wojda słowa dotrzymał: Kachna poszła do szkoły powszechnej a Walek do mechanicznej. Uczyli się pilnie do późna w nocy, nadrabiając opuszczone sześć tygodni. Prędko oswoili się z miastem, nabrał

niejskiej ogłady i wymowy, wierząc, że to tak samo potrzebne, żeby ę wydźwignąć, jak szkoła.

Weronka nadal wszystkim matkowała, ale był to najszczęśliwszy kres w jej życiu. Miała nareszcie swój domek i poważanie. Sąsiadki, rzybiegając po rondel czy tłuczek, mówiły „panno Weronko" albo panno Werusiu". I w oczy kadziły, że takiej drugiej nie widziały. ziewczyna, szesnaście lat, tak gospodarna, rozumna i dla rodziny ldana, zwłaszcza w tych podkasanych czasach, gdy nawet niektóre ężatki więcej dbają o swe łydki niż o dom — cud, prawdziwy cud łaska boża.

Na rynek szła Weronka jak na występ — schludnie odziana, porażna, z koszykiem. Krokiem detektywa obchodziła stragany, targowała się zajadle, nacierając niekiedy na tę samą przekupkę dziesięć razy i odniósłszy zwycięstwo, wracała na Kozłowo spokojnie, przez nikogo nie zaczepiana. Dorośli szanowali cieślę, bo człowiek pracowity, cichy i zgodny, a wyrostki wiedziały, że to siostra Szczęsnego, który w złości pierze nie gorzej od Sosnowskiego.

Ojciec oddawał wszystkie zarobki, żeby miała na życie i wydatki, a które trzeba zbierać grosz po groszu. Nieraz wieczorami siedzieli razem, ojciec z Weronką, naradzając się, co kupić i kiedy. W porównaniu z innymi nieźle zarabiał, ale raty pożyczki budowlanej kładły ię dużym ciężarem na ich budżet miesięczny, poza tym szkoła Walka Kachny sporo kosztowała, do tegoż trzeba było ich ubrać, żeby nie wymawiano im chłopskiego pochodzenia. A jeszcze dom wciąż ssał ssał. Szafy brakowało, balii do prania, łóżka dla dziewcząt... Prosiaka należałoby kupić i podtuczyć do Wielkiej Nocy.

Weronka kombinowała, żeby wszyscy byli syci i żeby na sprawunki odłożyć. Była analfabetką. Liczyć wprawdzie umiała do stu, ale odejmować i dodawać mogła tylko na zapałkach. Dlatego nierzadko, gdy wszyscy się pokładli, Weronka na stole kuchennym układała zapałki długim wężem, potem odejmowała i znów dokładała. Czasem te zapałki były dla niej złotówkami, ale najczęściej groszami.

Szczęsny czuł się w rodzinie niepotrzebnym człowiekiem, więcej — czuł się ciężarem. Straciwszy po śmierci Sumczaka nadzieję dostania ię do Celulozy, próbował szczęścia w innych fabrykach. Kołatał do „Mizama" i do „Bohma", do Gwoździarni Szwarca i Cegielni na Falance. Wszędzie słyszał to samo: kryzys — redukcje — w pierwszym zędzie zatrudnimy swoich zredukowanych. Przypomniał sobie ciotkę

w Warszawie. Raz ją tylko widział, w przejeździe do Rzekucia, ale mimo wszystko jest to rodzona siostra matki.

— Niech mnie ojciec puści do Warszawy. Może tam się urządzę.

Ale ojciec bał się zostawić Szczęsnego samego.

Tymczasem nadeszła zima. Spadły duże śniegi i chwycił tęgi mróz.

W połowie grudnia gruchnęła na Kozłowie wieść, że Witkiewicz został w Łodzi aresztowany. Przystał do szajki fałszerzy. Podrabiali monety dziesięciozłotowe, pięciozłotówki, nawet złotówki fałszować im się opłacało.

Ojciec zupełnie stracił spokój. Bo jeśli Witkiewicz powie, kto mu dostarczał ołów, to przyjdą po Szczęsnego. Kto uwierzy, że to chłopak czysty jak łza? Że może obić, może w gniewie nie wiem co zrobić, ale złodziejstwo go się nie trzyma, żadnego plugastwa w nim nie ma.

Stary zrywał się na każde stuknięcie, czy aby nie idą po Szczęsnego. Dni jednak mijały spokojnie i nic nie wróżyło nieszczęścia.

W Wigilię ojciec przyniósł kupę nowin.

Po pierwsze przyniósł 12 złotych „gwiazdkowego", które Pandera wszystkim wypłacił zgodnie z tradycją fabryki.

Po drugie, stary Gąbiński zbierał na obronę syna. Syn już wyzdrowiał, będzie sądzony, więc stary prosił ludzi, żeby dali na adwokata.

— Czy ojciec dał?

— Dałem złotówkę. Ale najwięcej dawali czerwoni. Mówili, że chociaż Gąbiński do partii nie należał, ale walczył z kapitałem na swoją rękę, więc trzeba mu pomóc.

Wreszcie wiadomość najważniejsza: Korbal wraz z „gwiazdkowym" dostał wymówienie. Wymówiono wszystkim sortownikom, którzy za Korbalem poszli od kobyłek na wózkarzy. Dwa miesiące tylko potrzymał ich Pandera na nowej robocie, do której przecież sam namówił. Najdziwniejsze jednak to, że Korbal wcale się nie martwił. Był nawet zadowolony.

— Nareszcie, mówił, wyrwałem się z tego kieratu.

— A co teraz będziesz robił?

— Nie sztuka robić — odpowiadał wykrętnie — sztuka zarobić!

Święta mieli pogodne i syte jak nigdy dotąd. Nawet choinka stała w kącie, przypominając lata wygnania. Bo nad Wołgą oni zawsze mieli to drzewko zielone, pachnące im Polską, a w Polsce — nie zawsze.

Wieczorem drugiego dnia świąt, gdy ojciec wybrał się do Korbala a Kachna z Walkiem na szkolną choinkę, Szczęsny siedział w kuchni obok Weronki, która układała na stole swój pasjans z zapałek.

— Co się tak patrzysz na mnie? — spytała Weronka.

— A bo jesteś jakaś inna. Zmieniłaś się przez te pół roku. Do atki stałaś się podobna.

— I ty jesteś inny. W Symbirsku ja się ciebie bałam. A teraz odzisz milczący, że aż żal... Czasem nawet głowę tulisz jak ojciec...

— W Symbirsku widzisz, wszystko było mi obce. Miałem to za c i tylko o tym myślałem, jakby żarcie zdobyć. A gdy wypadało odować, to też nie czułem wstydu ani poniżenia, bo wszyscy wtedy dowali. A tu... przypomnij sobie, jakeśmy jechali. Jak do Ziemi Świę-! Wszystko dla mnie było święte: i ojczyzna, i porządki, i pociąg... te porządki przecież nas gnębią, duszą, nie ma czym oddychać. Widzę , ale swej drogi nie znajduję.

— Oj, Szczęsny, ty się doigrasz z takimi myślami... Może już w Boga nie wierzysz?

— Wierzę. Stworzył niebo, ziemię i tak dalej, bo skąd by to wszyst-? Ale odtąd o ziemię nie dba, samo to jakoś idzie. Krzywd pełno życie plecie się głupio — nie może być, żeby Bóg nad tym czuwał.

— Szczęsny, musisz pójść do księdza. Niech ci wszystko wytłumaczy Bogu i ojczyźnie.

— Nic nie wytłumaczy. Będzie prawił o zgodzie, o duchu złym dobrym, co w człowieku siedzi, o marszałku...

— To i marszałka nie szanujesz?

— Owszem, szanuję. Ale z nim jest jak z Panem Bogiem. O Polskę alczył, wywalczył koniec końców i od niej się odsunął. A ci pano-e, co się trą koło niego, to myślą tylko o sobie. I jeszcze ci po-iem...

Co jeszcze chciał powiedzieć, tego nie zdążył, bo ojciec wrócił od rbala. Korbala dom, mówił, jest już prawie gotów, już graty zwozi. ieszy się bardzo, bo ślub ma się odbyć po Nowym Roku. Na ślub zywiście ich wszystkich zaprosił.

— A zgadnijcie, przy czym go zastałem? Szyld malował!

— Jaki szyld?

— Zielony w złote litery. Powiedział, co chce napisać: „Sklep to-arów mieszanych. Roman Korbal z małżonką". Co do małżonki, to nie a pewności, czy tak wypada. Mówił, że jeszcze w mieście popatrzy, y są na szyldach kupcy z żonami.

— To on sklep otwiera?! Ale skąd wziął pieniądze?

— Ja go właśnie o to zapytałem. To się śmiał ze mnie. „Teraz, ówił, mogę wam wszystko powiedzieć. Otóż, związek dał mi na bu-wę dwa i pół tysiąca pożyczki. Więcej niż wam, bo mnie potrzebuje,

bo mnie ludzie chętnie słuchają. A Kleszcz daje za córką trzy tysiące!" Ma od czego zacząć? Ma. A dalej się rozrobi.

— Ale czy ten sklep u nas pójdzie?

— Pójdzie. Wszystko mi wyłożył, przebieglec jakich mało! On najwięcej liczy na kryzys. Kryzys, powiada, trzyma się, ludzie ze wsi idą i idą na Kozłowo, z miasta też przychodzą. Kozłowo w oczach rośnie. Tu powiada, będzie mieszkało pięć tysięcy ludzi, a może i więcej. To co, Sosnowski sam jeden będzie forsę zgarniał? Nie, powiada, ja lepiej od niego poprowadzę interes!

Odtąd u nich w domu i na Kozłowie najwięcej mówiło się o sklepie Korbala. Korbal już nie ukrywał. Wesele miało się odbyć 6-go stycznia, ale Szczęsny na nim nie był, bo 4-go zjawił się Sosnowski, ten drugi oczywiście.

Zastał tylko ojca, więc powiedział, żeby Szczęsny przyszedł do niego jutro o szóstej wieczór. Będzie czekał w budce Karpińskiego.

— A można wiedzieć, do czego pan mego syna potrzebuje?

— Trafia się posada. Dobra posada u jednych państwa — na chłopca do koni, żeby jeździł z panienkami. Chłopak zwinny, sprytny, do tegoż ubrany przyzwoicie, więc go tam urządzę, bo mam w tym dworze znajomka. A ci państwo są bardzo zacni i forsy mają jak lodu. Będzie tam we wszystkim opływał... Więc o szóstej, nie zapomnijcie?

— Ależ... Jak tylko wróci, zaraz powtórzę.

Weronka przyniosła lampę, ale ojciec burknął:

— Zabierz... Oczy mnie bolą od tej kopciuchy.

I dalej siedział po ciemku, ściskając głowę oburącz. Myślał o tym, dlaczego Sosnowski chce właśnie Szczęsnego urządzić u tych dobrych i bogatych państwa? Nie inaczej, tylko właśnie tam będzie musiał Szczęsny odwdzięczyć się za wszystko. Może każe mu w nocy drzwi otworzyć albo klucze ukraść od kasy, albo nóż da do ręki — dużo tam można wiedzieć, co taki oprych zamiaruje. Odmówić, to się będzie mścił, może nawet spalić. Zgodzić się — chłopak będzie zmarnowany. Złoty chłopak, najlepszy ze wszystkich jego dzieci, ale nikt o tym nie wie i nikt w to nie uwierzy.

Gdy Szczęsny wrócił i Weronka zapaliwszy lampę, zaczęła podawać do kolacji, ojciec niespodziewanie powiedział:

— Wiesz co, długo dziś myślałem, gdzie dla ciebie będzie lepiej. Na twoje wychodzi. Widzę, że w Warszawie prędzej znajdziesz pracę, złapiesz jakiś fach. Jeżeli więc chcesz jechać do ciotki, to cóż — jedź, nie zabraniam.

— Kiedy? — zapytał uradowany Szczęsny. — Kiedy mogę jechać?
— A choćby jutro. Co się postanowi, z tym zwlekać nie warto. ...tro z rana.

Tak oto nazajutrz o siódmej rano Szczęsny wyszedł z domu w szarej ...klistówce, w brudnym kożuszku baranim, spod którego wyglądały ...we granatowe spodnie i brązowe półbuciki. Na plecach dźwigał sfa...gowany tornister niemiecki po szwagrze.

Pociąg miał — jak się wczoraj dowiedzieli — o siódmej czterdzie...i. Ojciec odprowadził syna na szosę Warszawską, tu przystanął i trzy...otnie ucałował.

— Synu, co czuję, że cię sercem duszą błogosławię, to wiesz... przykazanie daję jedno: pamiętaj, że nikt u nas w drelichach z ogo...nym łbem nie chodził. Tego bym ci nie przebaczył. Pamiętaj!

Ten głos błagalny i łamliwy Szczęsny jeszcze słyszał, gdy koła ...rzytnęły, gdy pociąg ruszył w lewo, pod żelazny most, do stolicy, ...órą trzeba było zdobyć. I żegnając ostatnim spojrzeniem wyniosły ...min „Ameryki", przysiągł, że przykazania ojca nie złamie. Ale ubo...m nie wróci. Zginie albo wróci pięknie ubrany, z walizką prezentów ...a ojca i rodzeństwa, a najdroższy podarek będzie dla Weronki...

X

Ciotka nie od razu poznała Szczęsnego, ale poznawszy, przyjęła z wy...wem, wysmarkała w fartuch nabiegłą rzewność do siostry-nieboszczki. Natomiast wujcio, pękaty woźny starostwa grodzkiego, oświadczył ...cho, że czasy są ciężkie, nader ciężkie (lubił „nader", i „li tylko" „osobliwe"), na życie u nich liczyć nie może, na spanie też...

— Proszę pana — przerwał mu Szczęsny — ja przychodzić będę tylko na noc. Znajdę pracę i odejdę. A przespać się mogę w tym oto fotelu.

— Nade wszystko praca — zgodził się wujcio — fotel zaś tobie na ...arę dni użyczymy.

Tak się zaczęło. Do ciotki na Ząbkowską Szczęsny przychodził późnym wieczorem, przesypiał w fotelu i wyruszał z Pragi do Warszawy, ...órej nie znał. Nie rozumiał jej mowy zgiełkliwej, ani ruchu bez ustan...u przed siebie jak na pożar.

Chodził z początku po stolarniach, potem po fabrykach, po biurach ...średnictwa pracy, obnosząc swe ręce, młode ręce do sprzedania. Nikt ...ę nie kwapił do kupna. Miało się wrażenie, że mróz ściął miasto wszelką pracę.

Po dwóch tygodniach wydał ostatnie 12 groszy na pół bochenka razowca. Ojciec przy pożegnaniu dał mu na bilet powrotny i parę złotych na tymczasem. „Ciotka, mówił, z pewnością pomoże, zupy czy kawy nie odmówi. A gdyby nie chciała, to napisz, zaraz przyślę". Ale Szczęsny nie pisał. Zaciął się, że na żadną pomoc rodziny nie naciągnie, urządzi się sam, albo zginie, jeśli nic nie jest wart.

Zjadłszy razowiec, włóczył się dalej głodny po mieście, dzień i drugi a trzeciego dnia dostał eksmisję. Wujcio stracił nadzieję, że Szczęsny znajdzie pracę i nader poważnie wyprosił go z fotela. Ciotka zaoponowała, że na taki mróz nie można, niech przynajmniej zostanie do jutra, ale Szczęsny uniósł się ambicją i wyszedł.

Przez most Kierbedzia przeszedł na warszawski brzeg i kroczył prosto przed siebie na Zamek, obok Zygmunta, Krakowskim Przedmieściem i Nowym Światem.

Wszystkie światła płonęły w stolicy — z jego snu o sławie, ale nie dla niego. W szklanych rurkach neonów, ułożonych w słowa i obrazki, przelewały się różnokolorowe ognie na chwałę piwa Haberbuscha, koniaków Baczewskiego, mydła Elida i pasty z brodatym kozłem. Rzęsiście oświetloną ulicą sunął tłum gwarny, świąteczny. Tramwaje dzwoniły krótko, nerwowo. Mknęły taksówki, limuzyny, dorożki i pańskie powozy ze stangretami. W pełni ruchu i blasku wchodziła Warszawa w swą noc karnawału.

Przed Italię zajeżdżały co chwila auta, wyrzucając panów i panie ze świata jak bajka. Wszystkie kina, teatry, lokale były pełne. Wszędzie rozbrzmiewała muzyka. Rozchodził się zapach perfum, wina i dobrego jadła. Gdzieś się zapadła pod domy, na dno suteryn, wszelka bieda i nieludzki trud. Zostali tylko tacy — wytworni, bez troski o jutro, spragnieni zabawy czy pięknej złudy, i gdyby ktoś krzyknął, że tam na ulicy stoi chłopak, którego nikt nie chce zatrudnić, który nie jadł trzy dni — wzięliby to za pyszny kawał, zgadując, kto się przebrał za taką ofermę.

Szczęsny odwrócił się od nich, podążył na Wolę, wyszukując ulice bezludne i ciemne, bo musiał od czasu do czasu biec albo tupać w miejscu, żeby nie skostniały stopy w lekkich półbucikach. Szron osiadał mu na rzęsach, nos i uszy trzeba było na przemian rozcierać.

Na Krochmalnej ujrzał w świetle latarni tablicę: „VII Komisariat P.P." Przed domem stał policjant. W pierwszej chwili chciał go Szczęsny poprosić: niech puści do ciepłej poczekalni, niech jutro odeśle do domu. Ale na myśl o tej klęsce i poniżeniu — jak go odstawią ciupasem, jakim uśmiechem powita go Walek i że znów będzie objadał ro-

inę — przemógł się i minął komisariat, bo lepszy jest koniec na bruku
ż życie bez sensu.

Być może znalazłby ten koniec, niewiele do tego brakowało, gdyby
człowiek, który gestem z dobrej starej powieści, gestem z Dickensa
ciągnął dłoń do niego.

Gasły już latarnie, turkot pierwszego wozu rozdarł ciszę zimowego
ranka, gdy Szczęsny spostrzegł, że stoi przed więzieniem i gapi się
zamkniętą bramę. Wzdrygnął się i powlókł dalej. Na rogu przeczytał:
lica Pawia". Na wprost niego szedł, przyglądając mu się, człowiek
długim kożuchu. Szczęsny przystanął przed słupem z ogłoszeniami.
także przystanął. Szczęsny udawał, że czyta ogłoszenia. On również
awał. Był siwy i rumiany.

— Że też panu chce się czytać w taki ziąb...

Powiedział ze współczuciem, ale Szczęsnemu wydało się, że złośliwie.

— Co to pana obchodzi?

— Widocznie obchodzi. Pan przyjezdny? Z plecakiem, widzę... Szuka
pracy?

Szczęsny tracił już czucie z głodu i mrozu. Słup ogłoszeniowy rozdy-
ał się i kurczył. Czarne smugi na nim pisały, że nie dobrze jest ze
częsnym.

— A idź pan do pioruna ze swoją ciekawością. Niczego już nie szu-
m!

Odwrócił się i pomaszerował, ale tamten za nim.

— No nie, po co zaraz do pioruna... Przecież ja chcę panu pomóc. Nie
eba się opierać. Chodźmy, ja tu właśnie mieszkam.

Wziął Szczęsnego pod ramię i zaprowadził do bramy. Weszli do stró-
wki. Żelazny piecyk buchał żarem i łóżko tam oszałamiało — łóżko
arne, wysokie jak karawan, z pasiastymi pierzynami.

— Napij się pan gorącego mleka. Ja tylko na chwilę wyjdę do sklepu.
emy śniadanie, przy śniadaniu pomówimy...

Nie zdążyli jednak pomówić tego dnia. Ledwo on wyszedł, Szczęsny
tym mleku, przy tym piecu od razu na krześle zasnął.

Obudził się w łóżku, rozebrany. Gospodarz siedział przy stole, popi-
jąc kawę.

— To pan już wrócił ze sklepu? — zapytał Szczęsny, wyłażąc spod
erzyn.

Tamten roześmiał się.

— A jakże... Zdążyłem. Wiesz pan, ile spałeś? Całą dobę! Ale zbudzi-
się w samą porę: śniadanie na stole.

— Muszę pana uprzedzić, że pieniędzy ja nie mam.

— A czy ja proszę o pieniądze? Na śniadanie proszę. Ech, kawalerze kawalerze.. Tak cię ludzie sparzyli, że i na Baburę dmuchasz.

Taki był Babura. Wziął Szczęsnego z ulicy i ten został u niego w stró żówce bez poczucia upokorzenia czy wdzięcznej należności. A to wielk sztuka — dać tak prosto, żebyś przyjął swobodnie.

Dozorstwo Babura miał kłopotliwe, ale dostatnie, w wielkiej czynszo wej kamienicy. Szczęsny przydał mu się do bramy i do miotły i do wóz ka. Babura znajdował teraz czas na Kurier i na poobiednią drzemkę. Go tował sam i mieszkał sam. Żona dawno pomarła, a dzieci były odcho wane: jeden syn ziemię mierzył w sierpieckim powiecie, drugi prakty kował u Cegielskiego.

Dobrze im było. Babura miał w Szczęsnym wyrękę, a Szczęsny od żywił się, wypogodniał przy Baburze.

Ale to wszystko nie dawało zarobku ani fachu. Mijały tygodnie, „naj wyższy czas, żebyś złapał fach" — mawiał Babura, a tu nic i nic, aż si nawinął termin w zakładzie pana Czerwiaczka w końcu Leszna, nieda leko Kercelaka.

Ten interes w stróżówce dwie godziny opijali: Babura — jak pą czek pod białym lukrem siwizny, nalany, ogolony, z grenadierskim wą sem i Czerwiaczek — drobny, przesycony denaturatem, po prostu kor niszonek moczony w politurze, o tabaczkowej cerze, z szyją przekrzy wioną w prawo, bo z tej strony przez trzydzieści lat deski skrobał, nir został szefem.

Babura zachwalał Szczęsnego, Czerwiaczek — swój zakład, stanął wreszcie na tym, że Szczęsny dostanie spanie, wikt i dwa złote tygod niowo na początek, a potem się zobaczy.

Czerwiaczek dał mu do niesienia swoją skórzaną torbę, sakwojaż, jak że chłopak był kupiony, i poprowadził za sobą na Leszno. Zastali tar czterech czeladników, sześciu uczniów i dwie maszyny: jedną piłę ta czową, którą nazywano „krajzegą" i jedną małą heblarkę, zwaną taki z niemiecka „obrychtem". Ciemno już było, ale w warsztacie robior na potęgę.

— Weź fuksszwanc i odsadzaj capy. Ale żebyś mi za krechę nie za jeżdżał!

Szczęsny odsadzał capy do wieczora. Czerwiaczek zakołatał w desk na fajrant. Czeladnicy wybiegli jak z domu wariatów, a uczniowie d stali na kolację po kubku zabielonej lury z pajdą sitniaka, pociągnię do pucu smalcem.

Gdy oni odeszli, Czerwiaczek zamknął i zaprowadził Szczęsnego do omórki pod schodami.

— Tu będziesz miał spanie. A łóżko sam sobie zbijesz.

Rękę miał Szczęsny ułożoną, rzemieślniczą rękę. Od dzieciństwa ro- ł z ojcem przy ciesielce, zimową porą niekiedy przy stolarce. Umiał ytę skleić i wyprawić, umiał drzewo łączyć na różne wpusty i uczepy. zerwiaczek był z niego zadowolony, ale Szczęsny z Czewiaczka nie. az — że z robotą gnał, dwa — że z płacy rwał, a trzy — że tłukł. ył majstrem starej daty, uczniowie u niego durnieli.

Spróbował oczywiście tak samo ze Szczęsnym, ale gdy się zamachnął, ten od razu złapał go za rękę.

— Nie wolno, panie majster. Mnie bić nie wolno.

— A bo co? Możeś lepszy?

— Lepszy nie lepszy, ale sam biję. Wstyd byłby, gdybym majstra szkodził.

Czerwiaczek zadarł głowę (Szczęsny był wyższy od niego o pół metra), zacował i widocznie przyszedł do wniosku, że nie dałby rady z tym gańskim narwańcem, bo się szarpnął w uścisku.

— Puść... Toś ty taki bolszewik?

— A taki...

— No, uważaj — zamruczał, odchodząc — uważaj, bo...

Na jakie „bo" miał Szczęsny uważać, tego mu nie powiedział, ale ltąd już się na niego nie porywał i nawet spoglądał z odcieniem sza- unku.

Czerwiaczek robił masowo nowoczesną tandetę na Kercelak, gdzie worzył do spółki z teściową skład o trzech oknach z napisem „Meble", a pierwszym piętrze, na wprost straganów z butami. Każdy grat miał u zbyt, byle był tani i z połyskiem.

Mówiono, że obawiając się wspólniczki, by go niebardzo okradała, ziął jej jedynaczkę za żonę. Była ładna, niepokojącą urodą platynowej, zgardliwej blondyny, młoda, zaledwie o rok starsza od Szczęsnego, wudziestoletnia i już skąpa.

Uczniowie, chłopaki wiejskie, nieobyte, bo tylko takich brał Czerwia- zek na naukę, po kątach na jedzenie sarkali, żaden jednak głośno nie pomniał się o swoje.

Pewnego razu Szczęsny powiedział przy kolacji:

— Ech, żeby to majstrowa była chociaż trochę jak majster!

Majstrowa musnęła go leniwym spojrzeniem, z udanym zdziwieniem, o toto istnieje i wydaje głos.

— Nie podobam się może komuś?

— Skądby znowu... Tylko majstrowa nie jest tak szczodra jak majster. Majster roboty nam nie żałuje, a majstrowa jedzenie wydziela, żebyśmy się broń Boże nie przemęczyli...

Tu już majster nie wytrzymał.

— Te, bolszewik, o co ci chodzi? Głodnyś?

— Nie ja jeden, mistrzu. Głodniśmy wszyscy!

— Co za wszyscy? Każdy mówi za siebie, o sobie! Bucek, głodnyś?

Bucek zagadnięty znienacka, zachłystnął się lurą — poszła mu przez nos bańkami.

— Nieee — mamrotał, wycierając nos — ja nieee...

— A Wacek? Mów, Wacku, czy ci jedzenia nie za mało?

— Nie, panie szefie, nie za mało.

Czerwiaczek przepytał wszystkich terminatorów i wszyscy oświadczyli, że nie są głodni, że jedzenia mają dosyć.

Szczęsnego złość porwała na tych zaprzańców. Zaczął im rąbać po rzekucku — żeby poczuli:

— Ach, wy, tchórze i ciemniaki! Takie siakie wasze wciórności... A kto dziś beczał w kamizelkę, że z takim żarciem już nie do wytrzymania?! Bez majstra toście chojraki, że ha! Ale jak majster was wyrwał, to wam dudy zmiękły, co?

I tak dalej w ten sam deseń.

— Jak nie będziecie żądać, jak się dacie, to on was przez swoją centryfugę przepuści, serwatkę z warsztatu wyrzuci!

Te głąby ze strachu dygocą, majstrowa oczy wytrzeszcza, nigdy takiej hecy nie widziała, a majster klaszcze, zaśmiewa się, podbechtuje:

— Huzia całą buzią! Bij, nie żałuj! Burżuj, krzycz, krwiopijca, krzycz, niech go donder świśnie — złączym się z biedotą!

Odsapnąwszy, wytarł chustką czoło i rzekł do żony:

— Słyszysz, Zocha? Głodny... Musiem mu coś dać.

Przyniosła dwie pajdy chleba z salcesonem i kubek kawy.

— No a wam — zwrócił się Czerwiaczek do uczniów — wam chyba nie? Nie głodniście?

— Nie — odrzekli, łykając ślinę — dziękujemy, myśmy się najedli.

Szczęsny spojrzał tylko na tych zdrajców i wziął się do jedzenia.

— Ot, żeby majstrowa jeszcze co dała, to bym się najadł do syta.

Bez słowa postawiła przed nim miskę kapuśniaku, który został im z obiadu. Wypróżniwszy tę miskę, Szczęsny poczuł, że ma brzuch. Ze-

rał się w sobie i czekał, jak go Czerwiaczek będzie wyrzucał: na zbity b, z trzaskiem czy pomaleńku, z wzrastającą zjadliwością?

Ale Czerwiaczek, odprawiwszy po kolacji uczniów, najspokojniej łubał w zębach.

— Toś ty znaczy się taki... Polityczny. Politury kraść nie będziesz. le znowuż buntować zaczniesz, ty mi warsztat zapaskudzisz! Chodź no , chłopak, przysuń się bliżej, coś ci powiem... Dostawać będziesz lonu złotych na tydzień. Chcesz robić, ja to widzę. Na majstra cię wykieuję, tylko innych zostaw. O sobie myśl, tylko o sobie. Miałeś dziś naczkę, co? No właśnie. Nikomu i w nic nie wierz, chyba że w łokcie. okciami przecieraj się i boczkiem. Najwięcej w życiu musiem boczem sunąć, pomalutku, powolutku, a do skutku...

„Myślałem, że wyleje, a on podwyżkę dał" — dziwił się Szczęsny, ychodząc od majstra.

Szedł do swej komórki przez warsztat i tu natknął się na majstrową pstrą poduszeczką w ręku. Zatrzymała się, trochę zmieszana.

— Chciałam sprawdzić, czy masz co pod głowę...

Nigdy dotąd tym się nie interesowała, słowa do niego nie przemówiła — nie istniał dla niej.

— Co za „ty"? — zapytał. — Kiedyśmy pili na ty, niech mi majstrowa przypomni, bo nie pamiętam.

— Przepraszam, u nas tak się mówi do uczniów. A właśnie chciałam anu jasiek podłożyć, bo pewnie...

— Dziękuję, już się urządziłem. Niech to pani majstrowi podłoży.

Długo nie mógł zasnąć. Ne podobało mu się, że znów został „bolszewikiem" i całe to zajście, nawet podwyżka. Przypomniały się słowa wiecu w Celulozie — o ochłapach. Wasilewski czy Marusik — który nich powiedział, że kapitalizm rzuca czasem robotnikom ochłapy? Za odłą robotę. Wypadło teraz, że dostał ten ochłap za odstąpienie od inych uczniów, że czerwoni mają rację. To mu się nie podobało. Wprawzie nie miał sobie nic do zarzucenia, ale czuł niesmak i jakiś niepokój.

— Podwyżka słusznie mi się należy — uspokajał siebie — bo robię epiej od uczniów. Ale jeśli on myśli, że mnie kupił, to ja mu to z głoy wybiję.

Ale Czerwiaczek nie dawał do tego żadnej okazji. Zachowywał się, ak gdyby nic nie zaszło, tylko w sobotę, po fajrancie, postawił na tacy ósty kieliszek — dla Szczęsnego. Wypłata zawsze miała ten sam ryuał: na warsztacie leżały odliczone dla każdego pieniądze i stała taca kieliszkami dla majstra i czterech czeladników. Najpierw majster wy-

płacał uczniom, żeby się pozbyć drobnicy, potem czeladnikom, i wypłacając do każdego czeladnika przepijał.

Gdy przepił do Szczęsnego, czeladnicy spojrzeli po sobie z niepokojem. Bo chociaż majster nie dał mu tyle co im, jednakże potraktował go na równi z nimi. Odtąd mieli się na baczności. Nie pomiatali nim jak byle uczniem, ale stronili od niego, strzegąc pilnie sposobów i sekretów swej roboty.

Szczęsny nauczył się przy ojcu ciesielki, wiedział, jak się robi okna, drzwi, futryny, wiejską szafę czy stół. Ale o fornirze nie miał pojęcia. Tymczasem z zakładu Czerwiaczka odchodził przeważnie mebel fornirowany; w środku najgorsze drzewo, co by się nawet na płot nie zdało, a z wierzchu piękny „flader", na mat lub na wysoki połysk. Do maszyn czeladnicy Szczęsnego dopuszczali, gdy szef był w warsztacie, wytłumaczywszy, jak należy deskę prowadzić, żeby palców nie postradać. Poza tym nie dawali mu żadnych wskazówek. Toteż Szczęsny wciąż strugał „puc — heblem", wygładzając deski po maszynie, która zostawia lekkie karby. Wyrzynał i dłutował capy, i podglądał, zgadując, dlaczego osnowę mebla oklejają oni ślepym fornirem, a potem szlachetnym, czemu go moczą i jak odróżnić stronę prawą od lewej.

Pewnego wieczoru Czerwiaczek zaszedł go w pustym warsztacie przy pudełku, oklejonym brzozą karelską.

— Nic z tego — odrzekł i w grudki pod fornirem postukał — Krosty. Pod fornir idzie klej słaby, żeby z pędzla ściekał jak woda, a ty dałeś mocny...

Wcale nie gniewał się o materiał, który Szczęsny wziął bez pytania. Był nawet zadowolony.

— Nic o tym nie mówili? Trzymają, dranie, dla siebie. Ze mną też tak było. Wszystkiego musiałem sam dochodzić, na łapy majstrów zerkałem i tak pomalutku zyzem, zyzem fach żem w końcu zdobył.

Obejrzał znów pudełko i cisnął pod piec.

— Spal to. Ja cię pouczę. Capy zrób kryte, żeby potem nie wylazły, klej weź rzadki. A szpary w czeczocie pozacieraj proszkiem.

Powiedział, z czego można zrobić ten proszek i jak pudełko politurą wykończyć.

— To ci będzie heca! — chichotał, zacierając ręce. — Przestraszą się piątego czeladnika, bo ja piątego nie potrzebuję. Dopieroż zaczną robić — na wyścigi! I Zocha dostanie prezent, niech ma na swoje drobiazgi.

Szczęsny wziął się do pracy z zapałem. Chciał fachu się nauczyć i czeladnikom nosa utrzeć. Każdą nową czynność wypróbowywał najpierw

a kawałku drzewa albo forniru. potem dopiero przenosił zdobytą prawę na pudełko. Majster go chwalił i nie szczędził rad.

Nadeszła wreszcie chwila zwycięstwa, gdy Czerwiaczek wyjął z szafy postawił na warsztacie wypieszczone pudełeczko.

— Chodźcie no tutaj — zawołał na czeladników — Coście mówili? Cielski syn — do krokwi tylko zdatny, do ciesielki. A to co — ciesielka?

Obejrzeli pudełko oblane szkliwem złotawej politury, pod którą grały emne sęczki czeczotu. Zasępieni, podnosili wieko, badając wykończeie w środku, zawiasy, zameczek... Jeden tylko Jawornicki zauważył przekąsem:

— Połysk za mocny. Oleju pewnie nachlapał, potem fornir całkiem ię spoci.

— Spoci? Ja bym chciał, żebyś ty się spocił, to by ten kredens błyszał. To ma być poler? — pytał się, idąc do kredensu Jawornickiego. — en chłopak lepiej zrobi. Muszę go przestawić na lepszą robotę.

Szczęsny zląkł się, że da mu robotę czeladnika. Co innego pudełko, co innego wielkie płyty na drzwi i boki szaf, kredensów, biblioteczek. agadnął o to majstra po fajrancie.

— Nie bój się — uspokoił go Czerwiaczek — Najpierw dam ci do robienia 10 stojaków na kwiaty, potem szafki, a potem... E, co tam gaać. Staraj się tylko jak dotąd i pytaj, kiedy nie wiesz.

Dopiął swego. Czeladników podpędził, a Zocha za piękne pudełko połaskała go po zwiędłej, pomarszczonej twarzy.

Najbliższej soboty Szczęsny dostał podwyżkę o cztery złote i nareszie napisał do ojca, że zdrów i żyw, żeby mu nic nie przysyłać, bo się obrze urządził.

Czeladnicy poszli z nim na ugodę, zdradzając niekiedy drobne sekrey meblowego fachu, uczniowie poważali go przezornie, bo może niezaługo zostać czeladnikiem i któryś z nich znajdzie się pod jego ręką. A co do majstrowej, to im bardziej Szczęsny był dla niej opryskliwy, ym ona stawała się grzeczniejsza.

Niedzielę spędzał zwykle u Babury. Czytali razem kurier, pichcili, y ładne dni szli na Powązki, gdzie w cieniu lip i kasztanów leżały wszytkie Babury: dalekie i bliskie, nieboraki i znaczniejsze, z prowizorem na zele. Przed każdym grobem Babura przystawał, strzepywał na te prohy jakąś sentencję i dalej czynił przegląd umarłych, opowiadając Szczęsnemu, jak żyli i co po nich zostało. Siedział potem na ławce przed własnym z góry zapłaconym grobem, rozmyślając na głos o życiu śmierci.

— To wcale nie jest łatwe — mawiał — przeżyć jak człowiek...

Miał nareszcie słuchacza, nie czuł się samotny, Szczęsny również — dlatego słuchał cierpliwie.

Pewnej niedzieli, obudziwszy się w komórce, ujrzał nad sobą słońce niebywałe — jakieś słońce nienasycone. Otworzył małe kwadratowe okienko i pełną piersią wchłaniał majowy wiatr, przepojony zapachem kwiatów z Powązek. Starszy pan w kamizelce pomachiwał szmatą na papowym daszku i gołębie wzbijały się wyżej i wyżej, rozpływając się w błękicie, który olśniewa zupełnie inaczej, gdy człowiek nagle sobie uświadomi, że ma dziewiętnaście lat! Że młodość schodzi jak przednówek.

Wybiegł na podwórko, nie wstępując do majstrowej po śniadanie, ale ona go zauważyła i przez okno zawołała.

W mieszkaniu Czerwiaczków zastał stół świątecznie zastawiony: i szynka, i nóżki, i ciasto, i wiśniak po środku.

— Nie wiedziałem, że dziś pani imieniny...

— Nie szkodzi. Niech pan siada.

Szczęsny usiadł, z czapką na kolanach.

— Proszę mi to oddać.

Zabrała czapkę, odwiesiła na wieszaku w przedpokoju.

— Wyprawiam imieniny — ot, tak sobie, na niby. Mąż znów gdzieś poszedł, to ja się zbuntowałam. Ja także będę się bawiła! I na pana czekałam, żeby się nareszcie rozmówić. Muszę pana o coś zapytać.

— Ale o co?

— Dlaczego pan mnie nienawidzi?

Szczęsny wzruszył ramionami.

— Wcale nie nienawidzę. Po co pani mówi takie rzeczy?

— Bo pan mnie unika. Nie odpowiada albo tak jakoś z pogardą czy ze złością — sama nie wiem. Co ja panu złego zrobiłam? Może jestem naprawdę zła, to niech pan powie.

W różowym pikowanym szlafroczku wydała się jeszcze ładniejsza. Przegięła się przez stół, oczekując odpowiedzi z rozchylonymi ustami, a usta miała jak serduszko drgające, wilgotne.

— Ja do pani majstrowej nic nie mam. Raz przygadałem, bo jedzenie było złe.

— A czy pan zauważył, jak się poprawiłam? Już nie gotuję na łoju, ale na słoninie. I wczoraj na kolację były pulpety.

— Rzeczywiście, pulpety.

— To wszystko przez pana. Ja bym chciała, aby pan mnie szanował ... trochę lubiał. Możebyśmy wypili na zgodę?

— Możemy.

Wiśniak był bardzo mocny. Szczęsnemu, który prawie nie znał alkoholu, oczy zwilgotniały i w gardle zadrapało.

— Pan pozwoli. Zjemy razem śniadanie... Może nóżki?

— Niech będą nóżki — zgodził się Szczęsny i całą uwagę skupił na rzanie z ćwikłą, żeby broń boże obrusa nie zachlapać.

Nie wiedział, jak się ma zachować, nigdy przecież nie bywał na podobnych przyjęciach, nie znał towarzystwa młodych dziewcząt. Wcinał ięc nóżki, a ona opowiadała, jak oni się kochali, ten don Cybalgo donną Rozalindą, jak oni się ładnie zabili w K o m e c i e na Chłodej — bardzo porządne kino — dlaczego tam nie chodzi?

— Bo mało jeszcze zarabiam, i ojcu chciałoby się pomóc.

— Nnno tak, ale... Może szyneczki. I za pana dobre serce!

Znów wypili.

— Ten Cybalgo ma takie same oczy. Czy pan zabiłby z miłości?

— Zabić? Co to znaczy „zabić"! — i ciach nożem szynkę przez pół, ż ona podskoczyła (majstrowa, oczywiście, nie szynka).

— Boże, jaki pan dziki!

I nakładając mu nowy kawałek („z tłuszczem pan lubi czy bez"?) ówiła, co człowiek nosi w sercu, gdy chodzi tylko do K o m e t y na Kercelak. A potem przymilnie:

— Pójdzie pan Szczęsny ze mną do kińcia? Ja funduję!

— Pójdę. Ale co do fundy, to ja majstrowej funduję!

— Proszę mnie tak nie nazywać. Czy nie można zwyczajnie — Zosia?

— Można i tak.

— A więc zdrowie Zosi i Szczęsnego!

Z każdym wypitym kieliszkiem stawała się coraz bardziej rozmowna, ylewna, serdeczna. Szczęsny odwrotnie — milkł, posępniał, bo nigdy ie widział z bliska takich oczu ani ust, ani jedwabnej halki, pod którą rzecież...

— Nastawię patefon. Będziemy tańczyć, będziemy dziś szaleć, co, anie Szczęsny?

— Kiedy ja tańczyć nie umiem.

— No to pan siądzie na kanapie. Posłuchamy muzyki. Lubi pan J e i e n n e r ó ż e?

— Owszem, lubię kwiaty.

I poszedł na kanapę po podłodze, która nie miała już legarów, bo każda deska gięła się pod Szczęsnym jak kładka.

— Jakie to ładne — mówiła Zocha, kładąc mu na kolana jego pudełko. Poczuł jej oddech na szyi. — Mąż nie powiedział, ale ja wiem, kto to wykonał. Czy pan wtedy, przy robocie, myślał czasem o mnie?

— Myślałem.

Nie kłamał: wierzył, że nie mógł o niej nie myśleć.

— A ja często trzymam to pudełeczko i tak sobie głaszczę...

Pogłaskała go leciutko po włosach. Szczęsny drgnął pod tą pieszczotą. Nigdy nikt go nie pogłaskał, czułym słowem nie ogrzał... Zapiekły żal nim targnął. „Ja się widocznie upijam jak ojciec — na smutno..." I głowę odwrócił, żeby nie zauważyła nabiegłych nagle łez.

Ale ona ujęła jego skronie, zajrzała do oczu.

— No, czego, czego... — szeptała, tuląc czarną, skudloną jego głowę do piersi. — Czy ty nie rozumiesz, nie czujesz mnie, Szczęsny?

Przez różowy szlafroczek czuł nieznane ciepło kobiety. Łzy mu obsychały przy tym cieple. Patrzył w górę na białe, nagie ramię, na którym czerniła się maleńka „myszka". Posunął się wyżej i dopadł jej ustami.

Zocha osunęła się na kanapę, głową na wałek. Szczęsny całował jej ramiona i szyję, i w dołek nad obojczykiem coraz mocniej, kąśliwiej, a gdy zamarł rozdygotany, z rąbkiem stanika w zębach, zrozumiała dlaczego.

— Ty nie wiesz? Ty się wstydzisz?!

(Dalszy ciąg nastąpi)

Igor Newerly

GIESSBACH

„Aż tam bym zawiódł, gdzie pył leci blady
Śród leszczyn w Giessbach..."
(Słowacki)

I czy wołasz zakrzyczana przez wodę, czy
milczysz,
ja widzę z wodogrzmotu tylko ciszę tęczy,
a słyszę — skałę
jak pomnik mówiącą o górności niemo.

Alpy ścigane wzrokiem ze szczytu na szczyt
uciekają wyżej,
wyżej przebiły błękit i zajęły niebo —
i tylko twoje rozszerzone oczy
ocalały.

I tylko dziecko
biegnąc twoim śladem
niosło dla zabawy
w różowej rozchylonej dłońce
nieuronione wspomnienie kaskady
z roztopionym w niej słońcem
niedaleko:
do żółtego denka trawy: do stokroci.

Lecz ja uzyskanej w oczach wysokości
dałem słowo poezji:
badam głaz nad przepaścią, czy nie chwiejny pod butem,
marząc surowo,
jak dal zamienić na jej część wymienną,
na stal, gdy jeszcze płynna
wzbija się zorzą nad hutę.

RZUT PIONOWY

Olśniony, w blaskach zorzy, odbiłem od brzegu,
w jeziorze jak łza słońca — zanurzyłem wiosło.

I jak piorun z jasnego,
mgnienie oka mi przyniosło
zarys Tatr niespodzianie:
błyskawiczny czarny zygzak na białym tle Alp;
zarys zniknął na stokach, wzdłuż doliny słabł
i tonęło Morskie Oko w Lemanie.

Czułem wysoko
tak, że jak gdybym
ramionami, wyrzuciwszy je w górę, podnosił
spadający w płomieniach nieboskłon,
a w rytmie wioseł
wznosząc — opuszczając ręce,
jakbym rwał łańcuch gór na rozstanie!
Wiosłowałem coraz sprawniej,
coraz prędzej,
dalej.

Płynąłem do wrzątku tęcz kipiących na fali,
do dna barw,
do nadczerwonej i podfiołkowej,
do ostatniej kropli
jeziora na zetknięciu ze słońcem!
Rzuciłbym się wpław,
aby linię najdalszą wytropić,
aby do kresu wód
przybić
i złowić
styczną nieba i wody w owej chwili, gdy
wznosi się — i zapadła...
I, z poziomem w ustawicznej rozłące,
tam — tu,
pod tatrzańskim a w Szwajcarii szczytem,
miotałem promieniami rzut
pionowy
elewacji marzenia o domach ze światła,

poeta przestrzeni — prearchitekt.

Julian Przyboś

AN SZELĄG

Kraszewski satyrykiem

1

— A cóż to za kawały? Kraszewski Bibliotece Szpilek?
— A Kraszewski.
— Józef Ignacy?
— Ten sam.
— Ten starszy, poważny, godny pan długą brodą?
— Ten z długą brodą.
— To pewno jeden z jego młodzieńych utworów?
— Ten sam Kraszewski, ten, co napisał Starą baśń; a utwór nie łodzieńczy, bo wydany w roku 1875, znaczy, gdy autor liczył już sobie t 63.

2

Nie zna dobrze twórczości Kraszewiego ten, kto się dziwi, że próbował , i to z powodzeniem, swego pióra satyrze. Już pierwsze powieści Kleofa Fekunda Pasternaka zdradzały pociąg łodego autora do ironii, sarkazmu i kakatury. Wszystkie te cechy były wyrażm ówczesnego stosunku Kraszewskie(bo on to był Kleofasem Fekundem asternakiem) do życia. Była to romanczna, bajroniczna poza, nie mająca ębszego uzasadnienia i nie pozwalaca mu jeszcze wówczas na stworzee prawdziwej, głębokiej satyry, która rzeć się musi na głębszym poznaniu osunków społecznych. W noweli mieniny (1831 r.) dwie panie warszawskiego towarzystwa demolu mieszkanie księcia Józefa Poniatowiego w pałacu Pod Blachą, w chwili y przekonują się, że zdradził je aktorką. Jak i w innych powieściach raszewskiego z tego okresu, wiele w m opowiadaniu zamieszania i hałasu, wcip jednak raczej niewybredny i powierzchowny. Ale bądź co bądź autor, którego znamy z portretów i fotografii jako uosobienie powagi i dostojeństwa, szukał — jak się okazuje — sposobów nie tylko na wyciskanie łez z oczu wdzięcznych czytelników, lecz również na wywołanie ich śmiechu.

W wielu utworach Kraszewskiego, tych poważnych, nie brak momentów satyrycznych, nie brak karykatury i groteski. Dopiero jednak po upływie czterdziestu paru lat od ukazania się pierwocin literackich Kleofasa Fekunda Pasternaka, i to w jednym roku, właśnie we wspomnianym roku 1875, puszcza Kraszewski w świat dwie powieści oparte całkowicie na satyrycznym zamierzeniu, dodajmy na zamierzeniu znakomicie, po mistrzowsku zrealizowanym. Te dwie powieści to Pamiętnik paniczа i Dziennik Serafiny. Zamiar satyryczny wyłonił się w związku z konkretnymi okolicznościami, z sytuacją, w której postawił Kraszewskiego jego stosunek do pewnych prądów nurtujących w społeczeństwie polskim, jednym słowem, gdy przyszła okoliczność, w której „trudno było satyry nie pisać".

Dziś, po wydaniu przez Kazimierza Wykę pracy pt. Teka Stańczyka na tle historii Galicji w latach 1849 — 1869, mamy przed oczyma wyraźny obraz stosunków politycznych i gospodarczych, na którego tle z łatwością możemy umieścić Pamiętnik paniczа. Lata po powstaniu styczniowym oznaczają dla Kraszewskiego powolne, lecz stałe zbliżanie się do poglądów obozu postępowo-demokratycznego. Etapami tego zbliżenia jest jego współpraca w pismach demokratycznych, ukazujących się w Galicji i na

emigracji, wydawane przez niego samego czasopisma, wreszcie sumariusze wydarzeń pt. Rachunki, w których wyrażał swe poglądy na sprawy polskie. Tak więc pisuje Kraszewski w lwowskim Haśle, w drezdeńskim Przeglądzie Powszechnym, w krakowskim Kraju, we własnym Tygodniu i we własnym nieperiodycznym Omnibusie. Dla przykładu poinformujemy czytelnika, że w Przeglądzie Powszechnym w roku 1866 artykuły Kraszewskiego znajdują się w towarzystwie nazwisk ludzi posiadających zgoła niedwuznaczne oblicze polityczne. A więc w Przeglądzie Powszechnym pisuje również Jeż, Heltman, członek Centralizacji Towarzystwa Demokratycznego i autor jego słynnego Manifestu, Sabowski (Wołody Skiba), który później wyraził w wierszu stosunek postępowców polskich do Komuny Paryskiej, Bohdan Zaleski, Zmorski, Zacharyasiewicz i inni.

Nie był Kraszewski nigdy, i w tym okresie nie stał się, jak to się w owych czasach mówiło — radykalistą. Nie podzielał zapewne wszystkich poglądów swoich kolegów z redakcji Przeglądu Powszechnego, a jednak w pewnym momencie znalazł się w pierwszej linii frontu toczącej się wówczas w społeczeństwie polskim walki, a zwłaszcza tej bitwy, która rozgorzała w Galicji. Do pracy swej publicystycznej jak zawsze przystępował pisarz z wielką ostrożnością i z poczuciem wielkiej odpowiedzialności. Niemniej już w pierwszym tomie Rachunków (rok 1866) zapowiada: „Kraj potrzebuje surowego słowa więcej niż uwielbień, którymi sam karmi się do zbytku, słowa mężnego aż do okrucieństwa, ostrego aż do nielitości, chłosty do krwi. Jednocześnie autor tych słów rozumiał, że jego charakter, jego usposobienie będą ten zamiar paczyć: „Pomiędzy myślą i wykonaniem stanie wiele rozmysłów ludzkiej słabości, *homo sum*, ręka zadrży".

Tak się też stało w wielu przypadkach. Pamiętnik panicza należy do tych dzieł Kraszewskiego, przy pisaniu których ręka mu nie zadrżała...

3

Patriotyzm, demokratyzm Kraszewskiego, jego spojrzenie na wypadki lat 1861—1864, jego opowiedzenie się za zniesieniem pańszczyzny, za rozwojem mieszczaństwa, za uprzemysłowieniem kraju, wszytko to razem wzięte — bardzo było nie na rękę kształtującej się wówczas w Galicji grupie politycznej, która miała przejść do historii pod nazwą stańczyków. Już przed ukazaniem się Teki Stańczyka (1869 r.) jej przyszli autorzy atakują w sposób bardzo ostry Kraszewskiego, a w szczególności te jego roczne obrachunki. O polemice Tarnowskiego pisze Kraszewski, że było to rzucanie „w błoto powalanym kamieniem".

Teka Stańczyka, ów program polityczny ujęty w dość niedołężną satyryczną formę, miała za zadanie rozprawienie się ze wszystkimi patriotycznymi dążeniami nurtującymi w społeczeństwie i utwalenie po wieki przynależności Polski do Austro-Węgier. „Przez zwycięstwo kierunku oznaczonego Teką Stańczyka — pisze Wyka w swojej pracy — przegrywała Galicja ostatecznie swoje, i tak już słabnące, szanse ustrojowe i społeczne. Nie przegrywała tych szans panująca politycznie w tej prowincji szlachta galicyjska. Oto najkrócej ujęty sens Teki Stańczyka."

Stańczycy nie utworzyli żadnej oficjalnej partii politycznej; uformowali się i istnieli jako klika polityczna, uzupełniająca się przy pomocy doboru rozmaitych wpływowych i wybitnych nie-

jednostek, sprawująca rządy w Ga-
i przez lat przeszło czterdzieści. Re-
zat dążeń i wysiłków stańczyków
ty został najdobitniej w artykule
miana zamieszczonym w C z a s i e
roku 1880 w związku z przyjazdem
arza Franciszka Józefa do Krakowa.
mian pisał wówczas, zwracając się
Franciszka Józefa:
Ujrzy on całe społeczeństwo, od do-
do góry, gotowe zawsze i wszędzie
ierdzić to, co tylokrotnie wypowie-
li od lat piętnastu jego wolno wy-
ni przedstawiciele, troskę o świet-
ć i o przyszłość domu panującego,
owość do wszelkich ofiar dla bezpie-
ństwa i potęgi państwa; i znajdzie
j, w którym wszystkie stany, wszyst-
warstwy rade będą skupić się w
dej potrzebie monarchii jak jeden
ż wokoło swego monarchy, aby przy-
czętować przekonanie i uczucia,
rych wyrazem będzie przyjęcie Naj-
niejszego Pana, nie tylko słowem,
czynem, pod godłem, które wywie-
nę przed laty nie przestało i nie
estanie nigdy być hasłem naszym:
zy Tobie, Najjaśniejszy Panie, sto-
i stać chcemy".
Na wiele lat przedtem u kolebki stań-
ków Kraszewski w krótkich słowach
reślił ich program i przestrzegł przed
tkami jego realizacji: „Nim nas po-
obcy, ów konserwatyzm oczyszcza
wszystkiego, co by wygodne połknię-
utrudniać mogło". W istocie pod
dami stańczyków galicyjska autono-
a, złudzenia pewnej ograniczonej
obody narodowej spowodowały w
ultacie upadek gospodarczy kraju,
dzę i zastój we wszystkich dziedzi-
h.

4

Życiem Galicji, właśnie dlatego,
w porównaniu z pozostałymi oby-
óma zaborami cieszyła się ona pew-
wolnością, interesował się Kraszew-
ski bardzo żywo. Przyjeżdża tam i w roku 1866 i w 1867. W czasie swej wizyty we Lwowie w roku 1867 zostaje zbojkotowany przez wyższe, arystokratyczne sfery miasta. W czasie trzeciego pobytu w Krakowie w roku 1871 wygłasza odczyt w Towarzystwie P o s t ę p, podejmując w gnieździe stańczyków otwartą z nimi polemikę. Toast na cześć Kraszewskiego wznosi Adam Asnyk.

Odczyt w P o s t ę p i e — to jedno z ostatnich publicystycznych wystąpień Kraszewskiego w walce ze stańczykami. Ostatnie R a c h u n k i odnoszą się do tego roku, w którym ukazała się T e k a. Nie znaczy to, by Kraszewski skapitulował. Przeciwnie, przechodzi na pozycje, na których czuł się mocniejszy. Rozprawę ze zdradą narodową, z arystokracją, ze szlachetczyzną podejmie w swoich powieściach. Nadaje swoim powieściom coraz mocniejsze akcenty polityczne. W roku 1873 w przedmowie do Z a g a d e k zamieszcza list do nieznanej adresatki, tak określając swoją twórczość:

„Powieści moje są tendencyjne, bo ja dotąd żyję wiekiem moim, krajem, i każde drgnienie przebiegające masy odbija się we mnie. Wystygłej tej krwi, która by na wielki dramat patrzeć mogła nieporuszona, nie falując i nie wzdymając się to oburzeniem, to uniesieniem, to gniewem, to czcią — ja nie mam niestety. Jeśli to cnota, nie chwalę się nią; jeśli wada — nie kryję jej. Mówisz Pani, że z tego powodu to, co najżywiej mogło obchodzić w chwili obecnej, jutro w proch pójdzie i zapomnienie. A! Pani, ja nie jestem pono ani literatem, ani artystą, choć piszę wiele i kocham wszelakie piękno; ja jestem człowiekiem mojego wieku, dzieckiem narodu mego i gdybym miał nawet geniusz, starłbym go na proch, rozszarpał na kawałki i podesłał pod nogi ludzkości, pod stopy Ojczyzny, aby

się o kamień nie zraniły. Żyjemy z posłannictwem dnia dzisiejszego; pierwszy obowiązek — dlań pracować. A! Pani, nie tylko nie należę do tych artystów, co swój własny posąg dłutują życie całe, co wolą prawdę zgnieść w sobie, niż ją wypowiedzieć wówczas, gdy wypowiedzenie sławy na nich nie zleje i skroni im nie oblecze laurami — nie tylko nie należę do nich, ale się nimi brzydzę, ale się nad nimi jak nad dziećmi popsutymi lituję... Bojować trzeba dla prawdy swojego sumienia orężem, jaki Bóg dał w dłonie, do zdechu... a nie spekulować talentem i stylem, aby latami procentował... Niech karty te lecą, służąc na zawijanie nabojów, jeżeli one zabić mają fałsze lub wyświecić prawdę. Pismo było i będzie dla mnie orężem, gdy znajdę lepszy, rzucę ten, a wezmę inny".

Jest to postawa już przepaścią dzieląca Kraszewskiego z jednej strony od stańczyków, z drugiej — od wszelkiego rodzaju literackich pięknoduchów.

Stańczyków i klasę przez nich reprezentowaną atakował Kraszewski rozmaitymi sposobami, zarówno w powieściach współczesnych jak i historycznych. W licznych powieściach owego okresu poświęconych czasom rozbiorowym, czasom Sejmu Czteroletniego i powstania kościuszkowskiego przedstawiał zgubną rolę szlachty, a zwłaszcza arystokracji, które spowodowały upadek Polski. Zagadnieniu temu poświęcił najlepszy ze swych dramatów pt. T r z e c i M a j.

W krakowskim piśmie satyrycznym D i a b e ł z roku 1874 znajdujemy ciekawą podsłuchaną rozmówkę, charakteryzującą stosunek „dobrze urodzonych" do naszego pisarza:

„— Na miłość Boską! Milciu, nie idź przypadkiem dzisiaj do teatru!

— A to dlaczego?... Nowa sztuka.

— Właśnie dlatego... Sztuka hańbna!... paszkwil obrzydliwy na nas!... I mało im tego było, to jeszcze ten Kra... Kraszewski przyjechał, że zbierać oklaski od ulicy za oszczerstw na nas rzucane.

— Przyjechał Kraszewski?... Ac jakżebym rada go poznać! tyle o ni słyszałam!...

— Niech cię Bóg i wszyscy świ strzegą!... Grzech śmiertelny... zgorsz nie... antychryst!... Lepiej przyjdę ciebie i pójdziemy razem na majo nabożeństwo.

— Przepraszam panią... ale jeż mąż zechce iść do teatru?

— Słuchać tam potwarzy na swoi przodków .. winszuję, ale nie zazdro czę.

— Żegnam panią.

— Przyjemnej zabawy!"

5

Gdy jesteśmy już przy D i a b l przytoczymy jeden jeszcze utwór ch rakteryzujący walkę obozu postępow go ze stańczykami. Wszystko po aby P a m i ę t n i k p a n i c z umieścić dobrze w epoce. Związanie stańczyków z tronem Habsburgów pr wadziło w rezultacie do służalczej ró nież lojalności w stosunku do Hohe zollernów. To z kolei do dalszego z przepaszczania wszystkich interes i ambicji narodowych. Sprawą, w kt rej problemy te się przełamywa niezwykle jaskrawo w owym okres był obchód ku czci Kopernika. Ki rowany przez stańczyków Uniwersy Jagielloński odmówił wysłania de gacji do Torunia, aby nie drażn Niemiec podkreślaniem polskości wi kiego uczonego. Stąd na łamach D i b ł a w roku 1873 taki utwór sa ryczny:

O b c h ó d K o p e r n i k a i U n i w e r s y t e t K r a k o w s

My, Rektor Uniwersytetu postan wiliśmy i stanowimy:

uwagi: że miejsce urodzenia Koika jest wobec nauki rzeczą podną —

— że sława otaczająca aureolą ięć astronoma jest wyłączną i niezeczoną przynależnością Akademii kowskiej, która Kopernikowi, jakwiek przybyłemu z obcej prowincji, woliła korzystać ze swej wszechdzy —

— że uniwersytety: rzymski, ewski i bonoński wysyłają delegado Torunia —

— że obecność nasza mogłaby nieprzyjemną dla Niemców

Artykuł 1.

niwersytet Krakowski na obchód ernika w Toruniu delegata nie fe.

uwagi: że wystawienie okolicznośego obrazu Matejki w krużgankach ioteki Jagiellońskiej lub w aulach wersytetu ściągnęłoby do świątyni tłumy ciekawego i niepoświęcoo narodu —

— że takie pospolitowanie się łoby przynieść ujmę powagom uersyteckim —

Artykuł 2.

braz Matejki nie będzie wystawiow murach akademickich na widok liczny.

uwagi: że dla uniknięcia zetknięsię z ulicą przy obchodzie koperwskim, który dla formy przynajej urządzić muszę, nie należy nio zaniedbywać —

Artykuł 3.

roczystość odbędzie się w sposób ępujący:

Nabożeństwo w kościele św. Anciche)

który z profesorów zapomni włożyć togę — zjedna sobie moją przychylność

który wcale nie przyjdzie, może liczyć na nieodmienną moją łaskę.

Pedele, oficjaliści i stróże uniwersyteccy, z berłami i miotłami w ręku, odpędzać będą ciekawych, którzy by chcieli tłoczyć się do kościoła.

3. Uroczysty pochód (chyłkiem) z kościoła do auli uniwersyteckiej, gdzie

4. wybrany przeze mnie profesor dowodzić będzie publicznie, że Kopernik był Niemcem (narodowość jest rzeczą obojętną dla nauki).

Artykuł 4.

Komitet złożony ze mnie, jako prezesa, z mojego sekretarza i dwóch moich przyjaciół, z przybraniem dwóch członków (dla utworzenia mniejszości), zajmie się bezzwłocznie ułożeniem programu, w jaki sposób *Alma Mater* uczcić ma pamięć Kopernika.

Artykuł 5.

Żadne zmiany do niniejszego postanowienia wprowadzone być nie mogą.

Na wieczną rzeczy pamiątkę!

Za zgodność z oryginałem:

(Fircyk)

6

Swój program polityczny ogłosili stańczycy posługując się formą pamfletu. Ale tak już się zawsze dzieje, że reakcji satyra nie bardzo wychodzi. Nie wyszło Wielopolskiemu z pismem satyrycznym, które kazał wydawać przeciwko „czerwonym“, nie wyszło, jeśli chodzi o zamiar literacki, autorom T e k i: Szujskiemu, Tarnowskiemu, Koźmianowi i Wodzickiemu. Satyra stała się potężną bronią, ale w ręku ich przeciwnika. D i a b e ł krakowski, lwowskie pisma satyryczne przez długie lata demaskowały oblicze polityczne, dążenia i działalność kliki stańczyków. W satyrze, już wówczas, wyrastali świetni pisarze: Lam, Bałucki i Rodoć. Jako satyryk występuje Kraszewski. Najpopularniejszy w owym czasie pisarz polski na T e k ę S t a ń c z y k a odpowiada bronią, której próbowali użyć nieudolni pamfleciści. Daje im i wszystkim swoim czytelni-

kom prawdziwą lekcję, jak satyrę pisać należy. Nie ma wątpliwości co do tego, że Pamiętnik panicza stanowi odpowiedź na Tekę Stańczyka i na wszystkie inne stańczykowskie wystąpienia.

„U księstwa mówiono — notuje w swym dzienniczku prowincjonalne hrabiątko — iż społeczność jest cała podminowana, że jej grozi wywrot jakiś i wybuch okropny, że rewolucjonistów jak maku, że masoni zamierzają zamach na kościoły i wiarę... o spiskach, o propagandach itp."

Stańczycy usiłowali umocnić swoje pozycje głosząc, że walczą z (nieistniejącą) teorią o nieustającym powstaniu. Starali się zasłużyć w Wiedniu, głosząc, że dzięki nim Galicja utrzymuje się wiernie przy monarchii, choć jest podminowana wywrotowym działaniem. W rzeczywistości była to cyniczna gra, którą odsłania Robert Iwiński w rozmowie z prowincjonalnym hrabiczem.

„Z ulicy, mój drogi... wszystko się inaczej wydaje, niż z salonu... — My sobie z tych wszystkich zamachów, z tego wdzierania się średniej klasy i łyków i pseudoarystokracji żartujemy! Władza i powaga, jak były tak są — w naszych rękach. Posługujemy się tymi ichmościami, jak chcemy, trochę ich miłość własną oszczędzając i żartujemy z nich sobie po cichu. Zdaje im się chwilami, że coś mogą i coś robią — w istocie chodzą na pasku, którego nie widzą. Niebezpieczniejszych wpuszczamy w nasze kółko, a gdy zaszczyceni zostaną uściskiem ręki i poufałością naszą — są rozbrojeni i łagodni jak baranki..."

To już jakby streszczenie powieści, którą niebawem napisze kto inny, Michał Bałucki — o panu burmistrzu z Pipidówki, gdzie przedstawione są sposoby, używane przez arystokrację dla opanowania dążeń mieszczaństwa. Kraszewski widzi dokładnie, że słaba burżuazja galicyjska nie stanowi kla społecznej dość silnej, aby zagroz stańczykom. Przeciwnie, dostrzega pr ces łączenia się tej burżuazji ze sta czykami. Mówi o tym również Robe

„Trochę są poruszone żywioły różne ale wierz mi, nie ma w tym niebezpi czeństwa... Stan średni, jak tylko zamożności przyjdzie, najszczęśliwszy się czuje, gdy z nami razem iść moż demokracja póty bruździ, póki pozyc sobie nie wyrobi... potem nam służy..

Demaskując w sposób bezwzględn umysłowość i ideologię arystokrac nie oszczędza Kraszewski burżuazji:

„Skarżą się na arystokracji dun i niedostępność, ale, mój Boże, niech pójdą do świeżo zbogaconych banki rów i popróbują, niech pójdą do rep blikanów... Znajdą tam dopiero szors kość, dumę i nieprzystępność, jakiej s nigdy żadna nie dopuści arystokrac Pieniądz daleko jest kolczastszy n rodowa duma..."

To są uwagi celne, ale jednak ma ginesowe. Pamiętnik pani cza jest utworem wymierzonym w raźnie przede wszystkim przeciwk stańczykom. Oto jeden z ich klientó politycznych, jeden z klasy, dla któr stańczycy zdobyli władzę w tym kraj bęcwał, tchórz, łowca posagowy, ko mopolita, nie mający nic wspólne z własnym narodem: „Kawa czar z czego była gotowaną nie potrafię p wiedzieć — biada panicz. — Była cza na wprawdzie, lecz żeby jej nazwis kawy dać można, wątpię. Smutna je przyszłość tego kraju... żal mi go".

Wszystko, co jest związane z Polsk wszelkie przejawy patriotyzmu, liter tura, sztuka, wspomnienia narodowe to dla panicza „nieszczęsna, żałos i szkodliwa polakieria".

7

Stańczycy sformułowali i wprow dzili w życie swój program polityczn

Kraszewski w swoim utworze pokazał am jednego człowieka na tle całego ego środowiska jakby chcąc powiezieć: oto dla takich ludzi poświęcono teresy narodowe, możliwość politycznego i gospodarczego rozwoju kraju.

Talent pisarski autora *Starej baśni* odnosi w tym utworze jeden największych triumfów, mimo że sara przecież nie była rodzajem literackim, który Kraszewski stale uprawiał. Trzeba powiedzieć, że ani w publicystyce, ani w beletrystyce, ani w gamacie nie udało mu się w sposób k wyrazisty i przykonywający zdemaskować egoizmu, głupoty, cynizmu łej klasy społecznej, uzurpującej sobie mimo wszystkich dokonanych zbrodni prawo do przewodzenia narodowi. Ta pasja polemiczna, warunkująca owodzenie w każdym satyrycznym zaierzeniu, dała utwór celny i zabójczy e tylko z punktu widzenia politycznego, ale i doskonały z punktu widzenia artystycznego.

Odkrycie tego rodzaju utworu dzisiaj ypełnia nam sztucznie stworzoną lukę w literaturze polskiej. *Pamiętnik panicza* dowodzi, że nurt tyryczny w literaturze polskiej nie mierał nigdy, tyle że był ze zrozumiałych powodów przemilczany. Kraewski jako satyryk — to nie kawał, e cenne i ważne odkrycie. To dowód tnienia pomostu prowadzącego od *worzanina* Łukasza Górnicego, poprzez *Mikołaja Dowiadczyńskiego* przy*adki* Krasickiego, poprzez Skarbka *Parafiańszczyznę* Leszka unin-Borkowskiego, do satyryków gacyjskich drugiej połowy wieku XIX, satyryków warszawskich tegoż okreu; to dowód, że literatura polska rozijała się, mimo wszystkie przeszkody trudności, bujnie i znakomicie równeż i w satyrze. Dowodzi to, że tak nakomity utwór Weyssenhoffa *Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego* nie wyskoczył nagle, ni z tego ni z owego, w naszej literaturze, ale że jego rodowód prowadzi bezpośrednio do *Pamiętnika panicza* i *Dziennika Serafiny* Kraszewskiego.

„— Przecież każdy pracować musi— powiada dziadzio-zrzęda do panicza.

— Tak — odpowiada panicz — komu przeszłość nie zostawiła w spadku środków do życia i kto się do pracy urodził. Przecież w naszym stanie tego wymagać od nas nie można... My mamy powołanie kształcić w sobie uczucia i gusta szlachetne, *cywilizować*, obyczaje łagodzić..."

Toż to dosłownie ta sama teoria „misji cywilizacyjnej", którą głosił Podfilipski! Nieważne jest, czy Weyssenhoff czytał utwór Kraszewskiego. Ta zbieżność wynika niewątpliwie z rzetelnej obserwacji obu pisarzy, z obserwacji cech i — pożal się Boże — „idei" polskiej arystokracji.

Z tym, że utwór Kraszewskiego przemawia do nas dziś z większą siłą, pozostała w nim bowiem olbrzymia pasja wielkiego pisarza, który, jak sam to pisał, ponad wszystko postawił interesy swego narodu i dlatego podjął walkę ze wszystkim, co stało na drodze jego rozwoju. Są to oczywiście pamiątki walk przeszłości, stanowiące jednak nadal cenną i twórczą pozycję naszej literatury, na nowo dziś odczytywanej.

Zresztą i dziś, gdy przez radio londyńskie słyszymy hrabiego Raczyńskiego, mówiącego łamanym językiem polskim i starającego się wmówić nam, że na Picadilly walczy on o sprawę Polski, trudno nam nie czynić porównania z bohaterem Kraszewskiego.

A więc czytajmy:

„Wyjechałem z Wilczej Góry po śniadaniu..."

Jan Szeląg

MICHAŁ CSOKONAI *Przełożył* ALEKSANDER RYMKIEWICZ

Najwybitniejszy poeta węgierskiego Oświecenia. W poezjach swoich maluj przemiany społeczne na przełomie XVIII i XIX wieku. Najważniejsze jego utwo ry: Rozmowy zwierząt, Batromyomachia (Wojna żab z myszami) Wieczór, Konstantynopol i epopea komiczna Dorota.

WIECZÓR

Coraz niżej opada już kareta słońca,
Czeka na nią otwarta brama zamku lśniąca.
Promienie coraz bledną i zgorzeć nie mogą
I znikają pod ziemią, pod nieba pożogą.
Uśmiecha się na wierzchu widny złotej chmury
Na chłodnych skrzydłach wieczór idący do góry,
A rosa ożywiona tym balsamem w górze
Roni srebrne kropelki w rozwinięte róże.
Już na brzegach wyziębłych gniazd ptaszkowie leśni
Zasypiają śpiewając pożegnalne pieśni.
Nim się słowik wypłakał przy świecącej gwieździe,
Skowronek już zawodził przeciągle w swym gnieździe.
Wilcy, zwierzęta drzemią, siedzące po parze,
Srogi niedźwiedź zbudzony mruczy w swej pieczarze.

O, przybądźcie wietrzyków wy, łagodne tchnienia,
Przybądźcie do mych uszu wy, rozkoszne pienia;
Wami dusza ma smutna uraduje siebie,
Wasza słodycz dziś wszelkie smutki me pogrzebie.
O, wiejcie wy, Zefiry, z was radość zrodzona
Wleje życie do mego znużonego łona.
Cóż to czuję?... gdy mówię, rześkie tchnienia gonią,
Łagodnie owiewając mnie niebiańską wonią.
W cieniu drzew rozłożystych szumi skrzydło wiatru,
Tam odgrywa się lekkie i wonne teatrum,
W którym Gracje radośnie wzlatują nad trawę,
Ujęte jak w ramiona w cudowną oprawę,
W którym kształt ciemny, cichy, tam gdzie stoją gaje,
W drżącym świetle księżyca chwiać się nie przestaje,
Tak to ustronie pięknej zadumy się ściele,
Wita ją blask pogodny, w niej mieszka wesele.

Spóźnij się, ciemna nocy, z ponurą godziną,
Niech nad weselem chłodne twe skrzydła nie płyną:
Cóż innego mieć mogę, co duszy znużenia
Odświeża i łagodzi i w spokój zamienia;

Gdy mnie zmęczy zgiełk świata donośny, szeroki —
Słyszę skąpca stąpanie i pyszałka kroki,
Gdy dokoła mnie ludzie krzyczą w sporach długich
I pijani żądzami depczą jedni drugich.

Szalony rodzie ludzki, któż na siebie stwarza
I na wolne swe ręce nakłada żelaza?
Twoja była ta ziemia, dawne twe dziedziny,
Dziś pyszałek i skąpiec ciągną z niej daniny.
Po cóż między swe syny stawiasz granic kopce:
Już ich ręce i oczy, już ich myśli obce.
Słowo „moja" i „twoja" spory wciąż ogłasza
Od czasów owych, kiedy zniknął wyraz „nasza".
Niegdyś żyzna ta ziemia od swoich początków
Tylu ludzi żywiła, nie tworząc majątków.
Wonczas w latach spokojnych, bez szaleństw i wojny,
Tylu ludzi nie marło od zarazy zbrojnej.
Dla prawa wonczas jeszcze nie było nędzarza,
Urodzenie bogatych, ni biednych nie stwarza.

Znaki sprawiedliwości — graniczne kamienie,
Prawa zakazujące ruszać cudze mienie —
Nie dając przyczyn sporom o pomstę nie krzyczą,
Potrzeby ludzkie były jedyną granicą.
Wonczas jeszcze nie wszeszły rządy pańskiej pychy,
Nie musiał słuchać twardych praw niewolnik lichy,
Ani jeść skórek chleba w Noc Bożych Narodzin,
By pasztety i torty pan mógł jadać co dzień.
Nie brał król też dwudziestu, trzydziestu milionów,
I nie ściągał daniny z ubogich zagonów,
Choć uszczęśliwiać winna sługi chwila każda,
Kiedy kupuje sobie król jaskółcze gniazda.
Wonczas nie krył się skąpiec przed ciekawym okiem,
Strzegąc złota przed zbójcą, drżąc z lęku przed mrokiem,
Zbójecki świat być może złodziejem go czyni,
Gdyż nikt złodziejem nie jest w narodzin godzinie.
Nic to zresztą dziwnego — łąkę dzielą rowy,
Pola już dookoła płot otacza nowy,
Las ogradza szeroko zakazów bariera,
Z lasów pańską zwierzynę pan na stół zabiera,
Biedni ludzi ciosali grube, ciężkie kłody
I przed samymi sobą ogrodzili wody.

Ty jeden pozostałeś, księżycu złotawy,
Świat jeszcze cię nie może wypuścić w dzierżawy,
Ty tylko pozostałeś, ożywcze powietrze,

Bo sztuka inżynierska nie zamknie cię, wietrze!
I ciebie jeszcze, tonów najczystsza harmonio,
Wszystkim ludziom bezpłatnie wysłuchać nie bronią;
I was, o słodkie, leśne, wieczorne odgłosy,
Może słuchać najemnik i pasterz wśród rosy,
Gdy przy tchórzliwych dźwiękach, gdzie sztuczności sale,
Świat wytworny urządza swe męczące bale.

Dobroczynna naturo! Tyś mi pozostała,
Skarbem twoim odwiecznym darzy ziemia cała,
Twoim jestem dziedzicem, odkąd w dniu dalekim
Dzięki tobie zostałem zrodzony człowiekiem.

przełożył **Aleksander Rymkiewicz**

PIEŚNIARZ W OBOZIE ROSYJSKICH BOJOWNIKÓW

Fragment

O, zmarłe druhy, chwała wam
I wieczne odpocznienie!
Spotkacie u wieczności bram
Minionych wodzów cienie.
Splotą się głosy wielbień w chór,
I zabrzmią nim biesiady;
„Od nich odwagi bierzcie wzór!"
Tak rzekną wnukom dziady.
Rozpali w wodzach płomień serc
Dźwięk imion waszych starych,
I pomkną wzwyż, na mury twierdz,
I zatkną tam sztandary.

W o j o w n i c y

Rozpali w wodzach płomień serc
Dźwięk waszych imion starych,
I pomkną wzwyż, na mury twierdz,
I zatkną tam sztandary.

P i e ś n i a r z

To czara zemsty! Druhu, wstań,
I w górę wznieś krąż zguby!
Zwyciężż lub złóż swej śmierci dań!
Oto są nasze śluby.
Próżno gnasz na nas z obcych ziem
Swych rabów, pan zwycięski:
Rzucają precz twą broń i hełm,
Spragnieni twojej klęski!
Nie znajdziesz skarbów u nas, psie,
Lecz strzały, łuk i zbroje;
My miasta w proch! My w popiół wsie!
A w miecze — pługi swoje!

Złoczyńca! Śnił, że będzie miał
W prastarej Moskwie leże;
Pokojem podłym grozić śmiał
Z kremlowskiej świętej wieży.
„Zmienię ten kraj w więzienny loch,
Lud pójdzie na powrozie!
I padną z władcą swoim w proch!"...
Przyszedł... i zdrętwiał w zgrozie.
I płonie zemstą stary gród:

Pożarem objął wrogi,
I na najeźdźcę mury wiódł,
Zalane krwią pożogi.

Wiedź-że swych rabów na nasz brzeg,
Wiedź ich w krainę chłodu;
Przebij im drogę poprzez śnieg
I rzuć na pastwę głodu...
O sprzymierzeńcza zimo, śpiesz!
Już nie ma stąd powrotu:
Za nimi w krąg pustynny perz,
Przed nimi — burza grotów.
Doświadczysz sam, kto dzierży prym:
Mściciel czy chciwiec krwawy?
Przybyszu!... Myśmy w kraju swym;
Bóg broni słusznej sprawy!

Wojownicy

Doświadczysz sam, kto dzierży prym:
Mściciel czy chciwiec krwawy?
Przybyszu!... Myśmy w kraju swym;
Bóg broni słusznej sprawy!

Pieśniarz

Za świętą przyjaźń wznieśmy fial
Od braci naszych wiela!
Błogosławiony ten, co miał
Wiernego przyjaciela;
Tam szczęście jest, gdzie jest was dwóch;
Pociechą on w rozpaczy;
To głos sumienia, dobry duch,
Co szlak nasz światłem znaczy.
Przyjaźń!... Jak świętość, czcijcie ją
Pod tymi namiotami;
Spisany jest nasz sojusz krwią:
Nam żyć i lec druhami.

Wojownicy

Przyjaźń!... Jak świętość, czcijcie ją
Pod tymi namiotami;
Spisany jest nasz sojusz krwią:
Nam żyć i lec druhami.

Pieśniarz

Wypijmy za miłości dar!
Gdy wokół boje krwawe,
Druhowie, niech was karmi żar:

Toć miłość wieńczy sławę.
Komu w udziale przypadł los
Kochanków tajemniczy,
I serce z sercem łączy most,
Dla tego śmierć jest niczym;
I gotów jest do wielkich dzieł:
Za nic mu lęk, przeszkody.
Czegóż nie spełni, gdy ma cel —
Najsłodszej dlań nagrody?

Myśl o tej, ach! co światem twym,
Niezmiennieć towarzyszy;
Widzisz jej obraz, mówisz z nim,
I głos jej wszędzie słyszysz;
Na twych sztandarach cudnie lśni,
I w bitwy mrocznych cieniach,
Jest w obozowym gwarze, i
W wesołych snów marzeniach.
Uświęcon miecz do wielkich prób
Cudownym jest sposobem;
Na rękojeści gore ślub:
„Jam twa i poza grobem!"

O ty, słodyczy tajnych śnień!
Tam, tam, za dalą siną,
Jest anioł twój, twój jasny dzień,
I mrze za twą przyczyną;
Tęskni i gorzkie leje łzy,
I tonie wciąż w modlitwie,
Czeka na wieść, przed wieścią drży:
„A może poległ w bitwie?"
Duma: „Czy da mi zasię żyć
Z mym miłym dobry geniusz?
Spotkania chwilo, przyjdź, o przyjdź,
I ból rozłąki zmień już!"

Druhowie! Jakże błogo jest
Swych miłych być zbawieniem!
Gdy zaś sądzony nam tu kres —
To zginmy z upojeniem!
Czyż zgłuszy jej imienia dźwięk
Śmierć szumem swej opończy?
Z tą, której ślesz ostatni jęk,
Nic, nic cię nie rozłączy:
Poniesie dusza z sobą tam
Najdroższy obraz miłej...
Wszystkiego śmierć nie wydrze nam,
Nie wdepce w dół mogiły!

Wojownicy

Poniesie dusza z sobą tam
Najdroższy obraz miłej...
Wszystkiego śmierć nie wydrze nam,
Nie wdepce w dół mogiły!

Pieśniarz

O, starcze! Niech rozebrzmi znów
Twój cudny śpiew łabędzi:
Nie o czczej sławie mężnym mów,
Niech pieśń to zemsty będzie!
Nie do zdobyczy prężą dłoń,
Nie biegną za wieńcami —
Ich dzieło święte: święta broń,
Co walczy z najeźdźcami.
Musieli podnieść prawy miecz,
By plemion zgnieść kajdany, —
Nie tylko siebie broniąc, lecz
Wolności, w proch wdeptanej.

Tak, bracia, chwała dzieciom muz!
Lecz ja, wasz piewca młody...
Jakże bym chciał, by głos mój wzniósł
Ku waszej chwale ody!
Lecz dotąd tylko sielski raj
Znał mój niewprawny bardon...
I wtem: do broni wzywa kraj,
Na próbę wzywa twardą!
Czas rzucić druchów, ojców dom,
I ciebie, wsi szczęśliwa, —
Wszystko... Tyś tam, gdzie wojny grom,
I wrzawa walk straszliwa!

Czy będę sprawy wasze piał
I dźwigał słodkie brzemię?
Może już czeka któraś z strzał,
By krew wytoczyć ze mnie.
Lecz czyż na wieki wroga grot
Uśmierci mnie swym spiżem?
Zostanie pieśni dźwięk i lot
W osieroconej lirze.
Niechaj drapieżcę w ogniach łun
W proch zetrze zemsta krwawa —
A wskrześnie życie moich strun,
I dźwięcznie zagrzmią: sława!

Pieśniarz zna mowę tajnych run
I z dniem wczorajszym gada;
I wnuk, wsłuchany w dźwięki strun
We łzach podziwia dziada.

W o j o w n i c y

Pieśniarz zna mowę tajnych run
I z dniem wczorajszym gada;
I wnuk, wsłuchany w dźwięki strun
We łzach podziwia dziada.

przełożył **Anatol Stern**

NA ŚMIERĆ BYRONA

Wśród broni szczęku bitewnego
Cóż znaczy smutek ten cmentarny?
Na głos rozpaczy dokąd karni
Synowie świętej Grecji biegną?
W krwi własnej z dawna brocząc morzu
Hellada słania się od ciosów;
Jakież więc jeszcze gromy losu
Temistoklesa ziemi grożą?

Choć mu wypadło berło z ręki,
Czemuż się cieszy władca Wschodu?
I za co starzy, za co młodzi
Składają prorokowi dzięki?
Wiem: przed ołtarzem w Misolungi
Na katafalku stoi trumna;
Nad nią się jarzy świateł łuna
Pod nią kadzidła leżą smugi.

Przy niej z rozpaczy oszalały
Cały lud Grecji stanął tłumnie,
Jakby leżała przed nim w trumnie
Wolność ojczyzny zmartwychwstałej,
Jakby miał znów żyć w tych kajdanach,
Które przez długie wieki nosił,
Jakby nań z Turcji szli i z Rosji
Żołdacy cara i sułtana.

O, mórz królowo, dumna wielce!
Nie w sile twojej twoja sława.
Sławę ci dają mądre prawa
I twego dziecka mężne serce.
Wspaniały umysł, duma wieku
Byron, twój syn i twój poeta
Walczył, gdzie walka była święta,
I życie dał za wolność Greków.

Ze źródeł swoich czas wciąż płynie
Z mocą nieustającej burzy,
Przeszłość się nigdy nie powtórzy,
Chwili dzisiejszej ślad zaginie.
Wieki na wieczny swój spoczynek
Łańcuchem górskim się ułożą,
Kamienną ręką w krąg zagrożą
Świat zamieniając na pustynię.

Działania czasu nic nie wstrzyma,
On śmierć twym portom, miastom zada,
Zniknie z powierzchni mórz armada,
Nowa powstanie Kartagina.
Ale szlachetnych uczuć ognia
Nigdy nie stłumi żadna siła.
I święta Byrona mogiła
Będzie jak gwiazda lśnić przewodnia.

Brytyjczyk w wieku zagubiony
Przyjdzie, położy dłoń na grobie,
I dumnym wnukom z dumą powie:
Tutaj poeta śpi natchniony!
On dla ojczyzny żył i świata,
Chlubą był wieku, swoją lirą
Odniósł zwycięstwo nad Szekspirem,
Myślą — Sokrates, sercem — Kato!

Nie miała dlań tajemnic ziemia,
Los ani cieszył go, ni trwożył,
Przed żadną władzą się nie korzył
Wsłuchany w swego głos natchnienia.
Los go nie szczędził. Duszę karła
Poznał i dusze znał szyderców,
Ale w płomiennym jego sercu
Miłość do ludzi nie umarła.

Daleko od ojczystych brzegów
Za krajem zżarła go tęsknota.
Gdy padł, to cała Europa
Wsłuchana była w słowa Greków:
„Dziś gorącymi łzami płacze
Przyjaciel Grecji i wolności.
Nie kryją tylko swej radości
Podli służalcy i siepacze".

1824.

DO BIESTUŻEWA

Mimo że Puszkin przyznał mi zaledwie
Okruch talentu, oceną surową
Nie zabił we mnie wiary, Biestużewie!
Żyję wśród wrogów z podniesioną głową.

Zachowa serce moje aż do śmierci
Szlachetnych marzeń siłę niepodległą,
Bo nie na darmo młodości mej świeci
Blask ukochania rodzaju ludzkiego.

Kto w piersi własnej świat ogromny zawrze,
Kto swym natchnieniem nad ziemię się wzbije,
Wrogom na przekór jest poetą zawsze,
Sławy nie żebrze, ale sławą żyje.

Muzy, natchnienia mego sprzymierzeńcy,
Rzucają dla mnie swe bajeczne kraje.
Gdy blask ich łaski czoło moje wieńczy,
Wtedy ja nagle poetą się staję.

1825

*
* *

Tyś zapragnęła, moja miła,
Nawiedzić me osamotnienie,
Gdy upadałem już na siłach
W morderczej walce z przeznaczeniem.

Ty czarodziejskim swym spojrzeniem
Chciałaś wybawić mnie z katuszy.
Pragnęłaś przynieść uciszenie
Mojej wzburzonej walką duszy.

Twoje serdeczne myśli dla mnie,
Twoje uczucia, miła moja,
Dają mi sił, by znieść męczarnie,
I rany cierpień moich goją.

Twojego serca serce moje
Już ani pragnie, ani żąda,
Dusza ma wzruszeń twych nie pojmie,
Gdyż nie jest duszy twojej godna.

Bo dusza twoja zawsze służy
Wzniosłym uczuciom za schronienie,
Obca jest uczuć moich burzy,
Obce jej myśli moich wrzenie.

Umiesz przebaczać swoim wrogom,
Gdy ja tkliwości obcy jestem.
Ja za zniewagi płacę drogo,
Oszczerca pozna moją zemstę.

Słabości mojej zerwać pęta
I sercem władać jam jest zdolny.
Nie umiem krzywdy nie pamiętać
Jak chrześcijanin lub niewolnik.

Serce miłości twej nie przyjmie
Bo inne powołanie moje,
Miła mi wojna jest jedynie,
Miłe mi bitew niepokoje.

Bo gdy ojczyzna ma w kajdanach,
Ja nie mam serca dla miłości.
Dziś moja dusza skołatana
Żyje tęsknotą do wolności.

1824

przełożył **Zbigniew Bieńkowski**

Pisarze polscy w walce o nowy słownik

Donoszą nam, iż prace nad nowym, wielotomowym słownikiem języka polskiego posuwają się szybko naprzód. Słownik współczesnego języka polskiego, przygotowywany jest przez personel techniczny o kwalifikacjach językoznawczych i polonistycznych oraz przez grono uczonych, wchodzących w skład komitetu, który pozostaje pod przewodnictwem cenionego językoznawcy prof. Witolda Doroszewskiego.

Zapowiedzią nowego słownika jest Zeszyt dyskusyjny, odbity w nakładzie 3.500 egzemplarzy, zaopatrzony w ankietę i chętnie rozsyłany ciekawym.

W warszawskim Domu Literatury odbyły się 16 i 22.X zebrania sekcji przekładów i sekcji prozy poświęcone owemu próbnemu zeszytowi. Oba zebrania wzbudziły nadzwyczajne zainteresowanie. Na sekcji prozy sala była wypełniona po brzegi, burzliwa dyskusja przeciągnęła się do późnego wieczoru, wielu przemawiających wystąpiło z referatami przygotowanymi na piśmie, dyskusję zainaugurowała Maria Dąbrowska, która w dłuższym, znakomitym odczycie poddała zeszyt próbny nieodpartej krytyce. Poczucie odpowiedzialności, rzeczowość, umiłowanie języka i troska o jego dalszy rozwój oraz o wybór tradycji literackich, troska o użyteczność pouczającego słownika — to chyba były hasła przemawiających. W ten sposób pisarze wiedzę swą zdobytą przy warsztacie literackim oddali na pożytek słownika, który — jak to podkreślono w dyskusji — powinien być jednym z tych osiągnięć monumentalnych, jakie w zakresie kultury realizuje państwo ludowe.

Słownik Doroszewskiego powinien więc górować nad naszym dziewiętnastowiecznym dorobkiem, a więc nad Słownikiem Lindego, który właśnie w trzecim fotoofsetowym wydaniu ukazuje się obecnie, i nad słownikiem warszawskim Kryńskiego, Karłowicza i Niedźwiedzkiego, który w drugim, również fotoofsetowym wydaniu, ukazać się ma w czasie najbliższym. Niestety, ze słów zabierającej głos w dyskusji przedstawicielki komitetu, dr Renaty Mayenowej, wynika, iż Słownik ma być pozbawiony wysokich ambicji współzawodnictwa. Już za kilka miesięcy rozpocząć się ma druk pierwszych arkuszy, a ambicje wyższe wymagałyby pracy kilkudziesięcio- czy kilkunastoletniej. Tego rodzaju stanowisko nie mogło spotkać się z uznaniem i obudziło sprzeciwy na sali. Stanowisko minimalistyczne wyjaśnia także koncepcję „języka współczesnego" w rozumieniu komitetu. Słownik w celu wyjaśnienia wyrazów, podaje je w zwrotach dziś używanych, a więc zaczerpniętych przede wszystkim z gazet, wydanych po wojnie książek, czy to beletrystycznych, czy to naukowych. Ale zestawiony w Wykazie skrótów dobór dzieł literackich, z których wzięto cytaty, jest niewątpliwie dowolny, eklektyczny, przypadkowy — stanowić też może przykład nieprzemyślanej lektury — obojętnie kogo — aby tylko żyjącego dzisiaj. Zarzut dowolności odnosi się również i do klasyków.

Można by powiedzieć, że z czyjego mieszkania przeniesiono szafę z książkami do redakcji Słownika. Cztery tomy Mickiewicza, bo cztery wyszły w chwili, gdy oddawano zeszyt do druku, cały Słowacki, bo cały wyszedł na

dem Ossolineum. Całkowicie pomi-nięci są z ostatniego stulecia Prus, ojecki, Jeż, Korzeniowski, Dygasiń-. Zapolska czy Świętochowski, mielowski, Nałkowski, albo Śniadec-z Brodzińskim, Rzewuscy z Chodź-jedną książką reprezentowany naj-dniejszy Kraszewski, największy amaturg Fredro, dwiema tylko zeszkowa i dwiema najpłodniejszy arz dwudziestolecia Boy-Żeleński — zystko to — zapewne przypadkiem zapewne przypadkiem zabłąkany zedwojenny, bardzo elitarny Beniaminek Irzykowskiego. Nie tylko wy-pisarzy uwzględnionych czy pomi-tych jest przypadkowy, ale i ilość eł, którymi są reprezentowani—a więc nga, którą pisarzom przyznaje komi-jest przypadkowa. Dzieło, które brano z całego dorobku pisarza, unieśmiertelnić je cytatami w słow-cu, nie zawsze jest najwybitniejsze d względem językowym czy arty-cznym w ogóle, nie zawsze w tym aśnie dziele pisarz ów wypowiedział najpełniej. Cytaty wyrwane z ob-erniejszego kontekstu nie zawsze wy-żają myśl, którą dałoby się obronić, rmułowanie zaś wyrwane z kon-stu wydaje się niekiedy szczególnie bliwe i prowadząc do nieporozu-eń nie może służyć za wzór. Pogląd, iż najdawniejszym z polskich pisa-mówiących językiem współczesnym st dopiero Mickiewicz — uzasadnić nie da. Radziłbym autorom Pros-ektu poczytać eposy komiczne Igna-go Krasickiego. Koncepcja literatu- — wynikająca z bibliografii komi-towej — jest przypadkowa. Prof. Do-szewski i dr Mayenowa zapewniali, Zeszyt dyskusyjny przygo-wywany był pospiesznie, iż wykaz ódeł wyzyskiwanych obecnie jest acznie rozleglejszy. Utrudnili tym nie-mału dyskusje, bo odpadła pod-stawa do dyskusji, którą i tak tylko w pewnym stopniu był zeszyt próbny, skoro wybór haseł objaśnionych, podanych na wyrywki, nie dawał pojęcia o bogactwie nowego słownika, nie pozwalał go zestawiać z dawniejszymi. Teraz na dobitkę dowiedzieliśmy się, że i to, co znajdujemy pod poszczególnymi hasłami, nie daje pojęcia o przyszłym słowniku. Jednakże te oświadczenia, którym zresztą towarzyszyło zapewnienie, iż redakcja ciekawa jest wszelkich uwag i najchętniej wysłucha wszelkich sugestii i dezyderatów, świadczą o bezplanowym postępowaniu komitetu z punktu widzenia historycznego i literackiego. Chcąc informować o życiu politycznym i sprawach bieżących w ogóle, odwołuje się on do gazet. Ale cytuje sformułowania często niezręczne, a co gorsza niepoprawne, pomija natomiast przemówienia naszych mężów stanu mówiących na tematy nowe bardzo często piękną polszczyzną. Adolf Sowiński zwrócił uwagę, iż językoznawcy stoją na stanowisku w pewnym stopniu „niemoralnym", zwalczając bowiem puryzm językowy, obserwując, jak w rozwoju języka błędy językowe zyskują prawo obywatelstwa, gotowi są uznać każde, byle jakie, niechlujne wysłowienie, rezygnując z troski o jasność myśli i o piękno, „skoro ludzie tak mówią".

Właśnie z tym stanowiskiem „językoznawczym" nie mogą się pogodzić pisarze. Nie dlatego, żeby stali na straży jakiejś wyimaginowanej czystości języka, konserwatyzmu i pedanterii. Pisarze prawdziwie współcześni wyrażają nowe treści przede wszystkim przy pomocy starych polskich wyrazów, ale dla walk, przemian i rzeczywistości, która jest nowa, starają się znaleźć kształt artystyczny, z pewnością więc mają twórczy, nowatorski stosunek do słowa, i najwięcej i świado-

mie przyczyniają się do rozwoju języka. Stąd pisarzom przede wszystkim potrzebny jest słownik, bo muszą wiedzieć, jak dzisiejszego wyrazu używano dawniej, muszą poznawać na przykładach, na cytatach, ewolucję dawnych znaczeń dzisiejszego wyrazu. Tym sposobem rozwija się i doskonali język. Stąd tak ważną sprawą jest dobór owych cytatów, bo dopiero one zestawione chronologicznie, zaopatrzone w daty, omówione krytycznie, objaśnione informacją etymologiczną, składają się na małą monografię słowa, podają znaczenie owego słowa w jego historycznym rozwoju. Stąd i znaczenia wyrazu dziś nie używane są pouczające. Stąd praca pisarza polega także na przywracaniu do życia wymarłych już wyrazów. A więc nie tylko przez wzgląd na wymagania językowej poprawności, ale po to, aby móc wpływać na życie i na język, pisarze powinni znaleźć w słowniku to, czego szukają. Niestety, nieporadności i błędy językowe Expressu Wieczornego Zeszyt uprawnił. Jest to tym przykrzejsze, iż od dłuższego czasu redakcja Expressu walczy z błędami, stara się o poprawę języka, pozyskując do współpracy coraz to lepszych stylistów. Nieporadności i błędy językowe — jak zauważył Aleksander Wat — przyjmą za wzór do naśladowania początkujący czy drugorzędni adiustatorzy i nie trudno zgadnąć, co się wówczas stanie z nieśmiałymi czy nieżywymi pisarzami. Słownik, uważając, że język współczesny to dopiero język Mickiewiczowski, dał wizerunek zubożonego języka pod względem znaczeniowym i pozbawionego wielu piękności i refleksji. Wydaje się, iż ambicją Słownika powinno być wyszukanie dziś używanych wyrazów u najdawniejszych polskich pisarzy, ale temu na przeszkodzie stanęło kryterium mechaniczne, zabraniające Kochanowskiemu wstępu do Słownika. Wedle tego kryterium „Wielkieś mi uczyniła pustki w domu moim, moja droga Urszulo, tym zniknieniem swoim" — nie jest powiedziane językiem współczesnym. „Płyn, który zwyczajnie gładkość i świetność oka utrzymuje, a w żalu i smutku nad miarę się zwykłą rozlewa — nazywamy łzami" — pisał Jędrzej Śniadecki w Początkach chemii. Na próżno jednak w Słowniku szukalibyśmy Śniadeckich, ich pięknych sformułowań, a przecież trudno uwierzyć, by twórcy Słownika po latach spędzonych nad książkami nie zachowali w pamięci ulubionych cytatów. Śladu tego nie ma w prospekcie. Czy nie jest dowodem, iż Słownik fabrykuje się mechanicznie, jeśli pod wyrazem „alkoholik" czytamy o Beethovenie? Po co? Albo inny przykład: „W anegdociarskiej pustyni tylu książek Boya z rzadka rozsiane myśli pojawiają się jak smutne sieroty". Ileż zamętu wprowadzić może ten cytat z pamfletu Irzykowskiego! Ileż perwersji językowej kryje się w sformułowaniu „anegdociarska pustynia" i jakże niesłuszny — biorąc porównawczo — jest zarzut bezmyślności postawiony Boyowi. Chcielibyśmy, aby Słownik był pouczający, tzn. żeby pod wyrazem „antykwariusz" nie było wyjaśnienia, że to „właściciel czy dyrektor antykwariatu" (więc nie zawód), ponieważ antykwariusz oznaczał pierwotnie miłośnika starożytności, archeologa, który dopiero w XIX w. a więc w okresie rozwoju kapitalizmu stał się handlarzem. Chcielibyśmy także, aby dla określenia wyrazu nie podawano synonimów, a precyzowano różnice między synonimami. Jeśli idzie o wyrazy zaczerpnięte z innych języków, chcielibyśmy wiedzieć, jaka zachodzi różnica znaczeniowa między

yrazem polskim a obcym. Ta wiadoość jest szczególnie ważna dla tłuaczów.

Podczas gdy Prospekt rozumie rzez pojęcie współczesnego języka rzypadkową lekturę człowieka dziś rjącego, to pisarze stanęli na stanoisku, które najjaśniej sformułował adeusz Zabłudowski, powołując się na racę Stalina o językoznawstwie. Jęrk współczesny jest językiem klasyów literatury, oczywiście podlegającym dalszemu rozwojowi, uzupełnionym pojęciami i terminologią w związku z rozwojem sił produkcyjnych, rozojem społecznym, rozwojem nauki i echniki. Otóż właśnie tego oparcia się a tradycji żądali pisarze.

Układając bibliografię — jest to pole niżej podpisanego — należało tę ibliografię postawić na usługach pewej tezy. Sądzę, że należy wziąć pod wagę walkę o rozszerzenie języka lierackiego i rozwój czytelnictwa. Jedym etapem byłby wiek Oświecenia i oezji jakobińskiej, drugim walka Micewicza i romantyków z pseudoklaykami czyli walka literatury plebejskiej i ludowej bazy czytelniczej z liératami piszącymi dla jednego salonu Wilnie, a drugiego w Warszawie. rzecim etapem będzie walka pozytywistów, którzy jak Prus i Sienkiewicz rzeszli przez dziennikarstwo i znajdą nowy, bardziej potoczny sposób móienia do nowoczesnego, już kapitalitycznego społeczeństwa. Czwarty okres – w związku z budową socjalizmu i kwidacją analfabetyzmu — przeżywamy obecnie. Stąd bibliografia powinna, jak sądzę, uwydatnić ten spór wiatopoglądowy walki o postęp. A łaśnie publicystykę Prospekt całowicie pomija. Pomija zupełnie historiografię od Lelewela do Tadeusza Wojciechowskiego i Smoleńskiego, pomija dzieła uczonych polskich nieprzemijającej wartości, które obecnie na nowo ukazują się drukiem. Nie ma broszur politycznych, pamfletów, paszkwilów, satyr, fraszek, humoru, pięciu wieków wymowy sejmowej, wymowy sądowej, nie ma polemiki politycznej, literackiej i historycznej, nie ma felietonu i recenzji teatralnej. Jest tylko „goła" terminologia polityczna i naukowa. Nie ma w prospekcie sporów, jadu i pasji polemicznej, walki z przesądami, demaskatorstwa, tego, co gorące, burzycielskie i budujące. Jest unikanie sporów, zatykanie uszu, jałowa poczciwość, słowem — „Sławianie, my lubim sielanki". Prospekt nie wydobywa nurtu postępowego naszej tradycji, nie wydobywa dzieł do niedawna przemilczanych, dzieł odkrywanych na nowo. Kraszewski i Sienkiewicz ukazywany jest w stylizowanych, archaizowanych powieściach, nie zaś w Szalonej czy Listach z Ameryki.

W czasach, gdy sztuka, przede wszystkim muzyka, czerpie natchnienie z niewyczerpanych źródeł twórczości ludowej Słownik przygotowywany w państwie ludowym omija źródła ludowe języka. Nie posługuje się Kolbergiem, zbiorami pieśni ludowych w Archiwum Fonograficznym Uniwersytetu Poznańskiego, pieśniami zbieranymi przez Państwowy Instytut Sztuki, dorobkiem Mazowsza. Słownik współczesnego języka, języka narodowego, nie powinien zawierać gwary, ale przecież w tych źródłach znajdziemy nie tylko gwarę. Znajdziemy słowa połączone w pięknych i trwałych związkach wyobrażeniowych. Prospekt pomija przysłowia, pamiętniki emigrantów, bezrobotnych, wydane przed wojną, pamiętniki robotników z czasów okupacji. Pomija w ogóle pamiętniki i listy (listy Chopina wykorzystane są na podstawie skromnego wyboru Jachimeckiego, nie zaś na pod-

stawie pełnego wydania, jakie przygotował W. Sydow).

Sądzę, że zakończenie okrągłym zdaniem nie jest potrzebne. Fakty i argumenty mówią same za siebie. Są gremialną dezaprobatą P r o s p e k t u: w założeniu i wykonaniu. Są dezaprobatą krótkiego terminu, jakim związał się komitet. Potrzebny jest bowiem słownik, ale słownik użyteczny dziś słownik, który by uczył języka, ukazywał jego trwałość i piękno.

Adam Mauersberger

Rozwój poglądów na powstawanie życia na ziemi

ozwój wiedzy przyrodniczej w XIX
-ku zachwiał deistycznymi teoriami
rzącymi powstawania i rozwoju
a na ziemi. Nim zabrali głos ucze-
nim powstały nowe teorie nauko-
zaczęły niepokojąco przemawiać
y. Przy robotach ziemnych, w cza-
drążenia korytarzy w kopalniach,
reszcie wskutek poszukiwań doko-
anych przez specjalne ekspedycje
lkowe — odkrywać zaczęto coraz
niejsze szczątki kopalniane roślin i
erząt, których nie można było roz-
nać, ani zestawić z żadnym z istnie-
ch gatunków. Potwornie wielkie
ielety gadów, dziwaczny szkielet
orzenia, które było na pół ptakiem
pół gadem, niespotykanej obecnie
lkości paprocie i widłaki — wszy-
o to spowodowało zamęt w poję-
ch o powstaniu życia na ziemi. Do-
nczas niewzruszoną teorią, wykłada-
ą na wszystkich uniwersytetach, by-
teoria jednoczasowego, biblijnego
u stworzenia wszystkich gatunków
lin i zwierząt, aby mogły służyć
owiekowi. Teorię tę wyznawał rów-
ż epokowej sławy przyrodnik XIX
ku, Linneusz, twórca pierwszej na-
owej, obszernej systematyki zna-
h ówcześnie gatunków roślin i zwie-
t, systematyki nie uwzględniającej
jednorożca, bazyliszka i innych le-
darnych zwierząt i roślin.

Vyjście na powierzchnię ziemi
ząt ków tajemniczych zwierząt i roś-
domagało się skomentowania. Szcze-
ne zasługi w gromadzeniu i rekon-
ukcji szkieletów „przedpotopowych"
erząt położył sławny w owym cza-
członek Akademii Francuskiej —
vier. Dzisiejsi paleontolodzy są pełni
podziwu dla niezwykłej intuicji te-
go badacza, który na podstawie okruchów szkieletu potrafił przeprowadzić trafne rekonstrukcje, mimo że w owym czasie miał niezmiernie mało materiału dla potwierdzenia swych koncepcji.

Rekonstruowanie szczątków zwierzęcych nie stanowiło jednak największej trudności. Najważniejsze było zagadnienie, skąd się wzięły i co się stało z tymi tajemniczymi zwierzętami, które nie zmieściły się widocznie w arce Noego. Cuvier, przyciśnięty do muru wymową przez siebie stwierdzonych faktów, stworzył teorię, która pozwoliła na pogodzenie poglądów biblijnych z zrekonstruowanymi wykopaliskami. Teoria ta — zwana teorią kataklizmów — głosiła, że życie na ziemi było tworzone kilkakrotnie. Jeżeli próba się nie powiodła, jeżeli stworzone zwierzęta nie zdawały egzaminu życiowego — kataklizm olbrzymich rozmiarów niszczył wszystko co żywe — a na jałowej ziemi powstawały warunki do nowego aktu kreacji. Ostatnim kataklizmem miał być biblijny potop, po którym nastąpił akt stworzenia życia, istniejącego dotychczas.

Ponieważ w czasach Cuviera było stosunkowo bardzo niewiele materiału wykopaliskowego, uczony ustalił, że całą mnogość wykopanych form można uporządkować i rozmieścić w kilku zaledwie okresach, rozdzielonych kataklizmami. Uczniowie i wyznawcy Cuviera, zasypywani coraz to nowymi faktami i wykopaliskami, nie mieścili się już w tych kilku kataklizmach, toteż ilość kataklizmów stale rosła, dochodząc do liczby blisko 30 licząc od początku świata.

Teoria kataklizmów powstała w okresie, gdy istniała już ogłoszona przez Lamarcka teoria ewolucji. Była to pierwsza jasno sformułowana teoria, twierdząca, że formy życia istniejące współcześnie na ziemi powstały na skutek przekształceń i przeobrażeń z form innych, prostszych, żyjących w ubiegłych epokach. Zasadnicza teza Lamarcka mówiła, że zmienne warunki bytowania powodują dziedziczne zmiany u zwierząt i roślin. Zmienność warunków bytowania powstawała wskutek zmian klimatu na przestrzeni epok geologicznych oraz na skutek migracji, względnie rozszerzania się obszaru życiowego zwierząt i roślin na inne strefy klimatyczne. Zmienione warunki życiowe powodują intensywniejsze używanie jednych narządów, a nieużywanie innych. Używanie danego narządu prowadzi do jego rozwoju, zaś nieużywanie do zaniku. To na przykład według Lamarcka tłumaczy, skąd się wzięły olbrzymie, łopatowate przednie kończyny u kretów, przy jednoczesnym zaniku narządu wzroku. Powstałe w ten sposób zmiany w budowie i rozwoju narządów są według Lamarcka dziedziczne. Sformułowana więc została w postaci twierdzenia zasada dziedziczności cech nabytych w czasie życia. O twierdzenie to, dziś już udowodnione, genetycy szkoły Miczurina i Łysenki kruszyli kopie i kruszą do dziś jeszcze z wyznawcami genetyki formalnej.

Filozofia natury — dzieło Lamarcka, w którym sformułował on swoją teorię, zawiera także pewne twierdzenia, które dziś wydają się komiczne. Na przykład jednym z czynników mających wpływać na rozwój narządów u zwierząt miało być oddziaływanie „psychiczne". Prarodzice żyrafy „chcąc" sięgnąć do wysoko rosnących liści oddziaływali tym samym na wzrost długości szyi; te chęci, kultywowane przez pokolenia, miały doprowadzić do przedłużenia się szyi u żyraf.

Niezmiernie odważne i podziwu godne — gdy wziąć pod uwagę ówczesny stan wiedzy (1809) — były poglądy Lamarcka na pochodzenie życia na ziemi. Lamarck był zwolennikiem samorództwa. Odrzucał on jednak naiwne twierdzenia — mające swą genezę jeszcze w filozofii Arystotelesa — o powstawaniu much z gnijącego mięsa czy ryb z mułu morskiego. Samoistne powstawanie istot żywych z materii nieożywionej miało dotyczyć według Lamarcka jedynie najprostszych organizmów, z których na drodze stopniowych, ewolucyjnych przemian miały powstawać coraz to nowe, coraz bardziej skomplikowane organizmy. Te najprostsze organizmy powstały więc, zdaniem Lamarcka, z materii martwej, bez ingerencji sił wyższych, ale w sposób zupełnie naturalny. Pogląd ten odpowiada w swych zarysach, jak poniżej zobaczymy, dzisiejszym poglądom nauki na problem powstania życia.

Za właściwego twórcę teorii ewolucji uważa się jednak Darwina, a to ze względu na ogromny materiał dowodowy, jaki uczony ten potrafił dać i usystematyzować w swym dziele O pochodzeniu gatunków (1859). Poglądy Darwina różniły się dość znacznie od poglądów Lamarcka, głównie jeśli chodzi o mechanizm kierujący ewolucją. O ile u Lamarcka czynnikiem zasadniczym był wpływ warunków zewnętrznych na powstawanie zmian dziedzicznych, to u Darwina warunki zewnętrzne stanowiły jedynie sito przepuszczające lepiej przystosowane osobniki, a zatrzymujące niszczące osobniki gorzej do tych warunków przystosowane. Zmienność zaś a więc powstawanie nowych cech, miało być według Darwina wewnętrz-

ściwością wszystkich osobników. ede pokolenie różni się od rodzi- w pewien nieznaczny sposób. iany te są przypadkowe i wszech- runkowe. Jeżeli zmienność idzie w runku korzystnym, to zwierzę ma ksze szanse przeżycia, a więc i prze- ania swej cechy niż jego rodzeństwo, re tę korzystną cechę ma słabiej roz- niętą. Zwierzęta danego gatunku alczą o byt", konkurując z sobą tym niej, im są do siebie podobniejsze i bardziej wyrównane są ich szanse iowe. Darwin nie usiłował wyjaśnić istoty zmienności, ani mechanizmu edziczenia. Hipotezy, które wysuwał, ktował on sam jako hipotezy robo- wymagające opracowania i prze- skutowania. Wprawdzie niektóre erdzenia Darwina są dziś nieaktual- a niektóre — jak na przykład ierdzenie o wewnątrzgatunkowej nkurencji — wręcz obalone — nale- jednak stwierdzić, że od czasu ogło- nia teorii ewolucji przez Darwina, ła się ona oficjalnym poglądem bio- icznym, który odtąd musiał wyzna- ć każdy, kto poważnie zajmował się ukami przyrodniczymi.

Interesujący jest fakt, że źródłem których błędów teorii Darwina jest zejęcie się tego uczonego znaną po- zechnie teorią Malthusa o szybszym roście ilości ludzi na ziemi niż środ- w wyżywienia i o wynikającej stąd nieczności sztucznego zmniejszenia zyrostu ludności. W a l k a o b y t, ra konkurencja wewnątrzgatunko- — oto twierdzenia Malthusa prze- sione przez Darwina w świat roślin- i zwierzęcy. Darwin twierdził, że olucja postępuje niezmiernie powoli, we gatunki zaś powstają na prze- zeni długich okresów czasu dzięki raz to silniej akcentowanej rozbie- ości między odmianami. Ewolucja ała, według Darwina, przebiegać ła- dnie, bez skoków.

Te braki w teorii Darwina widział już Engels, który pisał w A n t i - D ü r i n g u:

„Teoria ewolucji jest jeszcze bardzo młoda, nie ulega zatem wątpliwości, że późniejsze badania powinny znacznie zmodyfikować współczesne idee o biegu ewolucji gatunków".

Przewidywania Engelsa okazały się słuszne. Współczesna nauka radziecka, w oparciu o nową, twórczą genetykę Miczurina i Łysenki zmodyfikowała teorię ewolucji Darwina, usuwając z niej szereg niesłusznych twierdzeń, a włączając na ich miejsce nowe. Nowa, współczesna teoria ewolucji ocenia w pełni wpływ warunków zewnętrznych na zmienność organizmów; dzięki pracom Łysenki została udowodniona błędność koncepcji walki konkurencyjnej między osobnikami tego samego gatunku. Dialektyczna jedność organizmu i środowiska oraz powstające między organizmem i środowiskiem sprzeczności — oto mechanizm kierujący zmiennością i dziedzicznością organizmów.

Współczesna teoria ewolucji wyraźnie podkreśla skokowe przechodzenie zmian ilościowych w jakościowe, czego Darwin nie dostrzegał.

Traktując o rozwoju współcześnie istniejących organizmów, teoria ewolucji musi sięgać w głąb epok geologicznych i szukać poszczególnych ogniw łańcucha ewolucyjnego. Paleontologia dzisiejsza dostarczyła wiele cennego materiału do tych badań i nadal go dostarcza. Niestety jednak i w tej dziedzinie istnieje pewne ograniczenie. Szczątki, które dają się odnaleźć, są to zazwyczaj szczątki szkieletów zwierząt, owadów, czy tkanek szkieletowych roślin. Jednakże organizmy, które wytworzyły szkielet, stoją już wysoko na drabinie ewolucji.

Jak jednak wyglądały najprymitywniejsze formy żywe, jak wyglądał

pierwszy twór żywy na ziemi? Na to pytanie paleontologia nie potrafi — jak się zdaje — odpowiedzieć.

Zagadnienie powstania życia na ziemi jest do dnia dzisiejszego pasjonującym zagadnieniem naukowym. Upadek biblijnej i zmodyfikowanej przez Cuviera teorii o stworzeniu życia przez siły pozaziemskie, z drugiej zaś strony odkrywanie coraz to nowych śladów istnienia życia w odległych epokach geologicznych, spowodowały, że aż trzy gałęzie wiedzy zaczęły zajmować się tym problemem: biologia, astronomia i geologia.

Teoria ewolucji udowodniła bezspornie, że rozwój świata zwierzęcego i roślinnego postępował od organizmów prostych, mniej zróżnicowanych, do organizmów bardziej złożonych, o wyższej specjalizacji narządów. Jasne się stało, że pierwsze żywe twory na ziemi były organizmami niezwykle prostymi, stosunkowo nieskomplikowanymi, aczkolwiek w pełni przystosowanymi do ówcześnie istniejących warunków bytowania. Wystarczyło więc udowodnić, że na ziemi mógł się znaleźć czy powstać taki prymitywny żywy twór, aby reszta drabiny ewolucyjnej wraz z człowiekiem, znalazła swego protoplastę, by rozgałęzione drzewo genealogiczne obecnie istniejących jak i wymarłych już gatunków zwierząt i roślin znalazło swój początek.

Pierwszą niezwykle pomysłową i bardzo szczegółową teorią powstania życia na ziemi była tak zwana „teoria panspermii" Arrheniusa, uczonego szwedzkiego. Arrhenius zakładał, że są we wszechświecie liczne ciała niebieskie, na których istnieje życie podobne do życia ziemskiego. Otóż najprostsze organizmy żywe, na przykład zarodniki bakterii, które unoszą się swobodnie w atmosferze tych ciał niebieskich, odrywają się stale od macierzystej planety wraz z cząstkami atmosfery i wypadają w przestrzeń międzyplanetarną. W tej pustej przestrzeni mogą się one poruszać z dużą szybkością dzięki ciśnieniu światła promieniowanego przez gwiazdy. W przestrzeniach międzyplanetarnych panuje wprawdzie temperatura zbliżona do zera absolutnego (—273°), ale udowodniono, że zarodniki mogą znosić temperaturę poniżej —200° bez szkody. Zdaniem Arrheniusa tak ziemia jak i inne planety były stale obsiewane przez zarodniki przybywające z wszechświata. W pewnej epoce geologicznej, gdy powstały warunki sprzyjające, zarodniki te zaczęły się rozwijać i zapoczątkowały okres istnienia życia na naszym globie.

Ta frapująca teoria posiada jednak dwa braki — jeden natury teoretycznej, drugi natury merytorycznej. Po pierwsze, przyjąwszy nawet, że teoria ta jest prawdziwa, każdy widzi jasno, że nie tłumaczy ona sposobu powstania życia na ziemi, odsuwa go tylko o pewną ilość kilometrów dalej, stwarzając analogiczne zagadnienie powstania życia na innych ciałach niebieskich. Po drugie zaś — co ważniejsze — Arrhenius nie wziął pod uwagę czynnika, wykluczającego istnienie życia w przestrzeni międzyplanetarnej, którą miałyby wędrować zarodniki. Chodzi mianowicie o promienie kosmiczne, przenikające cały wszechświat i niszczące każdą postać życia, nawet tak odporną na niekorzystne warunki bytowania jak zarodniki bakterii. Życie na ziemi chronione jest przed tymi promieniami przez atmosferę, która znaczną ich część pochłania.

Teoria „panspermii" okazała się fałszywa. Źródeł życia trzeba było szukać na ziemi. Znamienny jest fakt, że kierunek i ramowy program badań naukowych tego zagadnienia podał Engels w swej Dialektyce przyrody.

W owym okresie istniały dwa poglą-y przyrodnicze na istotę zjawisk ży-iowych. Jednym z tych kierunków był witalizm — który wprawdzie przy-nawał, że szereg zjawisk życiowych — o po prostu reakcje chemiczne i pro-esy fizyczne, które obserwuje się w świecie nieożywionym, ale zakładał, że prócz nich w każdym organizmie żywym tkwi „siła życiowa" — *vis vi-talis*, która w zasadniczy sposób od-różnia świat żywy od martwego. *Vis vitalis* to według tego poglądu siła nie-materialna i poza organizmami żywymi nie spotykana w przyrodzie. Ta koncep-cja — szeroko ongiś wyznawana — nie może być traktowana jako teoria nau-kowa. Reakcją na poglądy witalistycz-ne była koncepcja krańcowo różna, traktująca zjawiska życiowe w sposób mechanistyczny. Zwolennicy jej stwa-rzali szereg „modeli", które w sposób niezwykle uproszczony imitowały zja-wiska wzrostu, odżywiania się, względ-nie rozmnażania. Żywy organizm był dla nich zdaniem jedynie bardzo skomplikowaną maszyną. Mechaniści nie dostrze-gali różnicy jakościowej między złożo-nymi procesami fizykochemicznymi za-chodzącymi w żywej materii a proce-sami obserwowanymi w materii mart-wej.

Engels pierwszy wysunął materiali-styczną koncepcję powstania życia na Ziemi drogą naturalnego przejścia materii martwej do żywej. We wspo-mnianej już Dialektyce przy-rody nawoływał do dokładnego prze-badania składu chemicznego organiz-mów żywych, do poznania ich struk-tury wewnętrznej. On to właśnie uznał procesy życiowe za „sposób istnienia białek".

Długi czas jednym z najsilniejszych argumentów witalistów był fakt, że o ile w laboratoriach chemicznych można było uzyskać i przekształcić chemicznie związki spotykane w przyrodzie mart-wej — o tyle związków chemicznych występujących w organizmach żywych nie udawało się uzyskać. Związki te zwane „związkami organicznymi" miały być dowodem odrębności świata ży-wego, same zaś miały powstawać w organizmach dzięki działaniu owej ta-jemniczej siły życiowej. Tę „nieprzekraczalną granicę" przekroczył w 1-szej połowie XIX wieku chemik niemiecki Wöhler, który po raz pierwszy otrzymał syntetyczny związek organiczny, a mianowicie mocznik. Prawdziwym twórcą „chemii organicznej", czyli chemii związków występujących u organizmów żywych, stał się inny uczony niemiecki, Emil Fischer. Chemikowi temu udawały się syntezy najbardziej skomplikowanych związków chemicznych, związków, które stanowią podłoże zjawisk życiowych — mianowicie synteza białek.

Chemia „organiczna" posiada swój synonim w nazwie Chemia związków węgla. Okazało się, że atomy tego pierwiastka mają niezwykłą zdolność tworzenia w określonych warunkach fizykalnych długich łańcuchów, do których przyłączają się inne atomy, najczęściej atomy wodoru, tlenu i azotu, a rzadziej fosforu i siarki. Te związki chemiczne powstające na szkielecie łańcuchów węglowych można podzielić na trzy duże zasadnicze grupy: cukry, tłuszcze i białka. Ta ostatnia grupa związków węgla — białka budzi największe zainteresowanie biologów. Białka są związkami o niezwykle skomplikowanej budowie. Niektóre tylko rodzaje białek znane są chemikom dokładnie. Większość ich jest jeszcze ciągle w stadium badań, a próby ich syntezy odbywają się nadal.

Dlaczego właśnie na białka jest zwrócona szczególna uwaga biologów? Otóż okazało się, że istnieją rodzaje białek o zupełnie sprecyzowanej budowie chemicznej i o stałych właści-

wościach fizykalnych, które posiadają cechy życia. Białka te, które można otrzymywać sztucznie w postaci kryształów, takich jak kryształy substancji martwych, na przykład soli kuchennej czy cukru, mają jednak tę szczególną cechę, że po rozpuszczeniu w wodzie wykazują cechy życia. Drobiny tych białek — to najmniejsze znane drobnoustroje, tak zwane zarazki przesączalne, czyli *wirusy*. Białko to, czyli wirus, jeśli wtargnie do komórki roślinnej lub zwierzęcej, zaczyna prowadzić własną przemianę materii, mnożyć się, jednym słowem — ż y j e. Istnieją uczeni, którzy sądzą, że te właśnie białka — wirusy są najprymitywniejszą formą życia, która ukazała się na ziemi. Przeciwnicy tego poglądu stawiają im jednak poważny zarzut, że wirusy do życia i istnienia potrzebują już innej materii żywej, na której mogłyby pasożytować.

Duże zasługi dla badań nad zagadką powstania życia na ziemi mają prace biologa radzieckiego, akademika Oparina. Poglądy jego wyglądają w zarysie następująco:

Węgiel — który jest zasadniczym pierwiastkiem materii żywej — istniał początkowo na ziemi w postaci atomowej, nie związanej z żadnymi innymi pierwiastkami i nie łączącej się między sobą w łańcuchy. Było to w epoce, gdy glob ziemski składał się z rozżarzonej masy gazowej o temperaturze dającej się porównać z temperaturą s ł o ń c a. Z biegiem czasu ziemia zaczęła stygnąć, a wraz z procesem stygnięcia atomy węgla poczęły łączyć się z sobą i wchodzić w reakcje z atomami innych pierwiastków, a w szczególności z atomami metali ciężkich, na przykład żelaza. Te związki węgla z metalem zaczęły reagować z istniejącą wtedy w atmosferze ziemskiej parą wodną; z reakcji tych powstały najprostsze związki organiczne — węglowodory. Wskutek dalszego przebiegu reakcji z parą wodną powstały węglowodany, które przekształcały się w związki bardziej skomplikowane. Związki te reagując z amoniakiem, którego znaczne ilości zawierała wtedy atmosfera ziemska, przyłączały do siebie azot.

Te proste stosunkowo związki chemiczne, składające się z atomów węgla, wodoru, tlenu i azotu istniały początkowo w postaci gazowej. Kiedy jednak temperatura ziemi spadła poniżej stu stopni, para wodna znajdująca się w atmosferze poczęła się skraplać i w postaci oceanu pokryła cały glob ziemski. W tym praoceanie rozpuszczały się wspomniane już związki węgla. Doświadczenia laboratoryjne dowodzą, iż tego rodzaju związki znajdujące się w roztworze przez długi okres czasu (a czas był niezmiernie długi, dłuższy niż wieloletnie nawet obserwacje laboratoryjne) wchodzą między sobą w reakcje, tworząc coraz to większe i coraz to bardziej skomplikowane drobiny. Na tej drodze musiało dojść do stworzenia skomplikowanych drobin białkowych, stanowiących podstawowy budulec materii żywej.

Lecz oto rzecz najważniejsza: nie wystarczy posiadać materiał budulcowy, żeby móc zbudować dom. Nie wystarczy istnienie białka, żeby zaistniało życie. Materia żywa musi być z o r g a n i z o w a n a w odpowiedni, wysoce skomplikowany i bynajmniej jeszcze dotychczas nie zbadany sposób.

W jakiż więc sposób doszło do najprymitywniejszej choćby organizacji tych bezładnie w roztworze oceanu pływających drobin białkowych.

Doświadczenia laboratoryjne poucza ją, że jeżeli zmiesza się dwa roztwory różnych gatunków białka, na przykład roztwór żelatyny i gumy arabskiej, to drobiny tych białek po zmieszaniu zaczną gromadzić się, skupiać i tworzy

ększe agregaty, widoczne pod mi-
oskopem w postaci kropelek. Po
ieszaniu więc roztworów żelatyny
gumy arabskiej, wskutek pewnych
ocesów fizykalnych, których nie
dziemy tu roztrząsać, można zaobser-
wać zmętnienie, wywołane powsta-
em wyżej wspomnianych kropelek.
Kropelki te mają pewną ważną ce-
ę. Drobiny białek, które tworzą te
opelki, posiadają już pewną organi-
cję. Tak więc podłużne drobiny biał-
leżą bądź to prostopadle, bądź rów-
legle do powierzchni kropli. Co wię-
— na powierzchni takiej kropli gro-
adzą się w określonym porządku dal-
e drobiny białka, które dotychczas
zwładnie pływały w roztworze, albo
gromadzą się inne substancje nie-
ałkowe, na przykład zbliżone do tłu-
czów. Taka kropelka rośnie, powięk-
a się, może łączyć się z innymi sio-
rzanymi kroplami w jedną całość.
rople słabiej lub inaczej zorga-
zowane po pewnym czasie dezor-
anizują się, a ich materiał budulco-
y przechodzi do innych kropli trwal-
ych. Tego rodzaju krople czy też pę-
erzyki zwą się w fizyko-chemii
o a c e r w a t a m i. Koacerwaty
siadające pewną organizację materii,
ykazujące dynamikę rozwoju, rosnące
rozpadające się, posiadają już pewne
rybuty życia. Oczywiście krople o
walszej, bardziej dynamicznej organi-
cji miały większe szanse wzrostu i
zetrwania niż struktury mniej uda-
. Warunki bytowe, środowisko i kli-
at tej odległej epoki geologicznej de-
dowały o kierunku, w którym postę-
powała organizacja koacerwatów. Na skutek coraz to dalszego postępu w organizacji materii — w pewnym okresie powolne zmiany ilościowe przeszły skokowo w nową jakość, stwarzając pęcherzyk o cechach życia. Koacerwacja białek wytworzonych w okresie ostygania globu ziemskiego doprowadziła najprawdopodobniej do powstania życia na ziemi.

Potwierdzenie tej koncepcji stanowią szczególnie badania Olgi Lepieszyńskiej, która doświadczalnie udowodniła istnienie materii żywej, bardzo nisko zorganizowanej. Stopień organizacji materii żywej, obserwowanej przez Lepieszyńską, a pochodzącej ze zmiażdżonych komórek stułbii — stoi prawie na tym samym poziomie co organizacja koacerwatów. (Patrz T w ó r c z o ś ć nr 3/1951 r.).

Czy obecnie również powstaje życie z materii nieożywionej? Trudno na to pytanie dać kategoryczną odpowiedź. Sądzić raczej należy, że obecnie proces ten nie odbywa się. Mnogość drobnoustrojów, bakterii i pierwotniaków we wszystkich wodach stwarza zbyt silną konkurencję dla nowopowstającego życia. Jeżeli nawet nowe życie powstaje, to szanse jego przeżycia i rozwoju są znikome.

Engels przewidywał możliwość laboratoryjnego tworzenia życia. Przypuszczać można z dużą dozą pewności, że moment ten bynajmniej nie jest odległy; w kierunku tym bowiem idą usiłowania wielu uczonych.

Kazimierz Ostrowski

W Ś R Ó D K S I Ą Ż E K

JERZY PUTRAMENT: *Wiersze wybrane*, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1951; str. 117.

Pierwsze wiersze Putramenta (W i g i l i a 1932—1934) powstawały jako wyraz sprzeczności między poetą a światem. Jak na młodego „postępowego inteligenta" przystało — swe krytyczne i buntownicze spojrzenie poeta kierował przeciwko Bogu. Oskarżał:

Dziękujemy Ci, dobry Panie Boże,
opiekunie ubogich, tysiąc lat
trzymający nas na obroży.

— — — — — — — — — —

Myśli są jak barokowe wzorki,
kiedy twardo ubity brzuch,
po wieczornej, wigilijnej orgii
ciężko wierzyć, że się rodzi Bóg.
(W i g i l i a)

Nawet na podstawie tego krótkiego fragmentu widzimy wyraźnie, że „dyskusja" z Bogiem nie ma charakteru światopoglądowego — poeta doktrynie katolickiej nie przeciwstawia innej; atakuje tylko religię jako sojusznika burżuazji (tzn. narzędzie w jej ręku).

I tu stoimy u podstaw wspomnianej „kłótni" poety ze światem. W latach panowania burżuazji Putrament atakował wszystko, co miało z nią jakikolwiek związek — atakował nie zawsze jednak celnie. Poetycka wyobraźnia Putramenta nie kierowana skrystalizowanym światopoglądem konstruowała obrazy pełne dziwności, groteski i tragizmu, które miały oskarżać i piętnować ustrój i formy życia społecznego wytworzone przez kapitalizm (F i l o l o g i a, T e o g o n i a). Oczywiście była to walka bezowocna, bo prowadzona samotnie i w oderwaniu od ideologii, którą walcząca klasa robotnicza przyjęła jako jedynie słuszną. Dlatego to poeta nie umiał dać jasnej odpowiedzi na pytanie „Czy słusznie postępuj silniejszy, gdy zabija słabszego?"; w wczesnych wierszach Putramenta od czytamy zarówno apoteozę biologiczne siły jak i jej krytykę. Brak jasnej ide ologii popychał go — w wyniku pesy mistycznych wniosków w rozpatrywa niu świata — w rejony egzotyki i zu pełnego osamotnienia. Powstawały wte dy wiersze takie jak R i m b a u i K s i ę ż y c o w e G ó r y — do kumenty ucieczki w krainę, gdzie „mia sto, jeniec wygina się wierszem w pół księżyc" i skąd „wracać za późno". By ła to ucieczka od realnego świata i re alnego człowieka — ponieważ i świata i człowieka poeta nie rozumiał.

Lektura tych wierszy pozwala śledzi bardzo typowe dzieje „dziecięcia wie ku". Pozwala z szacunkiem odnosić si do tych prób poetyckich, które pisan poza atmosferą bierności i abstrakcjo nizmu. Do tego nurtu polskiej poezj dwudziestolecia należało kilka wiersz Putramenta, w których śmiało piętno wał ówczesny reżim finansistów i po siadaczy (np. S n y p a n a d y r e k t o r a) lub zwracał się do pięknyc tradycji rewolucyjnego 1905 roku (W a r s z a w a).

Czy funkcja społeczna tej poezji był pozytywna? Jeżeli tak, to jednak je zasięg czytelniczy był bardzo wąsk Z jednej strony przerost metaforyk nad treścią, z drugiej zaś — spowodo wany chęcią dobitnego nazwania boles nych dla poety spraw — naturalizm poetycki — ograniczały wymowę ideow i czytelność wielu utworów. Oto frag ment wiersza S n y p a n a d y r e k t o r a na poparcie powyższego sądu

Śniło mu się, że był na egzekucji
szpiega. Powieszon

ługo rytmicznie drgał i z każdym
drgnięciem,
raz bardziej wywalał język mokry
i czerwony,
ż ten się stał płatkiem gladiolusa, lilią
natowo-amarantową, wewnątrz
chropawą
ak język kotki. Pan dyrektor ją
zerwał, aby przypiąć
amie w jedwabiach...

Naturalistyczny opis powieszonego rzechodzi zupełnie nieoczekiwanie w pis kwiatu (podobnego do języka ska-anego), który pan dyrektor chce przy-iąć damie... Zgroza!

Liryka pejzażowa (D r o g a l e ś - a 1934—1936), określając najogólniej, est artystycznym świadectwem okresu rzygnębienia. Poetycka droga Putra-ienta była skomplikowana, nie biegła o linii prostej. Stopień społecznego aangażowania poety był bardzo różny. r o g a l e ś n a zawiera wiersze nówiące o separacji, o odsunięciu się d świata ludzi i pogrążeniu w świecie rzyrody. Wiersze te były nie tylko wy-azem ucieczki od rzeczywistości, dzie-ącej się przed oczami, w stronę jezior, rzew i ptaków; przygnębienie poety tego okresu akcentowane jest dość yraźnie.

łuchaj. Krople rosy padają o liście —
o czas. Oto wzbiera sekunda, nad którą
aśniejszej nie ujrzysz. Jutro dzień się
rozpryśnie
mgłę. Ciężki wiatr, słońce zajdzie
za chmurę.

— — — — — — — — — —

Vionęło mgłą. Ostrozębate cienie
padły poziomo. Osiny o gładkich
szyjach
a wschód zadrgały liśćmi. Milczeniem
rzyjął je las. Trwać to znaczy mijać.
(P e ł n i a l i p c o w a)

W innym znowu miejscu poeta mówi „rzeczach, których grozą zachłyśnięty na próżno do krzyku się zerwiesz", o tym, że „zbyt prędko poznasz ciężar i przemoc goryczy", a wszystko to nastąpi ze strony jakichś dziwnych zjawisk w puszczy i na nieznanych bezdrożach. Poeta odczuwał lęk przed niesprawiedliwością społeczną, przed złym światem, odwracał się od niego, poddając się urokowi natury. Po okresie buntu przyszedł okres zwątpienia, co jednak nie przeszkodziło poecie w następnym tomie (G r o t e s k i i p i e ś n i 1936—1938) odezwać się czasem doniosłym i pełnym pasji głosem.

Były to lata narastania faszyzmu, który podporządkowywał sobie wszystkie rządzone przez burżuazję kraje, lata coraz to większego wyzysku, nędzy i deprawacji mas pracujących — ale były to również lata strajków i walk klasy robotniczej. Putrament stał bezwzględnie po stronie wyzyskiwanych i uciskanych. Poeta bardzo nieraz sugestywnie maluje obraz zła społecznego, jednak nie szuka przyczyn i finału danego zjawiska — widzi tylko stan obecny. Stąd płynie pesymizm tych wierszy; obraz kapitalistycznego świata rozpatrywany statycznie bez jasnego widzenia sił rewolucyjnych prowadzi zawsze do bardzo smutnych wniosków.

Jednakże krytyka ówczesnego ustroju przybierała formę nieraz bardzo ostrą. Poeta z dużą pasją kreślił typowe dla sanacyjnego reżimu postacie — piętnował militaryzm, oskarżał oddaną sanacji literaturę (W i e c, D e f i l a d a, P r z y j a c i o ł o m p o e t o m). Wymowa tych wierszy jest tym dobitniejsza, że poeta posługiwał się często umiarkowaną groteską, która podnosiła tragizm opisu, siłę oskarżenia.

Wirowały stłoczone, rozczochrane
głowy,
niebo z góry na czoło kładło dłonie
mokre,

dygotała trybuna, pod wieczór surowy
płynęła kołysana krzykami jak okręt.

Dyplomata wystąpił, łby się zakręciły,
dyplomata popatrzył, wirowały pyski,
dyplomatę zemdliło, zachwiał się,
pochylił
i rzygnął o idei, pracy, heroizmie.
(W i e c)

Zdarzało się Putramentowi przepowiadać, że nastąpi „Ciemność. Pusto. Koniec". Malował groźne obrazy wyniszczenia burżuazji — w kosmicznej wizji, z beznadziejnym pesymizmem (B a l, P r z e d o s t a t n i e). Były to dokumenty wzlotów i upadków, borykania się samotnego buntownika, który działał w oderwaniu od mas. Putrament we wstępie do omawianego zbioru pisze „moja ewolucja ideowa była szybsza niż ewolucja poetycka" i w związku z tym, że nie wypracował sobie jasnej i w pełni czytelnej formy, „spotkała go niejedna klęska". Istotnie. Światopogląd poety nie był na tyle ugruntowany, aby środki artystyczne organizować w ścisłym związku z bezwzględnie nieraz słusznym założeniem treściowym.

Na tle tych załamań i sprzeczności tym dobitniej uwypukla się piękny wiersz K a e m y s t y g n ą, będący głośnym wezwaniem Hiszpanii do dalszej, wytrwałej walki z faszymem. Utwór ten świadczy o dużym już zrozumieniu mechanizmu politycznych zjawisk (np. ukazanie pomocy hitlerowskich Niemiec dla wojsk Franco i Mola), świadczy o wkroczeniu poety w nowy etap, którego wyrazem jest cykl W o j n a i w i o s n a, pisany w latach 1940—1949.

Z wybuchem wojny poeta znalazł się w Związku Radzieckim. Obserwował pierwszy na świecie ustrój sprawiedliwości społecznej, widział nowego, wychowanego w tym ustroju człowieka widział niepowodzenia militarne pierwszych miesięcy wojny radziecko-niemieckiej, a później — dzięki ogromnemu wysiłkowi mas pracujących — zwycięski marsz na zachód, w którym sam brał już czynny udział. Zrozumiał, że wojnę prowadzi nie tylko rząd i wojsko, lecz cały naród radziecki.

Doświadczenia lat wojny ugruntowały te przemiany ideowe, którym poeta ulegał już przed wojną. W twórczości poetyckiej znalazł fakt ten wyraźne odbicie. Putrament oczyścił swój język z niesprawdzalnej, często „ciągnione za włosy" metafory, uprawdopodobnił przedstawiane przez siebie postacie i sytuacje, ukonkretnił, zbliżył do czytelnika swe obrazy, osadził w określonej rzeczywistości społecznej i politycznej swe przeżycia i wzruszenia. Liryka wojenna Putramenta — to poezja w całym tego słowa znaczeniu historyczna — dająca pełny i niezafałszowany obraz ludzi walczących, którzy w r. 1943 wyruszyli ze Związku Radzieckiego, aby zwyciężyć i zbudować w Polsce nowy sprawiedliwy porządek społeczny.

Wiara w zwycięstwo i jego humanistyczny sens są myślą przewodnią tych wierszy. Znajdziemy w nich nie tylko wyraz nienawiści w stosunku do wroga (Ś p i e w c z e r w o n y c h n a r c i a r z y), ale również głęboką analizę i rozważną ocenę „wiary" faszystowskiej (N a d n i e). Poeta umiał dojrzeć jej przyszły muzealny już tylko charakter w czasie gdy zapanuje „era słońca". W wierszu Z a c h ó d natomiast opowiada o przyszłym świecie, o tworzeniu nowego życia:

Dolinami w uścisku parków
wznosić miast przeźroczyste bloki,
biec przez rzeki stadami arkad
na spotkanie wiośnie wysokiej.

Oddać pracę fabryk i sztolni
szybkim palcom posłusznych maszyn,
gięte plecy ludzkie uwolnić,
ato smagłe uczynić naszym.

Putrament wypracował sobie właściwe spojrzenie na rzeczywistość, osiągał umiejętność historycznego myślenia i dialektycznego wnioskowania, dążył do precyzyjnego a jednocześnie czynnego notowania zjawisk ważnych historycznie. Uchroniło go to przed nie bardzo pociągającym w liryce wojenno-patriotycznej sentymentalizmem łatwym patosem. Jego wiersze są zazwyczaj umiejętnie w zależności od tematu komponowane. Cykl o Pierwszym Korpusie wyruszającym zimą na front — łączy żywe odczucie idei nowego wojska, realiów, nastroju żołnierza, nowem ma wybitne wartości realistyczne. Lapidarne, dynamiczne obrazy Odjazdu ustępują miejsca dojrzałej prostocie opisu w wierszu Karain, który nawiązuje do najlepszych, mickiewiczowskich tradycji formy epickiej.

Świadome powiązanie środków z treścią cechuje wojenne wiersze Putramenta. Oto na przykład onomatopeiczny układ słów, nie będący jednak formalistycznym „smaczkiem".

oto bure bryły, ryje, grube garby,
ezgrabny podryg w górę, grom,
ochrypłe granie,
laznych warg po ziemi rumor twardy.

zwarte gardła armat, ryży żar
i wybuch."
(Przejście czołgów)

Kamień i List do Stalina — to utwory reprezentujące pojenną twórczość Putramenta. Jest a bardzo, bardzo szczupła. Poeta ma sobą trudną i długotrwałą ewolucję, óra zaprowadziła go od pesymistycznej i często ekstrawaganckiej liryki lat zedwojennych do pięknych, bojowych wierszy z cyklu Wojna i wiosna, do Listu do Stalina. Szkoda jednak, że obecnie tak rzadko pisze wiersze. Jego twórczość — dojrzała już i świadoma — wniosłaby do polskiej poezji realizmu socjalistycznego cenne wartości.

Leszek Herdegen

TADEUSZ KUBIAK: *Ballady i pieśni*, Czytelnik, Warszawa, 1950; str. 69; *Serce partii*, Czytelnik, Warszawa, 1951; str. 35.

Jestem z wami — bo dziś
poezja — to także atak!

Wyznanie znamienne i obowiązujące. Nie jest jednak ono w Balladach i pieśniach niespodzianką. Stanowi bowiem wykładnik przebytej przez poetę ewolucji, która zarysowywała się w każdym kolejnym jego tomie linią wprawdzie nie zawsze konsekwentną i nie pozbawioną zawikłań, niemniej przecież coraz bardziej zdecydowanie idącą w kierunku, który prowadzi od zaznaczonej w debiutowym tomie wierszy postawy „emigranta z lat odmiennych" do obecnie określanej pozycji „poborowego idei".

Cytowane wyznanie, wypowiedziane z akcentem świadomego określenia stanowiska poezji i jej zadań wobec rzeczywistości, przyjęte być może jako istotny moment charakterystyki i oceny postawy Kubiaka.

Postawmy zatem pytanie: Czy Ballady i pieśni wytrzymują próbę kryterium oceny, podsuniętego tym wyznaniem? Czy twórczość Kubiaka na obecnym etapie swego rozwoju spełnia warunki poezji, która — według słów poety — bierze udział w natarciu, jest więc związana z historycznymi przeobrażeniami naszej epoki zarówno wysiłkiem zrozumienia jej treści, jak i wysiłkiem współuczestnictwa w jej kształ-

towaniu? Jednym słowem, w jakim stopniu spełnia postulaty poezji realizmu socjalistycznego, ku któremu skierowana jest w swojej zasadniczej tendencji rozwojowej?

W odpowiedzi na to pytanie stwierdźmy od razu. Nie ulega wątpliwości, że Balladom i pieśniom należy przyznać znaczenie poważnego kroku w rozwoju poety. Nie jest to jednak jeszcze krok zdecydowany. Obok osiągnięć, które niewątpliwie zbliżają się do pozycji realizmu socjalistycznego, spotykamy tu w dalszym ciągu ślady dawnych niepokonanych obciążeń. Są to sygnały, że krystalizacja ideowo-artystyczna nie została przeprowadzona z konsekwencją do końca. Przejawy obciążeń, które wywołują zawikłania, są dość różnorodne i skomplikowane. Istota ich streszcza się w tym, co można by nazwać niedowładem realizmu, a co sprawia, że niekiedy wbrew oczywistemu zamysłowi wymowa ideowo-artystyczna wierszy kształtuje się w sposób niepełny lub pozornie realistyczny.

Przyjrzyjmy się przykładom.

Oto poemat Towarzysze, mówię o nim, czołowa pozycja nie tylko tomu ale i dorobku poety, najwymowniejsze świadectwo osiągnięć jego krystalizacji ideowo-artystycznej, mogące służyć za przykład streszczający w sobie zdobycze obecnego etapu rozwoju. Poemat, napisany z okazji 70-tej rocznicy urodzin Stalina, daje obraz największego człowieka naszej epoki, uwydatniając wzór, którym jest jego postać, i przewodzącą wszystkim ludom świata rolę, którą mu wyznaczyła historia. Obraz rozrasta się pod piórem poety w skrótową, ale plastyczną i wyrazistą syntezę sytuacji współczesnej, ujmującą najistotniejsze momenty rewolucyjnych dążeń do zaprowadzenia i utrwalenia ustroju sprawiedliwości społecznej oraz walki z siłami, które stają w poprzek na drodze ludzkości i zagrażają jej przyszłości. Sprawę tym potrafił poeta nadać wyraz zdecydowany i przekonywający, nacechowany dużą inwencją artystyczną.

Podstawą kompozycyjną jest przebieg pogadanki „na aktualny temat" wygłoszonej w świetlicy wiejskiej. Ramy kompozycyjne wyznaczają w ten sposób konkretną sytuację, która swoimi realiami podbudowuje i swoją realistyczną wymową nasyca, tłumaczy treści przewijających się kolejno luźnych i raczej ogólnych obrazów i wynurzeń. Zależność wymowy obrazów od wymowy określonej sytuacji jest w tym poemacie wyjątkowo wyraźna. Widać ją także w poszczególnych obrazach, podbudowanych również realnymi sytuacjami, jak np.:

Mówiąc o Nim — wiem, kto jest
ze mną, a kto przeciwko.
Kończy się dwudziestowieczny
burżuazyjny karnawał,
mieszczańska maskarada,
bogatochłopskie zapusty.

Czyż mogą wiecznie chodzić
po ulicach Nicei
i placach podobnych miast
martwe maski z papieru
wyobrażające śmiech?

Przecież pod tymi maskami
są twarze wykrzywione
nienawiścią do Niego
i do mnie, i do was —
portowi robotnicy, tragarze,
małorolni mojego kraju,
kołchoźnicy ze wschodu,
do was, matki powstańców
Grecji i Filipin.

Realizm i tym samym jednoznaczność wymowa poematu osiągnięte zostały dzięki sile ideologicznego związania z przedstawianymi przez poetę sprawami i dzięki pełnemu wydobyciu związku z konkretną rzeczywistoś

tego utwór ten, nacechowany zdeowaną wolą utrwalenia rewolucyjh osiągnięć ludzkości i obrony pou, natchniony poczuciem internacjostycznej solidarności wszystkich, rzy walczą o sprawiedliwość, oddzia-a głęboko swoimi tresciami humanu socjalistycznego. Są to wartości, e osiągnięte pierwszy raz w tak nym stopniu i skojarzone z wykryizowanym ich siłą artyzmem, nadawórczości Kubiaka pełny wyraz poistotnie związanej z rzeczywistością. bok tego tematu postawić można rsz-tryptyk D o m o j e j c ó r — o p o k o j u. Znajdujemy im piękny i silny wyraz treści humistycznych, wyzwalających się rozważaniach o znaczeniu pokoju, aterstwie ludzi związanych twórczą ą oraz dążeniem do sprawiedliwej szłości, o woli przeciwstawienia się ięzcom i wyzyskiwaczom, którzy gotowują nowe zbrodnie wobec kości. Wiersz ten, mniej zwarty concentrowany w swojej budowie T o w a r z y s z e, m ó w i ę n i m, reprezentuje w większym niu cechy szerokiej lirycznej rozności Kubiaka, przybierającej postać nijnego niejako szeregowania się arzeń i obrazów, uderzających wystością i sugestywnością kształtu stycznego. Rozlewność jednak nie radza się w chaotyczność. I tutaj iem kierunek szeregowania się obw uwarunkowany jest zależnością konkretnej sytuacji, która wyznacza y utworu. W trzeciej części wiersza, dy poeta mówi do córki o ludziach, rzy przybyli do Warszawy, aby na gresie zamanifestować wolę obrony oju, i kiedy chce opowiedzieć o pewchłopce spod Krakowa, rozbija tekst rsza następującą, ujętą w nawias awką: „Drugiego dnia na Kongresie Warszawie przemawiała chłopka Krakowa". Podobny wypadek znajdujemy w wierszu O p o w i e ś ć s t a r e g o p a s t e r z a, osnutym na kanwie rozmowy między szczęśliwym poborowym ludowego wojska a dawnym królewsko-cesarskim poddanym pańszczyźnianym, wspominającym swoją rekrucką niedolę w służbie dla cesarskich interesów. Rozmowę rozbija taka sama wstawka: „Tu zaczyna mówić o swojej młodości". Wstawki te uważam za niepotrzebne i manieryczny chwyt epatujący, za którym kryje się niedowład posługiwania się środkami wtopionymi integralnie w budowę utworu.

Mocno wydobyty realizm związanej z konkretną rzeczywistością sytuacji, o którą wspierają się obrazy wiersza D o m o j e j c ó r k i — o p o k o j u, wzmacnia w wyraźny sposób realistyczną ich wymowę. Słabiej zaznaczona konkretność i pewne ubóstwo realiów sytuacji, która tworzy szkielet kompozycyjny i fabularny O p o w i e ś c i s t a r e g o p a s t e r z a osłabia i zwęża wymowę kontrastowych obrazów naszkicowanych przez poetę. Podobny wynik z tego samego powodu zaobserwować można w dalszych utworach, pokazujących realizację tej samej metody artystycznej Kubiaka jak O d o k t o r z e, o g r o d n i c z c e i p o e c i e lub J a d ą c y d o ś l u b u w i d z ą s a m o t n y w i a t r a k (tu zresztą wynik podważony jest poza tym fałszywą koncepcją, która abstrakcyjnie ujmuje centralny konflikt epoki jako walkę dobra i zła).

Przejdźmy do innych przykładów.

Oto wiersz D z i e ń i n o c. Założeniem, łatwym w nim do odczytania, było ukazanie wyników przeprowadzonej reformy rolnej. Realizuje je Kubiak przez przeciwstawienie obrazów sytuacji nadzielonych ziemią chłopów i wywłaszczonych obszarników. Rodzaj jednak uogólnienia zaciemnia ideologiczny sens zamierzenia. Cóż bowiem

oznaczają takie obrazy (cytuję w urywkach):

Tańczyli nocą na moście,
tańczyli pijani nocą.
A każdy z nich miał przy sobie
sakiewkę nabitą złotem...

...A jeden tańczył i mówił:
Ego sum herbu Pomian,
zagrodowy, bo zagrodowy,
ale co mi tam będą dzisiaj...

I drugi tańczył i mówił:
Ego sum herbu Dąbrowa, itd.

...Lecz poza granicę świata
Dąbrów i Pomian — gdzie słońce,
jeden mówił: — Grozili kijem,
a dziś posłuchajcie podków...

... I trzeci mówił: Grozili,
lecz ziemia była już nasza...

Nie trudno dostrzec, że sens tych obrazów jest odrealniony, oderwany najzupełniej od konkretnej rzeczywistości i przekształcających ją sił. Nie trudno zresztą dostrzec, że Kubiak aż nadto zapożyczył się u wczesnego Tuwima (T a ń c z y l i n a m o ś c i e, t a ń c z y l i n o c c a ł ą).

Obrazy i sytuacje tracą ideologiczną wymowę, ponieważ Kubiak rzutuje zjawiska na plan pozahistoryczny. Każdy poeta uogólnia. Idzie jednak o metodę uogólniania, abstrachowania. Tutaj dochodzi do głosu metoda nierealistyczna. Podobne wyniki przedstawia wiersz C o s i ę z d a r z y ł o w h o t e l u R ó ż a n k a.

Inny przykład. W wierszu M n i e p y t a j c i e czytamy:

Mnie pytajcie — czym się różni serce
drwala od serca bankiera,
i rybaka od serca korsarza.
...Znam jednych i drugich. ...

Więc jakże mógłbym mówić rybak
i drwalom, i sobie: — Ufajmy,
idźmy z sercem na dłoni, kochajm
gdy krzyk zbrodni napełnia pustk

Zacytowane urywki pozwalają dost
tecznie odczuć sens oskarżenia, któ
wiersz zwraca przeciw grabieży i zbro
ni. Równocześnie przecież nie moż
oprzeć się wrażeniu, że balladowe k
stiumy drwali, rybaków, bankier
i korsarzy służą do odrealnienia świa
Pojawia się tu konwencja stylizacy
na — jako wynik słabego związku id
ologicznego poety z rzeczywistośc
Spełnia ona określoną funkcję: zacie
w baśniowo-balladowej mgiełce ostr
zjawisk i gubi ich konkretne przyc
ny. Rezultat? — Humanitaryzm zami
humanizmu. Jeżeli nawet nie można
razom wiersza odmówić sugestii, j
to sugestia, która wbrew zamysłowi
wychodzi poza granice konwencji s
lizacyjnej, sugestia zatem poezji es
tyzującej.

Wreszcie wymieńmy B a l l a d
o z a ć m i e n i u k s i ę ż y c a ja
przykład najdalej sięgający rozdźw
ku między zamierzeniem a wymo
wiersza. Łatwo można domyśleć się
katastroficznym obrazie, jaki konst
uje tu Kubiak, aluzji do sytuacji k
jów zachodnio-europejskich w obli
narastającej groźby planów imperia
styczno-wojennych. Obraz jednak
biega daleko od ziemi. Konwencje i
kwizyty legendowo-balladowe odryw
ją go od realnej rzeczywistości.

Co oznacza w przytoczonych pr
kładach rozdźwięk między wymo
wynikających z materiału wierszy
mierzeń poety a wymową kszta
artystycznego? Czy można go uznać
ilustrację wysuwanego nieraz pr
krytykę zagadnienia antynomii mię
tzw. warsztatem poetyckim a ideolog

Zjawisko jest niewątpliwie na t
interesujące — nie tylko w ram

wórczości Kubiaka, ale i w pewnym topniu w ramach przeobrażeń, jakie przechodzi współczesna nasza poezja na drodze do realizmu socjalistycznego — że warte jest analizy.

Odpowiedzi poszukajmy w konfrontacji Ballad i pieśni, jako ogniwa ewolucji Kubiaka, z dotychczasowym dorobkiem. Obserwowaliśmy z jednej strony dążenie do prawidłowego zrozumienia i uchwycenia rzeczywistości z drugiej zaś — posługiwanie się metodami artystycznymi, które musiały zniekształcać obraz rzeczywistości. W tych metodach widać było naloty obciążenia, przejmowane z różnych estetyk, uformowanych na gruncie ideologii burżuazyjnej. Wynikiem tych sprzeczności były zawikłania i komplikacje rozwoju. Tak więc zbiory wierszy poety, które notowały krok naprzód w ewolucji, ujawniały jednocześnie tendencje nierealistyczne, zniekształcające. Przykładów tego zjawiska dostarczał w bardzo szerokim zakresie jeszcze poprzedni tom Człowiek jest blisko. Tłumaczyło się to niedostatkami krystalizacji ideowo-poznawczej, brakiem dojrzałości. Wzmożony bowiem wysiłek krystalizacji oczyszcza poezję Kubiaka od nalotów i obciążeń i nadaje jej coraz bardziej jednoznaczną wymowę ideowo-artystyczną.

Ujawniające się także w Balladach i pieśniach nieprzezwyciężone obciążenia świadczą, że krystalizacja ideowo-artystyczna nie została jeszcze przeprowadzona z konsekwencją do końca. Niechęć do mówienia wprost i skłonności do posługiwania się aluzyjnymi obrazami, pseudonimowaniem i peryfrastycznym omówieniem przyczynia się nieraz jeszcze do nazbyt wielkiej komplikacji wyrazu i tym samym osłabia siłę oddziaływania utworów (np. Matki złego urodzaju). Nie spotykamy jednak już wypadków, aby dążenie do uniezwyklonego obrazu rzeczywistości, znamienne dla Kubiaka, nabierało form krańcowych lub prowadziło wręcz, jak zdarzało się przedtem, do podważenia w ogóle sensu obrazu. Niewątpliwie jednak, trzeba to stwierdzić otwarcie, w skłonnościach tych przejawiają się resztki estetyzowania. Ciążą one na takich wierszach, jak Mówię do niej lub Szkice gęsim piórkiem. W wybitniejszych utworach zaznacza się jednak dążność do zwiększonej prostoty wyrazu, która wcale nie ogranicza indywidualności poetyckiej. Utwory te bardziej zbliżają poetę do czytelnika. Dla poezji zaś, która chce stanąć na pozycjach walki, a to dążenie wyznacza najistotniejszy moment obecnego etapu rozwoju poety, sprawa jej skuteczności musi się wiązać ze sprawą oddziaływania na adresata.

Ogłoszony niedawno poemat Serce Partii Kubiaka, przy niewątpliwych wartościach poszczególnych jego stron nie wykracza w zasadzie jako całość poza granice osiągnięte w Balladach i pieśniach. Poemat ten, napisany z okazji 25-tej rocznicy śmierci Feliksa Dzierżyńskiego, składa się z sześciu odrębnych właściwie utworów. Poeta, jak się zdaje, chciał nie tyle nakreślić i przedstawić postać największego polskiego rewolucjonisty, ile raczej napisać glossy na marginesie węzłowych wydarzeń epoki, z którymi wiązało się życie Dzierżyńskiego, wyrazić te wartości człowieka i rewolucjonisty, których przykładem i wzorem był Dzierżyński.

Taka koncepcja odbiła się bez wątpienia niekorzystnie na całości poematu i poszczególnych jego członach. Rezygnacja z wyeksponowania w poemacie wyraźnie ukazanego, realnie uchwytnego bohatera przy poprzestawaniu jedynie na lekkich aluzjach o nim oraz brak wyznaczonej jego życiem i działalnością wyraźnej i realnej linii

kompozycyjno-fabularnej powodują, że z wylewów lirycznych wynurzeń nie wyłania się dostatecznie odczuwalny zarys jakiejś szkicowej bodaj ale wiążącej się konstrukcyjnie całości. Ograniczone zatem z tych powodów oddziaływanie poematu jako całość i ograniczone, w dużo mniejszym wprawdzie stopniu, oddziaływanie poszczególnych jego członów — oto najważniejszy zarzut, jaki trzeba zanotować na marginesie Serca Partii.

Na tle omówionych wierszy, nacechowanych dążeniem raczej do okólnych i pośrednich form wypowiedzi, Serce Partii pokazuje, że tak charakterystyczne i przynoszące piękne wyniki obrazowosytuacyjne próby uogólnienia rzeczywistości nie wyczerpują możliwości talentu Kubiaka. Tutaj zaprezentował on zasługującą na uznanie różnorodność, wydobywając pełną i przekonywającą wymowę ideologiczną bez wymijania bezpośrednich form wypowiedzi. Osiągnięcia w tej dziedzinie pod względem mocy i sugestii wyrazu mogą śmiało być zestawione z poematem Towarzysze, mówię o nim i Do córki mojej — o pokoju. Kubiak, tak chaotyczny nieraz i niepewny w konstrukcji swoich utworów, tutaj pokazał w stopniu, który wydawało się jest mu niedostępny, konsekwentne opanowanie rygorów zarówno w kompozycji, jak i organizacji rytmiki. Słowo osiągnęło w tych wierszach celność, precyzję, zwartość i dynamikę, przy jednoczesnym wzmożeniu się walorów plastycznych i muzycznych. Niezależnie od komplikacji wyrazu, która jeszcze trafia się w pewnych ustępach poematu, na ogół nacechowanego dążeniem do coraz większej prostoty, należy uznać osiągnięcia Serca Partii za świetny przykład możliwości twórczych utalentowanego poety.

Hieronim Michalski

STEFAN ŻÓŁKIEWSKI: *Stare i nowe literaturoznawstwo.* Szkice krytyczno-naukowe. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław, 1950; str. 152.

Zamieszczony niedawno w Życiu Literackim artykuł Henryka Markiewicza O kryteriach oceny dzieła literackiego*) jest doniosłym krokiem naprzód w dziedzinie wyjaśniania i popularyzacji podstawowych zagadnień marksistowskiej teorii literatury oraz usprawniania dyrektyw metodologicznych. Konstruktywna praca teoretyczno-literacka wypiera ton polemiki. Dokumentem wcześniejszego etapu, kiedy syntezy pozytywne ustalały się w starciu z idealistycznymi uogólnieniami i interpretacjami, jest książka Stefana Żółkiewskiego, zbiór szkiców, artykułów i rozpraw pt. Stare i nowe literaturoznawstwo. „Poszczególne szkice same niejako ułożyły się w całość" — pisze autor w przedmowie. „O ich związku, wzajemnym dopełnianiu się, następstwie, decydowała logika walki, walki ideologicznej, walki publicystycznej o marksistowskie literaturoznawstwo w Polsce, walki z tradycyjną rutyną w nauce". Szkice powstały zatem jako przygotowanie polskiej nauki o literaturze do Kongresu Nauki Polskiej, a ich rola najpełniej się manifestuje tymi konkretnymi ocenami, tezami i postulatami, jakie polonistyka mogła na Kongresie zaprezentować. Zawarł je ten sam autor w pracy wygłoszonej na Kongresie**). Ogrom zebranego w niej materiału rzeczowego, kompletność sądów o dorobku naukowym w zakresie historii literatury polskiej, opartych o szerokie uogólnienia historyczne, o inter-

*) Henryk Markiewicz: O kryteriach oceny dzieła literackiego, Życie literackie, Nr 16. Jest to fragment większej całości.

**) Stefan Żółkiewski: Badania nad literaturą polską. Dorobek, stan i potrzeby. Z powodu I Kongresu Nauki Polskiej. PIW. 1951.

etację tendencji rozwojowych nauki dobie kapitalizmu, ocena stanu literaturoznawstwa w Polsce Ludowej — właśnie wynik pionierskich poszukiań autora *Starego i nowego literaturoznawstwa*, pełnionych syntezami, które przyniósł azd Polonistów w maju 1950 r.

Logika walki dyktowała co najmniej terokierunkowy charakter poszukiań. Było to po pierwsze ustalenie tetycznych założeń marksistowskiej edzy o literaturze, sprecyzowanie asnego punktu widzenia, konieczne obec braku chociażby rudymentarch i encyklopedycznych opracowań ten temat. W oparciu o tę określoteorię literatury dokonane zostało lerzenie w najbardziej charakteryczne praktyki badawcze idealistyczch historyków i teoretyków literary. Na marginesie polemiki z typowymi zafałszowaniami interpretacyjnyi idealistów ustaliły się tu i ówdzie nstruktywne sądy historyczno-literace. I wreszcie — propozycje odnowiea i rozwoju polonistyki skierowały wagę autora na organizację literatuznawstwa radzieckiego, na ocenę syacji organizacyjno-kadrowej w Pole. W ten sposób powstał możliwie ny wachlarz istotnej problematyki aukowo-literackiej w latach 1949—50.

Czy te ramy chronologiczne, określające czas powstania rozpraw żywo związanych z problematyką okresu, tóry je wydał, umniejszają ich zisiejszą przydatność? Nie, partie oretyczne i polemiczne zachowują emal pełną aktualność; zmieniła się atomiast, i to dość znacznie, problatyka historii literatury polskiej. W aju ub. r. Żółkiewski pisał np.: „Brak am dotąd nawet najbardziej szkicoej koncepcji epoki romantycznej". ziś tę koncepcję mamy i to nie bez oczywistych zasług autora *Literaturoznawstwa**) Ale właśnie w ten sposób potwierdza się najoczywiściej płodność założeń teoretycznych i realność konkretnych postulatów, zawartych w książce.

Żółkiewski zdawał sobie sprawę z tego, że poszczególne szkice, stanowiące przecież zamknięte całości, będą zawierały szereg powtórzeń. Mimo to dadzą się wyodrębnić wyraźne całości problemowe. A więc rozprawa *Aktualny etap walki o marksistowskie literaturoznawstwo w Polsce* jest przede wszystkim wykładem podstawowych tez marksistowskiej teorii literatury i zasad naukowego postępowania badawczo-literackiego. Znajdzie tu czytelnik interesującą analizę prac Lenina o Tołstoju, dokonaną *sub specie* „po pierwsze — dzieła literackiego jako (społecznie kierunkowego) odbicia zewnętrznej, obiektywnej rzeczywistości życia, po drugie — dzieła jako wyrazu dążeń ideologicznych określonej klasy, po trzecie — dzieła jako narzędzia walki klasowej". W ten sposób Żółkiewski wyodrębnia zasady klasowej interpretacji literatury.

Autor wysuwa niejako dwa aspekty badań nad literaturą: pierwszy wyznacza problematyka społeczna, drugi — problematyka artystyczna utworu. W książce jest wyraźnie mowa o jedności tych dwu stron zagadnienia, o jedności treści i formy, nazwanej przez autora podstawowym postulatem estetyki marksistowskiej. Zagadnieniu temu poświęcony jest rozdział *O problemie stylu artystycznego*, wykazujący oczywiste związki między tendencją ideologiczną a kształtem stylistycznym. Trzeba tu zaznaczyć, że autor rozumie styl szeroko, jako

*) por. Stefan Żółkiewski: O polskim romantyzmie. Wieś, Nr 312.

„specyficznie literackie, artystyczne elementy dzieła". Teza o jedności problematyki społecznej i artystycznej służy wyciągnięciu wniosków centralnych, dotyczących wartościowania literackiego. Żółkiewski słusznie wskazuje na zmienność kryteriów estetycznych. Są one fałszywe, gdy tworzy je klasa ginąca, pełne i obiektywnie prawdziwe, gdy wywodzą się z leninowskiej teorii odbicia, a więc z zasady afirmacji realizmu jako metody artystycznej związanej zawsze z postępowymi siłami społecznymi. Niestety, Żółkiewski nie wyjaśnił do końca przyczyn tej korelacji i nie wytłumaczył dokładnie literackiego znaczenia pojęcia „realizm", które jest po pierwsze — jakościowo zróżnicowane zależnie od determinantów określonej epoki, a po drugie — ciągle jeszcze wymagające uściśleń. Wchodzi tu w rachubę sprawa specyficznie literackiej symboliki i jej stosunku do definicji realizmu, sformułowanej przez Engelsa*). Przykłady twórczości Homera, Rabelais'go, Szekspira, Swifta, France'a, Gogola, wystarczająco sygnalizują rodzaj problematyki, jeśli chodzi o prawdopodobieństwo szczegółów w realistycznym dziele literackim. Nie podlega bowiem dyskusji taki wyznacznik realizmu, jak obiektywny sens literatury, to znaczy stosunek dzieła literackiego do rzeczywistej prawdy. Co oznacza typowość w znaczeniu literackim, to również sprawa dalszych studiów **). Istnieje typowość deklaratywna, ilustracyjna, gdy ją poznaję, „wiem, o co autorowi chodzi", ale nie doznaję wzruszenia artystycznego. Wydaje się, że właśnie takie fakty każą zastanowić się nad zagadnieniami, wynikającymi z tezy o „jedności problematyki społecznej i artystycznej". W S t a r y m i n o w y m l i t e r a t u r o z n a w s t w i e teza ta podana jest generalizująco i bez zastrzeżeń; dlatego wymaga uzupełnień. Aby ułatwić czytelnikom książki orientację w tych zagadnieniach, odsyłamy go do szczegółowych artykułów, zasygnalizowanych tu charakterystycznymi cytatami.

Tak pisze na ten temat Melania Kierczyńska***):

„Pojęcia słuszne, których się twórca w tych warunkach (nowych tematów i zagadnień — A. L.) jako nowych pierwiastków swojego myślenia dopracował, zajęły może trwałe miejsce w arsenale jego logicznej myśli, nasyciły się nawet wyraźną emocją, ale pozostają w o wiele większym stopniu myślą b e z o b r a z o w ą (rzecz jasna, całkowicie bezobrazowa nie będzie nigdy), aniżeli inne tereny, dotychczasowe, dawno zdobyte tereny jego doświadczenia. Wówczas często zamiast pełnokrwistej postaci czy sytuacji mamy bladą egzemplifikację lub wywody logiczne w odautorskim komentarzu.

Tu kryje się jeden z możliwych powodów niedorastania formy artystycznej do ideologicznej treści".

Henryk Markiewicz we wzmiankowanym artykule, podejmującym kluczową problematykę estetyczną pisze:

„Trzeba jednak pamiętać, że samo nowatorstwo tematyczno-ideowe, samo wprowadzenie nowych, postępowych treści i poglądów na teren literatury jest już dużą, choć nie autonomiczną wartością właśnie literacką, bo toruje — choćby ostrzegawczym przykładem błędów — drogę pełnowartościowym realizacjom artystycznym. Nowatorski

*) Brzmi ona tak: „Według mojego mniemania realizm oznacza — obok prawdopodobieństwa szczegółów — wierne przedstawienie typowych charakterów w typowych warunkach".

**) Wiele problemów rozwiązał, jak się wydaje, znakomity artykuł A. Burowa: O teoriopoznawczym charakterze uogólnienia artystycznego. *Woprosy filosofji, Nr 4/1951.*

***) Melania Kierczyńska: Nie wolno wulgaryzować. Nowa Kultura Nr 85.

treści często wchodzą do literatury poprzez utwory będące ich słabą artystycznie realizacją. (...) Literatura stwarza i odmienną sytuację: dużą sprawność w realizacji artystycznej błędnych, szkodliwych poglądów ideologicznych. Wśród tych wartości formalnych szczególnie zautonomizowane są wartości językowe utworu".

Cytaty te uzupełniają, a nie korygują książkę Żółkiewskiego. Jakże znamienne dla naszych czasów jest bogactwo i ustawiczna nowość problemów — dowód wspaniałej żywotności marksistowskiej nauki! Kiedy Żółkiewski wysuwał postulat ideologicznej interpretacji specyficznych elementów struktury dzieła literackiego, postulat ten oznaczał walkę z tymi, którzy wulgaryzowali marksizm, ograniczali jego kompetencje, by go „obalić" lub wykroić dla swoich idealistycznych nastawień miejsce w gmachu nauki. Zajęcie się ideologiczną interpretacją stylu artystycznego, ogólne zarysowanie kryteriów oceny estetycznej było równoznaczne z eksmisją nieproszonych lokatorów. Dziś wulgaryzować marksistowską teorię literatury — to znaczy nie doceniać całej złożoności stosunku między treścią i formą, wymagającej konkretnych sądów w konkretnych wypadkach. To znaczy nie widzieć różnic między społeczną świadomością a artystyczną „gotowością" pisarza, nie doceniać istoty i znaczenia talentu, specyficznych praw myślenia artystycznego.

Gdyby stanąć na stanowisku maksymalistycznym i mieć pretensje do autora Literaturoznawstwa o pominięcie pewnych istotnych zagadnień, trzeba by się upomnieć o problematykę wartości trwałych w sztuce. Wykorzystując genialne rozważania Stalina na temat zróżnicowania form świadomości społecznej*), rozwinął tę kwestię Henryk Markiewicz w cytowanym już dwukrotnie artykule. Czytelnik bez trudu dotrze do bogatej literatury, omawiającej tezy zawarte w pracach Stalina i przystosowującej je do problematyki literackiej. (Aktualny etap walki... pisany był w pierwszej połowie 1950 r.) Żółkiewski słusznie akcentuje, że „punkt widzenia komunizmu, punkt widzenia marksizmu-leninizmu pozwala określić naukowo poprawnie, z punktu widzenia rzeczywiście pełnej, współczesnej świadomości, wartość poznawczą dzieła sztuki w przeszłości" i że „ta (marksistowska — A. L.) nauka o literaturze zdolna jest torować drogę nowatorstwu literackiemu". W świetle współczesnego stanu wiedzy można by jednakże zadać pytanie: dlaczego dziś jest dla nas w dalszym ciągu żywotny artystycznie dorobek literatury klas przeszłych, nawet wówczas, gdy kształtował się on w ramach nadbudowy, o której pisze Stalin: „jeżeli baza ulega zmianie i likwidacji, to w ślad za nią ulega zmianie i likwidacji jej nadbudowa"? Referat Aktualny etap walki wygłoszony był na Zjeździe Polonistów w maju 1950 r.; na tymże samym Zjeździe Jan Kott wystąpił ze znakomitą odkrywczą pracą pt. Miara postępowości w historii literatury **), która rzuciła wiele światła na to zagadnienie:

„Jeżeli mówimy o postępowości wielkich pisarzy Oświecenia, to przede wszystkim dlatego, że w pewnym przynajmniej sensie wznieśli się oni ponad klasowy interes burżuazji, że dostrzegli obok przemocy feudalnej również i pierwszą grabież kapitalistyczną. Prawidłowa ocena historyczna nie polega

*) Józef Stalin: W sprawie marksizmu w językoznawstwie.
**) Jan Kott: Miara postępowości w historii literatury. O sytuacji w historii literatury polskiej. P I W. 1951.

na wyrywaniu pisarzy z burżuazyjnego kontekstu i na mierzeniu ich miarą współczesnej świadomości proletariackiej. Lecz nie polega ona również na ocenie pisarzy burżuazyjnych miarą interesów angielskiego lorda, który do spółki z bankierem założył manufakturę, czy też generalnego poborcy podatków we Francji Burbonów."

„Ideolodzy burżuazji przedstawiają mieszczanina jako obywatela państwa zrodzonego z umowy społecznej, jako naturalnego człowieka mądrego, szlachetnego i dobrego; powieściopisarze ukazują rzeczywistego przedstawiciela burżuazji, którego praktyka życiowa zmusza do egoizmu i podłości".

A zatem krytyka już tej nowej rzeczywistości, tworzonej przez klasę, która proponuje tylko zmienić formę wyzysku, krytyka, zbliżająca się ku pozycjom mas ludowych. Przedsocjalistyczne przełomy literackie zawsze były nasycone tą treścią ludową, antagonistyczną i opozycyjną. Ta treść przerastała aktualną nadbudowę i ona przede wszystkim pozostała jako czynnik, determinujący trwałe estetyczne wartości. Złudzenia ideologów burżuazji z jej heroicznego okresu, złudzenia zresztą niefałszowane, a tym bardziej niefałszowane u pisarzy i artystów, mogły wydźwignąć literaturę humanistyczną i szlachetną, walczącą i nasyconą pasją poznawczą. Były to zawsze złudzenia, nawiązujące — przeważnie nieświadomie — do ideologii mas ludowych, także wtedy, gdy optymizm literatury realizmu „racjonalistycznego" wyparty został przez akcenty rozczarowania w realizmie krytycznym. Wtedy jeszcze krytyka rzeczywistości nie łączyła się bezpośrednio, tzn. świadomie, z walką proletariatu, chociaż szła jej na rękę. Dziś, z proletariackiej perspektywy poznawczej, potrafimy włączyć te akcenty optymizmu, szerokie horyzonty racjonalistyczne, szlachetne uczucia i namiętną krytykę w naszą walkę o postęp, a więc w naszą socjalistyczną kulturę. Te uwagi nasuwają się przy analizie tezy Żółkiewskiego: „interpretacja ideologiczna uzasadnia i umożliwia wartościowanie estetyczne". Autor nie wyjaśnił jej do końca, stwierdzając jedynie, że stosunek utworu do realizmu wyznacza jego jakość artystyczną.

Bardzo wartościowa i ważna jest rozprawa z zasadniczymi tendencjami idealistycznej metodologii, zamknięta w szkicu O literaturoznawstwie burżuazyjnym epoki imperializmu w Polsce. Z dwóch zasadniczych względów. *Primo* — jest to doskonała próba znalezienia powiązań pomiędzy polityczną ideologią burżuazji okresu imperializmu a jej stanowiskiem w rozumieniu i ocenie kultury. *Secundo* — jest to ostra, skuteczna, dogłębna krytyka tego stanowiska. Żółkiewski widzi dwa tory rozwoju burżuazyjnej metodologii artystycznej tego okresu: jeden, zapoczątkowany przez Dilthey'a, nawiązujący do idealizmu obiektywnego i drugi, reprezentowany przez konwencjonalistów, oparty na subiektywnym idealizmie, „zasadniczej postaci filozoficznej ideologii burżuazyjnej epoki imperializmu". Ten ostatni słabiej zaznaczył się w badaniach historycznoliterackich w Polsce. Oba kierunki odrzucały pozytywistyczną syntezę kulturologiczną, miały charakter antynaturalistyczny i antypsychologiczny, ale zagubione w pozornej problematyce ontologicznej — jak diltheyizm — lub ograniczone ciasnymi ramami doświadczenia wewnętrznego i zawodnych kryteriów poprawności logicznej — jak konwencjonalizm — nie potrafiły stworzyć nowej syntezy. Zerwanie z nomotetyzmem, intuicjonizm, przyjęcie jakiejś swoistej wyłączności faktów kul-

turowych, wynikającej z istnienia odrębnej, transcendentalnej sfery duchowej związane z tym pojęcie struktury duchowej i idealistycznie rozumianej osobowości — oto typowe znamiona bankructwa systemu filozoficznego i dowolnej — w tych granicach — mitologizacji problematyki kulturowej. Oznaczały one zerwanie z nauką i istotną problematyką na gruncie obrony i petryfikacji ustroju. Krytyka Żółkiewskiego niweczy precyzyjnie pozory naukowości, skwapliwie zachowywane przez konwencjonalistów, abstrahujących rzekomo od decyzji ontologicznych w imię wewnętrznej poprawności logicznej konwencjonalnie przyjętych systemów. Dlaczego konwencjonalizm z konieczności prowadził do idealizmu subiektywnego i musiał zawikłać się we własnych sprzecznościach mimo powierzchownych rygorów myślenia, wyjaśnia rozprawa Żółkiewskiego za pomocą argumentów wyrażonych językiem trudnym, ale zwartych i przekonywających. Uzupełniają one doskonale krytykę neopozytywizmu, dokonaną przez Schaffa *). Żółkiewski wykazując podatność polskich historyków literatury na diltheyizm, niekonsekwentny zresztą, dokonuje dobitnej krytyki sądów Kołaczkowskiego o Kasprowiczu, Z. Łempickiego o przyczynach rozwoju mieszczaństwa, Pigonia o Orkanie. Pisząc o zasadniczych systemach teoretyczno-literackich, wymienia: dilteyizm, pluralizm, formalizm i teorię rezygnującą z funkcji wartościowania. Autor słusznie podkreśla, że w tej sytuacji cenne były przede wszystkim nowe fakty, a te wykrywali epigoni pozytywistycznego stosunku do literatury lub „żywiołowi pozytywiści".

*) Adam Schaff: Narodziny i rozwój filozofii marksistowskiej. Książka i Wiedza, 1950. Str. 28—38.

Stosunek Żółkiewskiego do tych rzetelnych osiągnięć dobitnie określają słowa: „Walka o metody marksistowskie nie oznacza odrzucenia empirycznych osiągnięć przeszłości. Przeciwnie, oznacza pełne ich wyzyskanie w przeciwieństwie do zakusów likwidatorskich »reform« nauki o literaturze ze strony formalistów".

Aktualna problematyka historii literatury polskiej jest obszernym sprawozdaniem ze Zjazdu Polonistów. Najcenniejsze jest tu postawienie problematyki poszczególnych epok polskiej literatury; postulaty muszą — rzecz jasna — wypływać z ogólnej syntezy epoki. Dlatego szkic obfituje w nowatorskie, choć bardzo porozrzucane, pozytywne sądy historyczno-literackie. Od polemiki do konstrukcji — taki jest kierunek rozwoju powojennego polskiego literaturoznawstwa; w omawianej pracy szala przechyla się już na rzecz szczegółowej konstrukcji. Dalsze prace: Przykład literaturoznawstwa radzieckiego, O radzieckich instytucjach naukowo-literackich, Metody i warunki planowania badań polonistycznych — to już poszukiwania i propozycje konkretnych form organizacji badań literackich, form wykorzystujących doświadczenia nauki radzieckiej. W naukowej podstawie metodologicznej, w ścisłej łączności z życiem i potrzebami społecznymi, w planowości pracy upatruje Żółkiewski główne przyczyny sukcesów radzieckich badaczy literatury.

Logika walki wyznaczyła nie tylko temat poszczególnych szkiców, zawartych w książce; określiła ona również styl pisarski. Charakteryzuje się on dużą zwartością, oszczędnością wyrazu

(niekiedy zbyt daleko posuniętą; np. w rozprawie O literaturoznawstwie burżuazyjnym... jest on trudny nawet dla przeciętnego studenta polonistyki — a przecież już sama problematyka zakłada dość znaczny stopień przygotowania filozoficznego), a nade wszystko pasją człowieka walczącego, świeżością spojrzenia, emocjonalnym zaangażowaniem.

Młodzi poloniści znają doskonale Stefana Żółkiewskiego jako teoretyka i historyka literatury, który często pierwszy otwierał im oczy na aktualną problematykę literacką, zagrzewał do walki o wiedzę marksistowską, o samodzielny trud naukowy. Znają go również jako niestrudzonego działacza na polu organizacji nauki i życzliwego przyjaciela młodzieży polonistycznej. Piszemy o tym dlatego, aby podkreślić, iż znaczenie prac zawartych w Starym i nowym literaturoznawstwie można należycie ocenić dopiero po uświadomieniu sobie pierwszorzędnej roli Żółkiewskiego w dziele unaukowienia i odnowy literaturoznawstwa polskiego. Dziś, gdy przebudowa polonistyki została w zasadzie dokonana, możemy tym lepiej zrozumieć wartość prac Żółkiewskiego, także tych, które pozostają jako dokument. Znaczenia Starego i nowego literaturoznawstwa w naszej skąpej literaturze teoretyczno- i publicystyczno-literackiej nie umniejsza fakt, że nie można nim posługiwać się jako podręcznikiem czy małą encyklopedią ocen w swoim zakresie. Książka ta uczy partyjnego stosunku do spraw literatury, uczy dostrzegać problemy i pobudza do ich dalszego przemyślenia, kształci troskę o najgłębszy sens społeczny pracy badacza literatury.

Andrzej Lam

WILLIAM SZEKSPIR. *Otello. Król Lir. Makbet.* Przekład Zofii Siwickiej. Książka i Wiedza. Warszawa, 1951; str. 532. *Makbet.* Przekład, wstęp i objaśnienia Zofii Siwickiej. Biblioteka pisarzy polskich i obcych. Książka i Wiedza. Warszawa, 1950; str. 124.

Jako wydawnictwo Książki i Wiedzy ukazał się pierwszy po wojnie tom nowych przekładów Szekspira: trzy tragedie, w tłumaczeniu Zofii Siwickiej. Na podobną publikację czekaliśmy lat sześć, bez przesady więc można powiedzieć, że jest to zdarzenie niecodzienne. Niewątpliwą zasługą wydawnictwa jest pierwszeństwo tej inicjatywy w dziedzinie, gdzie dobro sprawy wymaga współzawodnictwa. Zanim więc zajmiemy się sprawą tego właśnie nowego przekładu, zacznijmy od refleksji ogólniejszej, nasuwającej się na wstępie w sposób naturalny. Zastanówmy się, jakbyśmy o tym nie myśleli dotąd, dlaczego nowe przekłady są potrzebne, i dlaczego, mimo że mamy już tyle starych, praca nad spolszczeniem Szekspira nie ustaje i ustać nie może?

Rzecz w tym, że na tym polu postęp jest powolny i trudny. W ogóle nie zakończyła się dotychczas praca nad rozumieniem i ustaleniem oryginalnego szekspirowskiego tekstu. Ani w ojczyźnie Szekspira, ani gdzie indziej nie rozwiązano dotychczas tysięcy kwestii spornych. A chodzi nie tylko o drobiazgi, lecz i o interpretację sensu całości największych arcydzieł poety. Dziś, gdy poznaliśmy lepiej epokę, dyskusja w tej sprawie jest ostrzejsza, i różnice zdań bardziej biegunowe niż przed pięćdziesięciu laty, kiedy wydawało się, że istnieje jakieś ogólnie przyjęte pojmowanie sensu dramatów Szekspira, oraz wydanie jego dzieł, zadowalające pod względem edytorskim.

Z punktu widzenia wymagań dzisiejszych sprawa przedstawia się zupełnie inaczej.

Nie tylko więc starszy dorobek szekspirologii, lecz i dawniejsze przekłady, w swój czas dobre, są dziś w dużym stopniu przestarzałe. Odbijają stan współczesnej wiedzy o Szekspirze, i przyjęte w owym czasie standartowe rozumienie tekstu, podczas gdy my w tej dziedzinie poszliśmy niewątpliwie dalej, choć do mety mamy jeszcze dość daleko. Chcemy więc w przekładach nowych znaczeń, wykrytych przez nowe badania, i chcemy nowego języka, który możliwie najprościej zbliży nas do Szekspira. Nowe znaczenia są sprawą dla specjalistów: gdzie one tkwią, jakie są, tego nie może domyślać się ktoś, biorący do ręki stary przekład czy choćby oryginał — ale nowego języka chcą wszyscy, którzy czytają tekst dawniejszych tłumaczeń: aktorzy, literaci, wszelkiego rodzaju miłośnicy, młodzież... Więc czemu cofamy się przeważnie o sto lat wstecz, do tłumaczenia Paszkowskiego, odsuwając najczęściej próby nowsze? Przecież Paszkowski pozwala nam Szekspira mniej więcej tak, jak go rozumiał Schlegel, a więc znaczenia sprzed stu pięćdziesięciu lat — nawet nie stu; a tłumaczenie Szekspira po nim podejmowali niejednokrotnie literaci z większą od niego sławą poetycką. Niezadowolenie z Paszkowskiego jest ogólne; ogólnie też powraca się do niego, używa się go i czyta.

Sprawa tłumaczy się tym, że Paszkowskiego bardzo łatwo krytykować, trudniej, jak to wykazała praktyka, nie łatwo przewyższyć. Władał on tęgą polszczyzną i — jako tłumacz najznakomitszych dzieł Szekspira — bardziej niż ktokolwiek inny przyczynił się do stworzenia pewnej normy stylu polskich przekładów, wyciskając mocne piętno także na dalszych próbach, nawet (jak zobaczymy) odległych o późniejsze sto lat rozwoju języka. A oddziaływać nie przestał dlatego, że lepiej niż ktokolwiek inny połączył tęgi język z bogactwem sensu: aliaż prawdziwie szekspirowski. Inni potem tłumaczyli Szekspira potoczniej, prościej, dostępniej; bywały takie tłumaczenia dla sceny, ale był to Szekspir zubożony i spłycony. Wita Stwosza też można uprościć na kreskową ilustrację. Paszkowski popełniał co prawda nieszczęśliwe kompromisy. Ale i następcy jego od nich się nie wyzwolili. Inni tłumacze, jak Kasprowicz, gdy chcieli ocalić dla wiersza polskiego jak najwięcej znaczeń oryginału, czytelnością przekładu Paszkowskiemu nie dorównali, pomijając już to, że poza jego znaczenia jednak nie wyszli, nieraz zaś, co gorsza, przysporzyli nowych błędów.

Konieczne więc są próby dalszego postępu, i zarazem to jest pewne, że postęp będzie dużo wart, nawet jeżeli będzie tylko częściowy, bo i to osiągnąć trudno. Język przekładów Zofii Siwickiej nie jest tęższy, bogatszy ani bardziej polski od języka Paszkowskiego, ale bywa świeższy, poza tym zaś dzięki czujności i bardziej nowoczesnej kompetencji anglistycznej w wielu miejscach tłumaczka poprawiła jednak mistrza. Zależność jej od wzoru, o którym mowa, jest wyraźna; ale również i inni literaci, których prace powojenne na tym polu znane są nam z próbek ogłoszonych w czasopismach, nie uwolnili się dotychczas od ogólnej sugestii stylu Paszkowskiego. Tu przykład zaczerpnąć można z Makbeta, który w nowym wydaniu (tom zbiorowy z 1951 r.) zrewidowanym nawet w stosunku do poprzedniego z r. 1950 jest osiągnięciem, być może, najdojrzalszym. I on też w różnych miejscach ilustruje ciągłość głównego nurtu tradycji polskich przekładów:

Makbet:
Rozpłataliśmy węża, nie zabili, —
Zrośnie się, będzie znów gadem: ząb
jego
Jadem zaprawny nie przestaje grozić
Biednej niecnocie naszej. Niechaj
raczej
Kształt rzeczy runie, oba światy zadrżą,
Niżbyśmy mieli nasze jadło dzienne
Z trwogą pożywać i sypiać pod wpływem
Tych snów, co w nocy nami trzęsą;
raczej
Zająć nam miejsce przy tym,
któregośmy
W grób wyprawili, niż w ciągłych
konwulsjach
Leżeć na strasznych torturach sumienia.
Dunkan spoczywa; dobrze śpi po febrze
Ziemskiego życia; zdrada dokonała
Arcymistrzowskiej sprawy; stal,
trucizna,
Domowy zamach ani obcy najazd,
Nic mu zaszkodzić już nie może.

(Tłum. J. Paszkowskiego)

Makbet:
Rozpłataliśmy węża, nie zabili,
Zrośnie się, będzie znów cały, a biedny
Nasz podstęp nadal zostanie pod grozą
Jadowitego zęba. Niechaj raczej
Kształt rzeczy zginie, oba światy runą,
Niżbyśmy mieli jeść jadło swe
w trwodze,
Sypiać nękani straszliwymi snami,
I drżeć po nocach. Lepiej nam być
razem
Z zabitym, cośmy go na spoczywanie
Wieczne wysłali, by sami mieć spokój,
Niżeli leżeć na torturach ducha
W okrutnej męce. Dunkan jest już
w grobie
Po paroksyzmach gorączki żywota
Śpi dobrze. Zdrada dokonała dzieła:
Stal, ni trucizna, ni spisek domowy,
Ni obcy najazd dotknąć go nie mogą.

(Tłum. Z. Siwickiej)

U Szekspira 16 wierszy, u obojga tłumaczów polskich także po 16; zresztą jednak lapidarnością tłumaczka często przewyższa Paszkowskiego, który na ogół w tłumaczeniu pomnaża liczbę wierszy oryginału. Stopień jasności mniej więcej jednakowy: w nowym przekładzie sens został jednak w jednym miejscu uchwytnie wzbogacony („na spoczywanie wieczne wysłali, by sami mieć spokój"; oryg.: „*whom we, to gain our peace, have sent to peace*", co Paszkowski pominął).

Przykładowo zauważmy też, że w w pewnym miejscu obaj tłumacze nie sprostali zadaniu, i częstują nas niejasnością z gatunku tych, co najbardziej doskwierają czytelnikowi polskich przekładów Szekspira. Jednakże zaatakowali trudność i nie spróbowali jej wyminąć, co stało się w podobnych razach wprost odruchem instynktownym u niektórych najnowszych „tłumaczów". Przyznajmy też, że w tym wypadku dawniejsze tłumaczenie Paszkowskiego ocaliło więcej sensu. „Biedny nasz podstęp (?) nadal zostanie pod grozą jadowitego zęba" — te słowa przekładu Siwickiej właściwie nic nie znaczą, i co gorsza, dezorientują (o jakim podstępie mowa?).

Znaczenie słów oryginału w tym miejscu prawdopodobnie jest mniej więcej takie: „Nasza skromna zdolność zadawania ciosu („*our poor malice*") paraliżowana jest lękiem jadowitego zęba". Słowo *malice* jest tu użyte w znaczeniu dziś przestarzałym. Oto mały przykład trudności dostrzeżenia i wycieniowania sensu, przed jaką stawiają nieustannie tłumaczów utwory Szekspira. Paszkowski, choć rozwiązania dobrego nie wymyślił, przetłumaczył bądź co bądź zrozumiałej: „Ząb jego, jadem zaprawny, nie przestanie grozić biednej niecnocie naszej". I w dalszym ciągu bardziej zgodnie z wyobrażeniami epoki

rmułkę szekspirowską „...*both the orlds suffer*“ — „raczej niech oba viaty (tj. ten i tamten) ucierpią“ — rzetłumaczył: „...oba światy zadrżą“, dy tymczasem Siwicka niepotrzebnie łożyła w usta Makbeta aż hiperbolę: .oba światy runą“. O runięciu tamgo świata ani Szekspir, ani współześni mu nie myśleli, tak że w tym iejscu tłumaczenie nowsze bardziej dbiega od sensu oryginalnego.

Szekspir pisał (w tym urywku, jak nieraz gdzie indziej) wierszem niegularnym, niesylabowym. Obaj tłuacze, zgodnie z polską, i ogólnouropejską tradycją, ustaloną w w. VIII i XIX, zregularyzowali Szekspia, dając jednolitą porcję wiersza syabowego (11-zgłoskowiec).

Zauważmy jednak, jak w pewnych iejscach Siwicka skorygowała poważe błędy dawnego przekładu. Już pierwszej scenie Makbeta, sławnej ła swej krótkości i ekspozycyjnego aloru, Paszkowski zmienił Szekspira samowolnie przypisał wiedźmom wiezę przyszłości.

Tam Makbet z naszych ust
Dowie się o swych losach,

— jak gdyby ta sprawa była z góry rzesądzona. Rzecz arcyważna w tradii! I nawet tak sumienny badacz, ak prof. Tretiak, uwierzywszy na wilę Paszkowskiemu, napisał, streszając ekspozycję (patrz Biblioteka Nadowa, M a k b e t, Wstęp str. IV), że zarownice „spotkają Makbeta i przeowiedzą mu przyszłość“. W rzeczywitości (jak możemy się dowiedzieć z owego przekładu) — planują tylko potkanie z Makbetem:

Makbeta tam spotkamy blisko

(Z. Siwicka)

Większą ścisłość osiąga tłumaczka nie ylko w drobnych urywkach, ale nieraz w większych, artystycznie także szczególnie ważnych partiach. Przykładem może być słynny monolog Makbeta ze sceny 7 aktu I:

Jeśli się skończy to, gdy się już stanie,
Niech lepiej prędko się stanie. Bo gdyby
Mord ten mógł zniszczyć następstwa
i złowił
Spełnieniem szczęście, gdyby ten cios
jeden
Mógł być już wszystkim i końcem
wszystkiego
Na tym tu brzegu i czasu ławicy,
O przyszłe życie bym nie dbał. Wszelako
Za takie czyny tu już sąd nas czeka.
Krwawa nauka raz pojęta wraca,
By dręczyć twórcę. Sprawiedliwość
sama
Wlewa zatruty przez nas płyn z kielicha
Nam samym do ust. On jest tu pod
strażą
Podwójną: pierwsza, żem krewniak
i jego
Poddany. Silne to względy przeciwko
Czynowi. Dalej, jako żem gospodarz,
Winienem zamknąć wrota przed
mordercą,
A nie sam nożem uderzać. Prócz tego
Dunkan swą władzę pełnił tak łagodnie,
Tak nieskalanie swe rządy sprawował,
Że cnoty jego będą jak anioły
Głosem trąb wzywać przekleństwem dla
tego,
Który go zabił. A litość, jak gdyby
Nowozrodzone, nagie dziecię z wichrem
Walczące lub jak niebiański cherubin
Na niewidzialnych rumakach
powietrznych
Wiać będzie w oczy każdemu tym
czynem
Okropnym, aż póki łzy wiatr zaleją.
Nie mam ostrogi, by spiąć mą pokusę,
Mam tylko pychę, co w górę się wspina
I zwala innych.

(Z. Siwicka)

U Szekspira mamy tu *passus* obfitujący w miejsca trudne o zagęszczonym sensie, w alliteracje i obrazy skrótowe.

Tłumaczka na całej prawie przestrzeni tego monologu osiągnęła większe przybliżenie do oryginału niż Paszkowski, który tu w paru miejscach pobłądził nieszczęśliwie. I przekład jej jest mimo większej ścisłości łatwiejszy do zrozumienia. U Paszkowskiego mamy:

M a k b e t:

Jeśli to, co się ma stać, stać się musi,(?)
Niechby przynajmniej stało się
niezwłocznie.
Gdyby ten straszny cios mógł przeciąć
wszelkie
Dalsze następstwa, gdyby ten czyn
mógł być
Sam w sobie wszystkim i końcem
wszystkiego,
Tylko tu, na tej doczesnej mieliźnie,
O przyszłe życie bym nie stał. Lecz
zwykle
W podobnych razach tu już każń nas
czeka.
Krwawa nauka, którą dajem, spada
Na własną naszą głowę. Sprawiedliwość
Zwraca podaną przez nas czarę jadu
Do własnych naszych ust. Z podwójnych
względów
Należy mu się u mnie bezpieczeństwo:
Jestem i krewnym jego i wasalem.
To samo zbyt już przeważnie potępia
Taki postępek, — lecz jestem, co więcej,
I gospodarzem jego, który winien
Drzwi zamknąć jego zabójcy, nie
owszem
Sam mu do piersi zbójczy nóż
przykładać.
A potem, Dunkan tak skromnie
piastował
Swą godność, tak był nieskalanie
czystym
W pełnieniu swego wielkiego urzędu,
Że cnoty jego, jak anioły nieba,
Piorunującym głosem świadczyć będą
Przeciw wyrodnym sprawcom jego
śmierci,
I litość, jako nowonarodzone
Nagie niemowlę, lub cherub siedzący
Na niewidzialnych powietrznych
rumakach
Wiać będzie w oczy każdemu okropn
Obraz tej zbrodni, by wiatr łzy
osuszył. (
Jeden, wyłącznie jeden tylko bodziec
Podżega we mnie tę pokusę, to jest
Wyniosłość, która przeskakując siebie(
Dąży powalić drugich.
(J. Paszkowsk

Przytoczone wyjątki niech przekona ją, że w pewnych miejscach przekła Siwickiej oznacza postęp w stosunku d przekładu Paszkowskiego. W dziedzini gdzie o postęp tak trudno, potrzeba dalszym ciągu pracy wielu piór i sze regu równoległych publikacji, aby są społeczny miał możność dokonania wy boru i oceny, i aby postęp nie był zata mowany. O nowego Szekspira trzeb walczyć dużym wysiłkiem na szeroki froncie wydawniczym, bo to zagadnie nie specjalne, do innych niepodobne.

Witold Chwalewik

EIWIND BOLSTAD: *Spekulant* (tyt oryginału norweskiego: *Profitören* przekład autoryzowany Tadeusza Po widzkiego, Państwowy Instytut Wy dawniczy, Warszawa, 1951; str. 230.

Powieść Eiwinda Bolstada jest pierw szą powojenną książką norweską, wy daną w tłumaczeniu polskim. Inicja tywa ze wszech miar godna pochwał S p e k u l a n t Bolstada bowiem— dojrzałe artystycznie dzieło postępow literatury norweskiej, dające rzetelny realistyczny obraz dziejów współczesn Norwegii.

9 kwietnia 1940 roku oddziały hitl rowskie dokonały inwazji na porty no weskie, przy wydatnej pomocy zdrajc Quislinga, który — jak okazało się ogłoszeniu D z i e n n i k a Alfred Rosenberga — kilkakrotnie żądał Niemców przyśpieszenia okupacji.

wkroczeniu Niemców do Oslo Quisling rządził defiladę swej gwardii i ogłosił się „ministrem obrony narodowej". Tegoż samego dnia wygłosił przez radio swe słynne przemówienie, wzywające Norwegów do zaprzestania oporu i to w chwili, gdy Norwegia miała pod bronią 14 tysięcy żołnierzy. Król i część członków rządu uciekli do Anglii, a wojska norweskie, wbrew zdrajcom, broniły się zaciekle; wkrótce jednak musiały ulec przeważającym siłom niemieckim. Dlaczego opór Norwegii w roku 1940 był tak krótkotrwały? Otóż burżuazja norweska już na długo przed wojną życzliwym okiem patrzyła na poczynania Hitlera w Niemczech; jeszcze nikomu z mieszczuchów nie śniło się o wybuchu wojny, kiedy Vidkun Quisling, wybitny burżuazyjny działacz polityczny i wielokrotny minister, za hitlerowskie pieniądze i subwencje fabrykantów norweskich organizował swą partię *Nasjonal Samlig* (Zjednoczenie Narodowe), oraz faszystowską organizację młodzieżową *Hirda*. Organ Quislinga *Fritt Volk* otrzymał różnymi drogami 50 tys. koron na rozszerzenie swej działalności. W powieści Bolstada jedna z występujących w niej osób tak mówi do faszystowskiego działacza, który w porę zerwał z Quislingiem: „Dziewiątego kwietnia nie dokonano zamachu na twe przekonania polityczne. W każdym razie ty i twoja klika uprawialiście wyraźną zdradę stanu już przed wojną, ty i wszyscy inni przywódcy waszego ruchu, którzy przez pełne siedem lat uprawialiście grunt według najlepszych faszystowskich wzorów, wy, którzy byliście ojcami chrzestnymi ruchu i dawaliście mu swe błogosławieństwo, aż w końcu był gotów do aktywnego wystąpienia. Cóż zapowiadali wasi mówcy? Że pewni ludzie wisieć będą na latarniach. I nie kłamali ci dranie. Czy protestowaliście przeciwko temu wówczas, gdy istniała jeszcze wolność słowa, gdy mogliście uprawiać uczciwą, otwartą politykę i jasno przedstawić cele waszego ruchu? Czym różniliście się od Niemców, których wasi ludzie wychwalali jako zbawców świata?" O ile naród norweski podjął nierówną walkę z okupantem, o tyle burżuazja norweska — asekurując się u Anglosasów poprzez króla i rząd emigracyjny — kaloborowała, jeżeli nie zawsze politycznie, to na pewno gospodarczo.

Quisling w lipcu 1940 r. spotkał się z Hitlerem i odbył z nim dłuższe rozmowy, w następstwie których Józef Terboven, komisarz Rzeszy w Norwegii, mianował dnia 25 września 1940 roku „rząd norweski" złożony z 13 ministrów pod przewodnictwem Quislinga. Potencjał gospodarczy Norwegii został wciągnięty w obroty machiny wojennej Rzeszy niemieckiej. Przyszły lata oszałamiających sukcesów Hitlera i burżuazja norweska uwierzyła w jego zwycięstwo. Kolaborant Kram mówi o tych latach: „Byliśmy przekonani, że Niemcy zwyciężą. A przecież tylko głupiec mógł przypuszczać, że oni przegrają. Biorąc rzecz ze stanowiska handlowego moje umowy były wytłumaczone".

Tak, burżuazja norweska uwierzyła! 40 tysięcy Norwegów bezpośrednio znalazło się w różnych organizacjach quislingowskich. Dywizja SS Norge złożona z wyrzutków i faszystowskich fanatyków walczyła na froncie wschodnim przeciwko Związkowi Radzieckiemu; nazwisko znakomitego pisarza Knuta Hamsuna zasłużyło na powszechną pogardę ze względu na jego prohitlerowską działalność. Również syn słynnego pisarza Björnsona, Erling Björnson wysługiwał się propagandzie niemieckiej, za co skazany został po wyzwoleniu na 10 lat więzienia. Bowiem burżuazja norweska nie tylko uwierzyła, ale i przeliczyła się... Masy

ludowe po klęsce Hitlera zażądały kary dla zdrajców. Quisling uznany winnym zdrady stanu został rozstrzelany; jego ministrowie jak Hagelin, Riisnaeson, Stang, Englesang, Irgens, Hustad zostali straceni lub skazani na długoletnie kary więzienia. Ale rzuciwszy na stos zbyt skompromitowanego Quislinga i jego pomocników, karząc surowo drobne płotki, nie ważono się ruszyć kolaborantów gospodarczych, tych, którzy pracując dla wojennych potrzeb Rzeszy dorobili się grubych milionów. Opinia publiczna miała dość rozpraw ze szwabskimi dziewkami i żądała kary dla spekulantów, którzy wzbogacili się na wojnie. Powieść Bolstada ukazuje właśnie walkę klasy robotniczej o ukaranie wielkich zdrajców gospodarczych. Sytuacja bowiem przedstawia się tak, że np. służąca Laura, która żyła z żołnierzem niemieckim siedzi w więzieniu, a Ludwik Kram, człowiek, który zarobił miliony koron produkując części do niemieckich min, nie tylko chodzi swobodnie po świecie, ale nadal jest dyrektorem i współwłaścicielem swej fabryki, ba, co więcej, wygłasza nawet patriotyczne przemówienie przy odsłonięciu tablicy pamiątkowej z wizerunkiem króla... Robotnicy jego fabryki, kierowani przez świadomego proletariusza, Arvida Hamre, organizują strajk. „My, robotnicy — mówi Hamre w imieniu kolektywu — jesteśmy zdania, że dyrektor zakładów, który produkował dla Niemców części do min, czerpiąc z tego fantastyczne zarobki, nie godzien jest tego, aby prowadzić obecnie jakąkolwiek fabrykę. Byłoby to obrazą pamięci naszych poległych towarzyszy, naigrawaniem się ze wszystkich ofiar, które poniósł naród, i cierpień, jakich doznał".

Akcja zapoczątkowana przez robotników wzbiera jak potok na wiosnę. Długotrwały strajk robotników kieruje wreszcie oczy opinii publicznej na działalność Ludwika Krama w okresie okupacji, gazety publikują o nim ostre, potępiające artykuły. Bolstad pokazuje sylwetkę osaczonego kapitalisty; Kram nie rezygnuje, nie opuszcza bezradnie rąk, ale broni się zaciekle. Pieniędzmi i szantażem zmusza prasę wydawaną przez prywatnych właścicieli do poparcia jego stanowiska. Bolstad pokazuje jak ludzie, którzy w życiu nienawidzą się, łączą się we wspólnej walce przeciwko światu pracy; kapitalista Kram nie jest monolitem, ale człowiekiem, który podtrzymuje swe stargane nerwy pastylkami, nie sypia tygodniami, przejęty walką i zagrożony aresztowaniem. „Czuł się jak tropione zwierzę, zewsząd otoczone, w śmiertelnym strachu zdobywające się na wściekłą odwagę, zdecydowany na wszystko". Ale cała ta walka nie na wiele przydałaby się Kramowi, gdyby nie pewna okoliczność... Przyjaciele i konkurenci rzuciliby Krama na stos, byle w ten sposób zaspokoić żądania społeczeństwa, niewątpliwa postawa robotników zdawała się pieczętować wyrok na jego osobie. Ale znalazł się ktoś komu zależało na uratowaniu fabrykanta... Tym kimś był były wybitny emigracyjny działacz norweski, agent amerykańskiego kapitału Seim. Wezwał on Krama przed swe oblicze i pokazał mu teczkę ze zdobytymi przez wywiad dokumentami, które do reszty grzebały fabrykanta. „Kram wyobraził sobie w tej chwili jak jego akta z rzędu spraw „gospodarcza współpraca z okupantem" czyjeś ręce przekładają do teczki z nagłówkiem: „haniebni zdrajcy ojczyzny". To było jednak tylko złudzenie... Norwegia, uważał dyrektor Seim, musi szykować się do następnej wojny. Ludwik Kram, były wspólnik hitlerowski, okazać się musiał w takim momencie człowiekiem szczególnie cennym. Kramowi dał Seim genialną radę: trzeba znaleźć

rzekonywującą formę dla swych wy-
śnień dotyczących części min.

Od chwili rozmowy z przedstawicie-
m Amerykanów wszystko zmieniło się
a lepsze. Kram zarobił miliony —
rawda. Ale obecnie zdeponował je w
nku do dyspozycji skarbu państwa.
rodukował części do min — ale nie
iedział o tym. Niemcy kazali mu pro-
kować zamki; do czego one służyły
edny dyrektor nie wiedział. Znaleźli
ę świadkowie, którzy to potwierdzili,
strajkujących robotników urządzo-
prasową nagonkę. Oportunistyczni
iałacze związkowi typu Holmsena do-
mogli — i w rezultacie mimo pozor-
ych ustępstw Kram w istocie pozostał
swym stanowisku. Arvid Hamre
ojący na czele strajku nie potrafił
nsekwentnie doprowadzić walki do
końca. Reformistyczne złudzenia nie-
których starszych robotników dopomo-
gły Holmsenowi do przeparcia zgody
na zakończenie strajku. Pierwszy etap
walki zakończył się porażką, Norwegia
wkroczyła w okres marshallizacji.

Należy podziwiać przenikliwość Bol-
stada, który pisząc S p e k u l a n t a
zaraz po wojnie potrafił trafnie prze-
widzieć dalszy bieg wydarzeń. Powieść
norweskiego komunisty, tak nowa na
tle znanej nam dawniej literatury tego
kraju, jest jedną z najlepszych powieś-
ci politycznych, jakie zdarzyło mi się
ostatnio czytać. Jest prawdziwa i doj-
rzała zarówno politycznie jak i arty-
stycznie, pokazuje sprawy „wielkiej po-
lityki" poprzez życie i działanie ży-
wych jednostek.

Ludwik Grzeniewski

NA WIDNOKRĘGU

PRZEGLĄD MIĘDZYNARODOWY

Po wyborach w Wielkiej Brytanii

Wybory, które 25 października odbyły się w Zjednoczonym Królestwie i które doprowadziły z powrotem do władzy konserwatystów, stanowić mogą dobry przykład tak gorąco zachwalanej przez reakcyjną propagandę „prawdziwej wolności" zachodniej. Warto pamiętać, że Wielka Brytania uchodzi za wzór burżuazyjnej demokracji. Otóż wybory 25 października okazały się faktycznie „wzorcowym" egzemplarzem tego, co w języku prasy zachodniej nazywa się wolnością wyboru dla ludu. Jeden z czołowych organów brytyjskiej reakcji, tygodnik *Economist*, komentując sytuację przedwyborczą, stwierdził: „Dwie główne partie są widać jak zawsze zgodne w jednej ważnej sprawie: nie wolno dopuścić do tego, aby wyborcy decydowali o realnych zagadnieniach stojących przed narodem angielskim". Toteż programy wyborcze dwóch ubiegających się o władzę partii — konserwatystów i labourzystów — były łudząco do siebie podobne. Przedstawiciele obu partii opowiedzieli się za polityką zbrojeń, polityką paktu atlantyckiego, polityką wojny, uparcie zresztą nazywając ją „polityką pokoju". Labourzyści ponieśli klęskę i zapłacili w ten sposób za 6 lat realizacji swej „pokojowej" polityki. Podczas gdy w wyborach 1945 zdobyli 391 mandatów, w tym roku uzyskali tylko 295. Istotna przyczyna klęski Labour Party leży w sprzeniewierzeniu się tej partii wszystkim obietnicom programu wyborczego z 1945, który umożliwił jej rozgromienie Churchilla — trzeba przy tym pamiętać, że Churchill stanął wówczas przed wyborcami jako premier rządu, który wygrał wojnę. Tak, jak w 1945 program Labour — pokojowej współpracy międzynarodowej, podniesienia stopy życiowej, nacjonalizacji wielkiego przemysłu — przyniósł jej wielkie zwycięstwo, tak w 1951 wyborcy przypomnieli labourzystowskim ministrom ciągłe łamanie przez nich w ciągu 6 lat wszystkich obietnic programu z 1949. Sytuacja, do której rząd labourzystowski doprowadził Wielką Brytanię, nie może faktycznie uchodzić za sukces. 3-letni program zbrojeniowy kosztem 4,7 miliarda funtów, kryzys produkcyjny w kluczowych przemysłach węgla i stali oraz w kluczowych przemysłach eksportowych z powodu braku surowców, ostra inflacja dająca w ciągu jednego roku 20-procentowy wzrost cen, deficyt bilansu handlowego na sumę 1.042 milionów funtów tylko w ciągu 10 miesięcy br. — oto niektóre owoce polityki Labour z ostatnich miesięcy. Na płaszczyźnie politycznej — podporządkowanie Wielkiej Brytanii Stanom Zjednoczonym, utrata 1/3 tych inwestycji zagranicznych, które pozostały jeszcze Brytyjczykom po zakończeniu drugiej wojny światowej, rozkład strefy szterlingowej, rozkład Imperium, przejście głównych dominiów Kanady i Australii w orbitę dolarową — to również niezaprzeczalna zasługa 6 lat labourzystowskich rządów. Wreszcie — co najważniejsze — polityka labourzystowska doprowadziła do zamiany Wielkiej Brytanii w „atomowy lotniskowiec USA w Europie" (słowa tygodnika *Time*), postawiła naród brytyjski na najbardziej zagrożonych pozycjach agresywnego frontu atlantyckiego. Jedno z głównych czasopism amerykańskich podżegaczy wojennych, *Collier's*, snując obłąkańcze rozważania na temat przebiegu „przyszłej trzeciej wojny światowej" z całym cy-

zmem opisuje, jak w odwet za bom-
rdowania atomowe ZSRR przez bom-
wce amerykańskie ginie Londyn w
mętach atomowej eksplozji. Remili-
ryzacja i wskrzeszenie pod kierownic-
wem USA nie od dziś zagrażających
ielkiej Brytanii imperializmów Nie-
iec i Japonii, to dodatkowy element
tuacji faktycznie nie do pozazdroszcze-
a, w której znalazł się naród brytyj-
i 25 października, w dniu wyborów.
Odrzucając labourzystów wyborca
rytyjski — i na tym polega przecież
otny sens „wzorcowej" dwupartyjnej
mokracji brytyjskiej — nie miał in-
go wyboru, jak powołać do władzy
hurchilla. Nie trudno dostrzec, że prze-
ętny Anglik mając do wyboru Attlee
Churchilla stawiał na Attlee tylko
opóty, dopóki wierzył, że głosuje w ten
posób na przedstawiciela innych kla-
owych i politycznych sił niż wódz
onserwatystów. Jednakże Labour Par-
stanęła do wyborów w 1951 nie jako
rzedstawicielka innej niż burżuazyjna
lasy i nie jako posiadaczka innego, niż
hurchillowski, programu. *New York
imes Magazine* jeszcze w kwietniu
951 pisał: „W istocie rzeczy konserwa-
yści będą mogli w przyszłych wyborach
piewać jako swój hymn piosenkę:
Wszystko, co robicie, potrafimy zrobić
epiej". Mając do wyboru tylko auten-
ycznego twórcę programu realizowa-
ego przez rząd brytyjski od 6 lat i jego
ość nieudolnego naśladowcę, wyborca
rytyjski, w szczególności wyborca
robnomieszczański, postawił na Chur-
hilla, tym bardziej że wódz konserwa-
ystów nie zawahał się rzucić hasła:
Rozmowy z Rosją". Klasa robotnicza
ozczarowana do Labour Party, jak-
olwiek głosowała nadal na tę partię,
łosowała bez przekonania i nie potra-
iła pociągnąć za sobą większości wy-
orców. Jeśli jednak Labour Party wy-
ory przegrała, to nie znaczy wcale,
by nastroje wyborców zmieniły się na
korzyść Churchilla. Wyborca brytyjski odchodzi od Labour, ale — nie ma wyboru. W konsekwencji przychodzi do władzy Churchill. Ciekawym potwierdzeniem tej tezy może być fakt, że podczas gdy we wszystkich okręgach kandydaci labourzystowscy tracili głosy, przywódcy tzw. grupy Bevana — demagoga świadomie oszukującego klasę robotniczą, ale demagoga zręcznego, który potrafił na czas uciec z rządu pod hasłem opozycji przeciw zbrojeniom — we wszystkich okręgach, w których kandydowali, odnieśli triumfalne zwycięstwo. Fakt ten dowodzi dobitnie, że wyborca brytyjski bynajmniej nie podpisywał się pod churchillowskim programem, gdy odrzucając Labour Party doprowadził do powrotu Churchilla.

Ekipa rządowa w Anglii uległa zmianie. Churchill powołał „gabinet lordów", (2/3 tek w rządzie przypadło posiadaczom 5- i 7-miopałkowych koron, nie licząc fabryk, stoczni itp. mniej arystokratycznych atrybutów przynależności klasowej). Program nowego rządu przedstawiony został w mowie tronowej króla oraz w przemówieniu nowego ministra skarbu, Butlera. „Sytuacja gospodarcza Wielkiej Brytanii jest gorsza, niż to można było przypuszczać w najśmielszych snach" — stwierdza nowy rząd. Zapowiedziano ograniczenia konsumpcji cywilnej i dalsze obniżenie stopy życiowej ludności. Wszystko to razem nie daje jednak, rzecz jasna, wyjścia z sytuacji. Jądrem gospodarczych trudności Wielkiej Brytanii jest opiewający na 4,7 miliarda funtów program zbrojeniowy. Rząd Churchilla w pełni podpisał się pod tym programem, którego był zresztą współautorem jeszcze jako „opozycja JKM". Churchill oświadczył natomiast, iż w styczniu uda się do Stanów Zjednoczonych na rozmowy z Trumanem. Głównym tematem tych rozmów ma być jak donosi prasa, żądanie dodatkowej pomocy amerykań-

skiej dla realizacji brytyjskiego programu zbrojeniowego oraz próba uzyskania dla Wielkiej Brytanii większego głosu w decyzjach na temat wojennych przygotowań politycznych i militarnych. Sam Churchill ujął ten program w niezwykle charakterystycznym sformułowaniu. Wskazując mianowicie, że Stany Zjednoczone „posiadają wielką bazę atomową na terytorium Anglii wschodniej", Churchill wywnioskował, iż „fakt ten ściąga na nas szczególne ryzyko i stawia nas na przedniej lini frontu... Z tego względu potrzebujemy ze wszechmiar i mamy wszelkie prawo do starania się i uzyskania jak najpełniejszej uwagi Amerykanów dla naszego punktu widzenia. Pewien jestem, iż Amerykanie tego nam nie odmówią".

Ta churchillowska pewność nie zdaje się być dziś monetą z lepszym pokryciem niż brytyjski funt szeterling. Dla Churchilla niebezpieczeństwo atomowej zagłady narodu jest, jak widać z powyższego, narzędziem przetargów z „wielkim przyjacielem zza Oceanu". Churchill — podżegacz wojenny Nr 1 — widzi swe podstawowe zadanie w organizowaniu trzeciej w swym życiu próby antykomunistycznej krucjaty. Churchill nie kwestionuje przy tym kierowniczej roli USA w obozie imperializmu. W przemówieniu, z którego cytat podaliśmy wyżej, Churchill oświadczył: „Po jednej stronie stoi ZSRR, państwa z nim sprzymierzone oraz fanatycy komunizmu w tak wielu krajach" a po drugiej „tzw. zachodnie demokracje grupujące się wokół USA, głównego na polu atomowym mocarstwa. Nie ma wątpliwości, po której stronie my stoimy". Churchill chciałby tylko, aby w organizacji agresji Amerykanie przyznali mu większy głos. Churchill chciałby, aby imperialiści amerykańscy nieco hojniej traktowali swych brytyjskich wspólników przy podziale zbrojeniowych łupów. Stąd żądania pomocy dolarowej i surowców dla brytyjskiego przemysłu.

Dla Amerykanów ten program Churchilla ma swe zasadnicze „dobre strony". Korespondent *Figaro* w Waszyngtonie porównując Churchilla z Attlee stwierdził, że w oczach Amerykanów Churchill to „solidny wełniany materiał z przedwojennych lat, a Attlee to bawełniany ersatz". Attlee pomimo całego oddania dla *Wall Street* ciągnął jednak za sobą bagaż „robotniczego przywódcy" i oczywiście nie mógł sobie pozwolić na tak bezpośredni i niemaskowany atak na prawa brytyjskiej klasy robotniczej, jak na to, przynajmniej zdaniem Amerykanów, pozwolić sobie może Churchill. Labour Party w „opozycji" jest w tej chwili dla *Wall Street* wygodniejsza niż u władzy, gdyż uzyska większe możliwości oszukiwania mas. Amerykanie nie mają żadnych wątpliwości, iż przywódcy Labour wykorzystają sytuację właśnie w tym sensie i że w ten sposób odciągać będą masy ludowe Wielkiej Brytanii od faktycznej walki z wojennym programem rządu. Przecież rada główna TUC, opanowanych przez Labour Party brytyjskich związków zawodowych, ogłosiła już, że „gotowa jest w pełni współpracować z nowym rządem". Z drugiej strony Churchill, otoczony nimbem najstarszego podżegacza wojennego i niejako nauczyciela swych dzisiejszych protektorów, jest mile widziany w kołach amerykańskich przywódców politycznych. Churchill u władzy — pisał skrajnie reakcyjny *New York World Telegram* — to wzmożenie brytyjskiego wysiłku zbrojeniowego. Mając te zasadnicze powody do zadowolenia z wyników brytyjskich wyborów, Amerykanie mają też jednak pewne „ale". Owo „ale" dotyczy właśnie churchillowskich roszczeń do uzyskania szerszego głosu w w atlantyckich decyzjach i do zdobycia większych dotacji finansowych.

hurchill jest reprezentantem tej gru-
wielkiego kapitału brytyjskiego,
órej losy są jak najściślej związane z
rzyszłością Imperium Brytyjskiego.
tóż Imperium Brytyjskie jest nie od
iś przedmiotem największych apety-
w amerykańskich i najzaciętszych
aków kapitału USA. Churchill do-
edł do władzy — i o tym warto pa-
iętać — w momencie szczytowego po
ojnie zaostrzenia sprzeczności anglo-
merykańskich. Amerykanie przyczynili
ę do wyparcia Wielkiej Brytanii z
ersji, i do poderwania jej gruntu pod
ogami w Egipcie. Amerykanie rozry-
ają już strefę szterlingową i otwarcie
opagują przyłączenie Australii do blo-
u dolarowego. Amerykanie swą poli-
ką na międzynarodowych rynkach
rowcowych przechwycili szereg pod-
awowych brytyjskich źródeł zaopa-
zenia, a podbijając ceny podważyli
e tylko strukturę brytyjskiego bilan-
handlowego, lecz również podstawy
szelkiej kalkulacji kosztów w prze-
yśle Anglii. Amerykanie zabierają
om niemiecki i rudy Algeru, zaopa-
ujące dotąd stalownie brytyjskie.
merykanie odziedziczyli po AIOC
szystkie jej rynki naftowe. Ameryka-
e domagając się ciągłego wzrostu
ytyjskich wydatków zbrojeniowych
bijają gospodarkę brytyjską i uzależ-
ają ją od swych dotacji i od wpły-
ów swego kapitału. Amerykanie roz-
ijają wielki przemysł Ruhry i Ame-
kanie finansują generalną ekspansję
zemysłu japońskiego na rynkach azja-
ckich dominiów brytyjskich. Amery-
anie, krótko mówiąc, wykańczają swe-
brytyjskiego sojusznika. W tej sy-
acji pewność Churchilla, iż USA „wy-
żą jak najpełniejszą uwagę dla bry-
jskiego punktu widzenia", jest co naj-
niej do zakwestionowania.

Bez względu na nieuniknione za-
trzenie tarć angloamerykańskich, dla
rodu brytyjskiego dojście do władzy Churchilla oznacza wzrost niebezpieczeństwa, wplątanie go w przygotowywaną przez blok atlantycki i zgubną dla Wielkiej Brytanii zbrojną krucjatę antyradziecką. Churchill bowiem dopatruje się możliwości rozwiązania a przynajmniej załagodzenia sprzeczności imperialistycznych właśnie w takiej krucjacie, właśnie kosztem wzmożonego wyzysku mas ludowych i w konsekwencji kosztem pchnięcia ich w nową awanturę wojenną na wspólny rachunek wielkiej burżuazji anglosaskiej. Dla narodu brytyjskiego dojście do władzy Churchilla oznacza więc konieczność wzmożenia walki o pokój, o realizację hasła rokowań między wielkimi mocarstwami i paktu pokoju.

Bliski Wschód — wielkie ognisko walki z imperializmem

Kiedy w roku 1948 amerykański podsekretarz dla spraw inwestycji zagranicznych, Thorp, użalał się, że amerykański kapitał prywatny nie wykazuje dostatecznego zainteresowania Europą zachodnią, organ *Wall Street* odpowiedział mu wskazując, iż Europa zachodnia jest „zbyt niepewnym terenem" i że rozwój ruchu robotniczego, a przede wszystkim istnienie potężnych partii komunistycznych w tej części świata zniechęcają inwestorów amerykańskich. *Wall Street Journal* podkreślił natomiast, że wręcz idealnym terenem dla amerykańskich inwestycji zagranicznych jest Bliski Wschód. Reakcyjni władcy, feodalne zacofanie, stosunkowa słabość klasy robotniczej, wieloletnie tradycje kolonialnej i nawpółkolonialnej eksploatacji — wszystko to w oczach *Wall Street Journal* musiało podnosić walory Bliskiego Wschodu.

3/4 amerykańskich inwestycji zagranicznych lokowano w ostatnich latach w przemyśle naftowym, 2/3 z tego przypadało na złoża naftowe na Bliskim

Wschodzie. Rejon ten reprezentuje ponad połowę zbadanych zasobów ropy świata kapitalistycznego. Blisko-wschodni robotnik naftowy pobiera płacę 10- i 12-krotnie niższą niż taki sam robotnik w USA.

Kiedy Churchill organizował interwencję 14 państw przeciw młodej Republice Rad, ukuł termin „miękkiego podbrzusza ZSRR", jego południowych granic w Azji południowo - zachodniej i Mniejszej i wskazał na Bliski Wschód jako najlepszą odskocznię dla takiej interwencji. Ta koncepcja przetrwała wiele lat i powtórzona została przez jej autora jeszcze w bieżącym roku, kiedy rozpoczęły się na dobre dyskusje w sprawie organizacji tzw. obrony Bliskiego Wschodu.

Bliski Wschód stanowił od lat domenę imperializmu brytyjskiego, właściwe centrum wszystkich dróg wiążących ze sobą Imperium Brytyjskie. Panowanie Brytyjczyków opierało się przede wszystkim na sile zbrojnej — w roku 1950 wojska brytyjskie stacjonowane były jeszcze na terenie 6 krajów bliskowschodnich. Drugim elementem panowania brytyjskiego były układy z „suwerennymi" rządami państw bliskowschodnich, układy najczęściej narzucone siłą. Takim układem był układ o koncesji naftowej w Persji z 1933, o bazach brytyjskich w Iraku z 1930, o kondominium w Sudanie z 1899, o okupacji Kanału Sueskiego z 1936. Brytyjskie siły zbrojne i brytyjska dyplomacja stały na usługach interesów gospodarczych i politycznych imperializmu City. Dochód narodowy na jednego mieszkańca jest w Wielkiej Brytanii 7-krotnie wyższy niż w Egipcie (a w Egipcie jest najwyższy ze wszystkich krajów blisko - wschodnich), ale za to w latach powojennych ponad połowa wszystkich wpływów z inwestycji zagranicznych Wielkiej Brytanii przypada na Bliski Wschód. AIOC płaciła Persji rocznie 12—13 milionów funtów. AIOC zarabiała na czysto 300—400 milionów funtów, jeśli uwzględnić ukryte zyski głównego udziałowca — rządu Wielkiej Brytanii — z tytułu zakupu nafty perskiej od AIOC po sztucznie niskich cenach.

Już w latach drugiej wojny światowej Bliski Wschód stał się przedmiotem wielkiej ofensywy imperializmu amerykańskiego. Ofensywa ta po zakończeniu wojny przybrała jeszcze na sile. Wykorzystując trudności finansowe i gospodarcze swego głównego konkurenta imperializm amerykański pozbawił go całego szeregu. pozycji gospodarczych i politycznych w tym rejonie. W Saudi-Arabii Amerykanie uzyskali monopol na złoża naftowe i monopol na wyznaczanie osoby ministra spraw zagranicznych tego kraju. W Syrii po paru „przykrych incydentach" polegających na kolejnym mordowaniu syryjskich premierów i głównodowodzących przez agentów konkurujących wywiadów imperialistycznych przewagę uzyskała ambasada amerykańska. W Turcji „doktryna Trumana" całkowicie zlikwidowała wpływy brytyjskie. W Egipcie Amerykanie wdarli się do rady nadzorczej towarzystwa Kanału Sueskiego. Ta ofensywa imperializmu amerykańskiego odbywała się pod podwójnym hasłem: z jednej strony, jak to stwierdził główny ekspert Departamentu Stanu dla spraw bliskowschodnich w latach drugiej wojny światowej, Hoskins, Wielka Brytania uznana została za „niezdolną do sprawowania nadal obowiązków obrony Bliskiego Wschodu" i wobec tego proklamowano przejęcie tych „obowiązków" przez Stany Zjednoczone. Z drugiej strony — na użytek Arabów — szermowano hasłem „antykolonialnej polityki" Departamentu Stanu, wykorzystując w najbardziej demagogiczny

osób nienawiść ludności arabskiej do
tyjskich ciemiężycieli.
W miarę jak Amerykanie usadawiali
na Bliskim Wschodzie, narody bli-
o-wschodnie zaczęły pojmować coraz
niej, że „przeciwnicy kolonialnej po-
yki" dysponują metodami tak dra-
eżnego wyzysku, że często znacznie
zewyższają swych brytyjskich kon-
rentów. Powszechne wzmocnienie
ozu socjalistycznego w wyniku dru-
ej wojny światowej oraz lat powo-
nnych — a w szczególności wspania-
zwycięstwo narodu chińskiego przy
dnoczesnym zaostrzaniu się kryzysu
obozie imperialistycznym i wzrasta-
cym w wyniku tego wyzysku ludów
iemiężonych — przyczyniło się do
ybkiego wzrostu świadomości naro-
wej w krajach arabskich. Rok 1951
ał się rokiem w znacznym stopniu
zełomowym dla rozwoju stosunków
Bliskim Wschodzie. Przełom polegał
tym, iż narody arabskie potrafiły po
z pierwszy zmusić swe reakcyjne rzą-
do wystąpienia przeciw imperializ-
owi, jak się to stało w wypadku Per-
i i Egiptu. W Persji znacjonalizowano
zemysł naftowy i usunięto władającą
rajem od 40 lat reprezentantkę imper-
lizmu brytyjskiego — Anglo-Iranian
il Co. W Egipcie, po trwających 5 lat
kowaniach i przetargach rząd zdecy-
wał się na wypowiedzenie narzuco-
ych Egiptowi traktatów z 1899 i 1936,
ddających Wielkiej Brytanii władzę
ad Sudanem i strefą Kanału Sueskie-
. Należy podkreślić, że te porażki im-
erializmu brytyjskiego nastąpiły nie
z pośredniego, a często i bezpośredniego
udziału amerykańskiego konkurenta.
tarając się o wyparcie Brytyjczyków
ch uprzywilejowanych stanowisk Ame-
kanie z natury rzeczy podważali po-
cje brytyjskie i ułatwiali wybuch.
łędem byłoby jednak sądzić, że dzia-
lność agentur amerykańskich jest przy-
czyną brytyjskich porażek. Rozkład Imperium Brytyjskiego na Bliskim Wschodzie — to proces o dużo szerszym znaczeniu i zasięgu, proces, u którego podstaw leży narodowo-wyzwoleńcza walka narodów arabskich. W konsekwencji jest to proces wymierzony ostrzem nie przeciw jakiemuś poszczególnemu przedstawicielstwu obozu imperialistycznemu i zasięgu, proces, u którego podrialistycznemu jako całości. Brytyjski tygodnik *Economist* świetnie zdawał sobie z tego sprawę ostrzegając już w maju br. Amerykanów, by „nie podcinali gałęzi, na której sami siedzą". O słuszności tych ostrzeżeń dyplomacja amerykańska miała możność przekonać się szczególnie dobitnie w październiku i listopadzie br.

W miarę jak postępują naprzód wojenne przygotowania obozu amerykańskiego, stara teza Churchilla o Bliskim Wschodzie jako idealnym terenie wypadowym przeciw ZSRR zyskuje sobie coraz większy aplauz w obozie podżegaczy wojennych. Bezpośrednio przed wypowiedzeniem przez Egipt traktatów z Wielką Brytanią trzy mocarstwa zachodnie z Turcją na dodatek wystosowały do państw blisko-wschodnich z Egiptem na czele propozycje przyłączenia się tych krajów do „organizacji obrony Bliskiego Wschodu". Propozycje te potwierdzone już w trakcie sesji ONZ w specjalnej „uroczystej" deklaracji przewidują utworzenie na Bliskim Wschodzie wspólnego dowództwa wojskowego, któremu podporządkowane byłyby i kontyngenty imperialistyczne w tym rejonie i armie narodowe poszczególnych państw bliskowschodnich. Wspólne dowództwo miałoby prawo utrzymywania baz wojskowych w krajach Bliskiego Wschodu i lokowania w tych bazach wojsk „obronnych". Aby zachęcić Arabów do przyjęcia tej koncepcji bezpośredniej anglo-amery-

kańskiej okupacji tych krajów i wykorzystania młodzieży arabskiej jako mięsa armatniego w trzeciej wojnie światowej, Kongres USA na wniosek Trumana uchwalił ponad pół miliarda dolarów na „pomoc wojskową" i gospodarczą" dla Bliskiego Wschodu w okresie do lipca 1952. Reakcja świata arabskiego na propozycje zachodnie była tak jednomyślnie negatywna, że skłoniła *New York Times* do smętnego stwierdzenia, iż „jak się zdaje, upłynie chyba kilkadziesiąt lat, zanim potrafimy pozyskać na nowo zaufanie chociażby rządów, jeśli już nie narodów arabskich". Rząd egipski jako pierwszy odrzucił oficjalnie propozycje zachodnie, stwierdzając, że nie może być mowy o przyłączeniu się Egiptu do bloku zachodniego, dopóki gwałcone są egipskie aspiracje narodowe. Sekretarz generalny Ligi Arabskiej, Azzam pasza, oświadczył: „Nie ma ani jednego Araba, który mógłby się zgodzić na takie koncepcje. Jeżeli państwa zachodnie pragną bronić Bliskiego Wschodu na zasadzie tego projektu, to będą musiały uczynić to bez współpracy Arabów i wbrew ich woli, stając się w rezultacie moralnymi agresorami. Kraje arabskie muszą odrzucić propozycje czterech, gdyż mają nader gorzkie doświadczenia z mocarstwami zachodnimi". Azzam pasza dodał: „Nasze stosunki z ZSRR są natomiast w porządku. Nie jesteśmy komunistami, ale nie życzymy sobie, aby ktokolwiek miał nas w razie wojny eksploatować, wszystko jedno czy na rzecz Wschodu, czy też Zachodu". Trzeba przyznać, że takim językiem reakcyjni przywódcy arabscy przemawiają po raz pierwszy. Oczywiście, niezupełnie z własnej woli. Kiedy syryjski premier Hakim oświadczył, że jemu osobiście bardzo podobają się zachodnie propozycje „wspólnej obrony" — Hakim konferował przedtem przez parę dni z ambasadorem amerykańskim — po 72 godzinach przestał być szefem rządu i został zmuszony przez masowe protesty ludności i parlamentu do podania się do dymisji.

Fiasko zachodnich „planów obronnych" na Bliskim Wschodzie jest oczywiste. Bliski Wschód przestał już być tą idealną bazą wypadową, o której marzyli naśladowcy Churchilla w Waszyngtonie. Nie oznacza to oczywiście, aby imperialiści zrezygnowali ze swych planów. W reakcyjnej prasie zachodniej podniósł się jeden wielki wrzask na temat zagrożenia „prestiżu i praw" Zachodu. Postanowiono nastraszyć Arabów „jednością mocarstw zachodnich" i jednocześnie uciec się do użycia najbrutalniejszej presji. Rząd brytyjski oświadczył, że nie wycofa się ani z Sudanu, ani z Suezu. Żołnierze brytyjscy mordują obywateli egipskich, konfiskują prasę egipską, przeprowadzają masowe rewizje i aresztowania. Okupacja maskowana przekształca się w okupację otwartą. Zarazem trwa jak najostrzejszy nacisk polityczny i ekonomiczny na rządy blisko-wschodnie, aby zmusić je do sprzeniewierzenia się woli całej ludności. Zgodnie jednak z oświadczeniem Azzam paszy Anglosasi nie mogą spodziewać się, że w ten sposób pozyskają wartościowych sojuszników, nawet jeśli ich olbrzymia przewaga umożliwia im utrzymanie baz wojskowych w krajach arabskich i nawet jeśli poszczególne rządy arabskie załamią się pod presją. Należy przy tym wskazać, że oficjalna mobilizacja „jedności mocarstw zachodnich" wcale nie przeszkadza kontynuowaniu zakulisowych tarć między tymiż mocarstwami. W połowie listopada prasa egipska doniosła, że ambasada USA zaproponowała kairskiemu MSZ, iż Stany Zjednoczone wycofają swe poparcie dla Wielkiej Brytanii w jej sporze z Egiptem, jeśli Egipt zgodzi się na zawarcie dwustronnego układu wojskowego z Waszyngtonem i na zastąpienie wojsk brytyjskich w strefie Ka-

łu przez amerykańskie. Zaostrzenie alk między imperialistami na Bliskim schodzie jest zresztą nieuniknione, kolwiek odbywać się może w bar- iej zamaskowanych niż dotychczas mach. Im bardziej bowiem zwężają pozycje imperialistyczne, im mniej- jest łup pozostający do podziału — m ostrzejsza o niego walka. W ten osób wydarzenia na Bliskim Wscho- le podwójnie przyczyniają się do osła- nia obozu imperialistycznego: zmniej- ają jego stan posiadania i zaostrza- wewnętrzne sprzeczności imperiali- yczne. Walka narodów arabskich jest ten sposób obiektywnym i ważnym ynnikiem ogólnoświatowej walki o po- j. Ponieważ zaś główne uderzenie rzymał imperializm na Bliskim Wscho- ie w swe najczulsze miejsce — pro- am przygotowań do agresji — wśród arodów arabskich rośnie też świado- ość, że walka o pokój jest nieodłącz- m elementem ich walki narodowo- yzwoleńczej. O wzroście tego poczucia viadczy burzliwy rozwój ruchu obroń- w pokoju w krajach blisko-wschod- ch — Egipcie, Persji, Libanie i Syrii. asło paktu pokoju i zakończenia agre- i na Korei jest, jak donoszą z niepo- ojem reakcyjni korespondenci praso- , coraz częściej wysuwane w trakcie emonstracji ludowych w Teheranie, airze i Damaszku.

5.XI. 1951 r. **Krzysztof Wolicki**

AKTUALNE ZAGADNIENIA DRAMATURGII RADZIECKIEJ

W tym miesiącu odbędzie się w Mo- kwie konferencja dramaturgów i re- yserów Rosyjskiej Federacyjnej Soc- alistycznej Republiki Radzieckiej — wołana przez Komisję dla spraw dra- aturgii przy Związku Pisarzy Ra- zieckich wspólnie z Komitetem dla praw sztuki przy Radzie Ministrów epubliki i Wszechzwiązkowym Towa- rzystwem Teatralnym. Celem konferencji jest wzmocnienie twórczej współpracy między pisarzami a teatrami, ożywienie twórczości dramatycznej drogą wzajemnej wymiany doświadczeń. Konferencja będzie stanowiła ważny etap rozwojowy także w kierunku rozwiązania wielu teoretycznych zagadnień dramaturgii radzieckiej.

Sprawy te stale wypływają na łamy prasy literackiej i teatralnej, są omawiane w organizacjach literackich. Dyskusja ożywiła się szczególnie w związku z pięcioleciem uchwał KC WKP (b) w sprawach ideologicznych.

Poznanie najważniejszych tez uchwały O repertuarze teatrów dramatycznych i sposobach jego poprawy ułatwi nam zrozumienie tych pozycji wyjściowych, z jakich wystartowali pisarze i działacze teatralni Związku Radzieckiego w okresie powojennym, pozwoli nam na właściwą ocenę przebytej przez nich drogi. W omawianej uchwale KC Partii stwierdził, że sztuk pisarzy radzieckich o współczesnej tematyce — w owym czasie, bezpośrednio po wojnie — było stosunkowo mało. Uchwała omówiła braki i błędy spotykane w niektórych utworach słabych, bezideowych. Główny zarzut dotyczył fałszywego, niezgodnego z rzeczywistością przedstawiania ludzi radzieckich; w przeciwieństwie do plastycznych postaci negatywnych bohaterowie pozytywni wypadali blado i nieprzekonywająco.

Uchwała postawiła przed pisarzami i działaczami teatralnymi zadanie „stworzenia wyrazistych, pełnowartościowych w znaczeniu artystycznym utworów z życia społeczeństwa radzieckiego, utworów o człowieku radzieckim. Dramaturgowie i teatry powinni w sztukach i widowiskach odtwarzać życie społeczeństwa radzieckiego w jego nieustannym rozwoju, powinni wszelkimi sposobami przyczyniać się do

dalszego rozwijania najlepszych cech charakteru człowieka radzieckiego ze szczególną siłą ujawnionych w czasie Wielkiej Wojny Narodowej... Jednakże — głosi uchwała — teatr powołany jest do tego, by zademonstrować, że zalety te występują nie tylko u ludzi wyjątkowych, u bohaterów, lecz u wielu milionów ludzi radzieckich" (cyt. z tekstu Uchwały w broszurze, wyd. *Gospolitizdat*, 1951 r.; str. 14).

Poza tym Uchwała KC WKP(b) podkreśliła konieczność podniesienia poziomu krytyki literackiej. W dziedzinie walki z bezideową, kosmopolityczną i formalistyczną krytyką Uchwała KC Partii pomogła bardzo skutecznie w zwalczeniu w r. 1948 grupy antypatriotycznych krytyków teatralnych.

Zagadnieniem tym zajęło się XII Plenum Zarządu Związku Pisarzy Radzieckich, które — podkreśliwszy znaczną poprawę repertuaru teatralnego pod wpływem omówionej Uchwały — stwierdziło jednak, że głównym hamulcem rozwoju dramaturgii była zła krytyka.

W okresie pięcioletnim po uchwałach KC Partii w sprawach ideologicznych — dramaturgowie radzieccy napisali wiele cennych utworów, w ciągu tego czasu kilkadziesiąt najcelniejszych sztuk wyróżniono Nagrodą Stalinowską.

W radzieckich czasopismach literackich i teatralnych ukazują się często artykuły syntetyczno - krytyczne, przeważnie pióra samych pisarzy. W bieżącym roku na łamach *Litieraturnej Gazety*, miesięcznika *Teatr*, czasopism literackich — wypowiedzieli się M. Pogodin, A. Ławreniew, K. Simonow, A. Sztejn, B. Romaszow, G. Mdiwani i inni.

Jakie najważniejsze zagadnienia dramaturgii wybijają się na czoło w tych wypowiedziach? Najistotniejszy problem — to sprawa wszechstronnej znajomości życia i rzeczywistości, sprawa wkroczenia w sam „gąszcz życia" — według wyrażenia Lenina. M. Pogodin w artykule Ideowość, życiowość — a kunszt (*Litieraturnaja Gazieta* nr 102) podkreśla, że dramaturgia radziecka może poszczycić się dużymi osiągnięciami, jeśli chodzi o zbliżenie się do naglących zagadnień współczesności. Niekiedy jednak — zauważa autor Człowieka z karabinem — brak dostatecznej głębi w ujęciu tych spraw i — co najczęściej idzie w parze — artystycznie pełnego opracowania tworzywa. Przyczyną tego — zdaniem Pogodina — jest przede wszystkim „nieznajomość życia i potrzeb duchowych narodu, nieumiejętność odtwarzania najlepszych cech i zalet człowieka radzieckiego. Właśnie tu tkwią korzenie niepewności, niedokładności, przybliżoności, tak częst występujących w sztukach na tema naszej rzeczywistości i — prawdopodobnie — właśnie dlatego, z powodu niedostatecznej umiejętności zaobserwowania i przemyślenia prawdziwych procesów zachodzących w naszym społeczeństwie — wielu dramaturgów podchwytuje jakiś cudzy sukces w dziedzinie tematyki, konfliktu, tworzy z niego szablon, bez prawdziwego zrozumienia, zastępując kunszt — rzemiosłem artyzm — schematyzmem, życie — literackością".

Na przykładzie nieudałej sztuki K. Finna Uczciwość, w której autor szablonowo powtórzył konflikt kiedyś przed laty prawdziwie artystycznie odtworzony przez A. Surowa w sztuce Daleko od Stalingradu Pogodin przedstawił opłakane — zarówno pod względem ideowym jak i artystycznym — skutki takiego naśladownictwa.

To samo zagadnienie poruszył autor artykułu wstępnego Ideowość i kunszt w numerze 101 *Litieraturnej Gazety*, podkreślając, że niektórzy dramaturgowie jeszcze ciągle nie nadążają

ą za życiem; niekiedy zapominają, iż yczucie tego co nowe jest niezbędne la pisarza radzieckiego. Niektórzy dra- naturgowie — zdaniem autora artyku- u — ciągle jeszcze konstruują swoje ztuki na nietypowym już dziś, ba! nie darzającym się w dzisiejszej rzeczywi- tości radzieckiej — konflikcie między owatorem a jego — skostniałym w ru- nie — przełożonym. Świadczy to o tym, e autorzy ci nie kierują się doświad- zeniem ani obserwacją życia, lecz sche- natem, szablonem. Tym samym łamią odstawową zasadę realizmu socjalis- cznego — prawdę życiową.

„Właściwe ujęcie konfliktu drama- ycznego, istniejącego w życiu — czy- amy w omawianym artykule — to ielki akt twórczy. Wybrać z tysięcy rzejawów rzeczywistości takie zjawis- o typowe, w którym ujawniają się rawa naszego marszu do komunizmu, najdują wyraz najlepsze rysy charak- eru człowieka radzieckiego — to zna- zy twórczo zaobserwować i pojąć ży- ie. Tylko pod tym warunkiem może isarz przejawy rzeczywistości wcielić w prawdziwie artystyczne obrazy".

Dramaturg musi ciągle uczyć się, po- znawać życie, wnikać w jego sedno. Wspomniałem o właściwym wyborze k o n f l i k t u d r a m a t y c z n e - g o. Z kolei przechodzę do tego pro- blemu. Sprawę postawienia konfliktu dramatycznego — na obecnym etapie stopniowego rozwoju od socjalizmu do komunizmu — naświetlili autorzy oma- wianych artykułów dość szczegółowo. M. Pogodin w artykule zamieszczonym w sierpniowym numerze *Teatru* pt. O d- p o w i e d z i a l n o ś ć d r a m a t u r g a pisze, że konflikt stanowi istotę dra- matu, że dramat bez konfliktu jest nie do pomyślenia.

Autor artykułu wstępnego w tymże numerze *Teatru* wylicza przykładowo nowe tematy i konflikty, jakie rodzą się w walce z przeżytkami kapitalis- tycznymi tkwiącymi w świadomości i bycie jednostek zacofanych. Są to konflikty nieantagonistyczne, jakie dra- maturgom podsuwa samo życie, kon- flikty, w których rozwiązaniu biorą pi- sarze aktywny i twórczy udział. Kon- flikty te rodzą się w walce nowego ze starym, prowadzonej przy pomocy bol- szewickiej krytyki i samokrytyki — jak wyżej powiedziałem — z przeżytkami kapitalistycznymi wywołanymi zacofa- niem, które przybiera wieloraką postać. Walka toczy się o zdemaskowanie i wy- korzenienie przeżytków nacjonalistycz- nych, mieszczańskich; o usunięcie wpły- wu idealizmu filozoficznego, różnora- kich idei i teorii sprzecznych z mar- ksizmem-leninizmem. Są i inne źródła powstawania konfliktów dramatycz- nych: zwalczanie najróżnorodniejszych form zacofania przejawiającego się w psychice np. w lęku przed wszystkim nowym, w nadmiernej pewności siebie i dufności, w ciasnym praktycyzmie, w karierowiczostwie itp.

Proces zacierania się różnic między pracą fizyczną a umysłową, głębokie przemiany w psychice, usposobieniu, nawykach, jakie towarzyszą nowator- stwu, w ogóle ogromne przemiany w rzeczywistości radzieckiej, wszystko to odbywa się wśród walki, w drodze ujawniania i opanowywania sprzeczno- ści nieantagonistycznych.

O konfliktach tych czytamy w arty- kule A. Karaganowa pt. K o n f l i k t a c h a r a k t e r (*Sowietskoje Iskus- stwo* nr 81):

„Miejsce konfliktu w dramacie ra- dzieckim określa to, co leży u podstaw odtwarzanej w sztuce rzeczywistości... Sztuki radzieckie przedstawiają za- sadę bolszewickiej krytyki i samokry- tyki w działaniu, w walce o wykorze- nienie ze świadomości ludzi przeżytków kapitalistycznych, o wychowanie mas w duchu moralności komunistycznej. Te z natury rzeczy jakościowo różniące

się od konfliktów antagonistycznych (klasowych — J. S.) konflikty moralne są nieraz bardzo ostre... W sztukach o ludziach radzieckich — wywodzi w dalszym ciągu Karaganow — przy pomocy krytyki i samokrytyki ujawnia się i likwiduje odtwarzane w nich konflikty; krytyka i samokrytyka staje się podstawowym napędem akcji dramatycznej".

Karaganow wymienia też inny, nowy rodzaj konfliktów odtwarzanych w dramaturgii radzieckiej. Uczciwa, ofiarna praca socjalistyczna stała się w Związku Radzieckim regułą, starcia między ludźmi rodzą się więc nie na gruncie różnic w pojmowaniu swoich obowiązków wobec społeczeństwa, lecz na tle różnic w pojmowaniu praktycznego rozwiązania zagadnień, jakie stawia przed ludźmi radzieckimi życie, np. w pojmowaniu współpracy zespołowej, nowatorstwa itp. Oczywiście pozostaje to w ścisłym związku z różnicami w poziomie i wyrobieniu ideowym. Sprzeczności te zawsze wywołują starcia. Konflikty tego rodzaju, nieraz bardzo ostre i pełne dramatycznego napięcia, nie dzielą jednak ludzi radzieckich, lecz łączą, zespalają wokół wspólnego celu społecznego.

Jakie warunki potrzebne są do trafnego w y b o r u konfliktu dramatycznego? Przede wszystkim: wszechstronna i głęboka znajomość życia. Pisarz studiuje rzeczywistość jako jej współtwórca; ujawnia typowe, ostre konflikty dramatyczne, by tę rzeczywistość swoją twórczością — za pośrednictwem odbiorców swojej sztuki — przekształcać, formować.

Zdaniem Karaganowa — wysnutym z faktu, że pomimo poruszenia ważnych problemów niektóre sztuki nie zyskują uznania widowni — dramaturgowie najczęściej doznają niepowodzenia nie w wyborze konfliktu, lecz w jego artystycznym wcieleniu. Wszystko zależy więc o d k u n s z t u d r a m a t u r g i c z n e g o, od umiejętności przedstawienia konfliktu dramatycznego w pełnej prawdzie artystycznej. Osiąga ją autor sztuki tylko wówczas, gdy ideę utworu wciela w żywe postacie z krwi i kości, gdy widz wierzy w prawdziwość tych postaci.

W referacie na temat Z a g a d n i e n i a d r a m a t u r g i i r a d z i e c k i e j a t w ó r c z o ś ć m ł o d y c h d r a m a t u r g ó w, wygłoszonym na II Wszechzwiązkowej Konferencji młodych pisarzy w marcu br., M. Pogodin zacytował wypowiedź Gorkiego w sprawie kunsztu dramaturgicznego.

„Forma dramatyczna — to najtrudniejsza forma literatury. Pisarzom początkującym wydaje się, że dramat jest łatwy i wygodny, bo — od pierwszego wiersza do ostatniego — można go pisać dialogiem... Ale dramat wymaga ruchu, aktywności bohaterów, silnych uczuć, gwałtownych przeżyć, zwięzłości i jasności słowa. Gdy tego nie ma — nie ma dramatu. Wypowiedzieć zaś to jedynie tylko rozmową, dialogiem — nadzwyczaj trudno i rzadko kiedy udaje się nawet doświadczonym pisarzom.

Można powiedzieć, że do napisania dramatu — oprócz talentu pisarskiego — trzeba wielkiej umiejętności kształtowania ścierających się zamierzeń, dążeń, umiejętności szybkiego rozwiązywania tych starć z niezachwianą logiką; tą logiką ma jednak kierować nie samowola autora, lecz siła samych faktów, charakterów, uczuć" (cyt. z art. Pogodina — *Litieraturnaja Gazieta* nr 83).

Kunszt dramaturgiczny — mówił Pogodin w referacie na Konferencji — polega przede wszystkim na kunszcie władania słowem. S ł o w o s c e n i c z n e ma do spełnienia dwie funkcje tworzy i posuwa akcję, wyraża charaktery postaci występujących w dramacie. Z tych dwóch czynników kształ-

je się forma artystyczna utworu scecznego. By sztuka spełniła zamierzo- przez autora cele ideowo-artystycz-, musi słowo sceniczne swobodnie, sno i wyraziście dotrzeć do świadoości i wrażliwości widza.

Dramaturg jest w znacznie trudniejej sytuacji niż prozaik, który stale warzyszy swoim bohaterom, dopoiada czytelnikowi wszystko, co jest trzebne dla lepszego poznania ich yśli, uczuć, zamierzeń, charakterów, upełnia uwagami autorskimi. „...Trzya ich (bohaterów) na niteczkach swoh celów, lekko i swobodnie — nieporzeżenie dla czytelnika — bardzo innie, lecz samowolnie kieruje ich ynami, słowami, sprawami, wzajemmi stosunkami..." — jak powiedział orki w analizie porównawczej dramargii i prozy (cyt. według artykułu . Kalitina Temat i charakter, *amia*, nr 10/1950 str. 174). Tych szystkich możliwości pozbawiony jest amaturg.

O zestawieniu porównawczym, o wzamnych wpływach dramaturgii i pro- pisał Pogodin w cytowanym już yżej artykule Odpowiedzialość dramaturga:

„Utarło się zdanie, że dramaturgia ostaje w tyle za prozą. Sądzę, że dna z wielu bolączek dramaturgii legа właśnie na tym, że zbyt zbliżyse (upodobniła) do prozy. Utwory amatyczne pisze się często nie wetug prawideł dramatu, lecz beletryyki..."

Pogodin zastanawia się nad faktem ebywałego powodzenia niektórych scenizacji powieści np. Młodej wardii, Szczęścia i innych. ajwidoczniej inscenizacje powieści zaierają więcej pierwiastków dramacznych niż niektóre utwory napisane prost dla sceny. „Skojarzenie treści eowej i kunsztu dramaturgicznego — konkluduje Pogodin — to wielkie twórcze zagadnienie pisarskie."

Punktem centralnym dramatu — są postacie bohaterów. W radzieckich klasycznych utworach dramatycznych (dramaty Gorkiego, Trieniewa Lubow Jarowaja, Iwanowa Pancernik 14 — 69, Ławrieniewa Przełom, Wiszniewskiego Niezapomniany rok 1919 i inne) wielkie wydarzenia i skomplikowane procesy historyczne odtworzone są we wzajemnych stosunkach i starciach konkretnych ludzi. W każdej z tych postaci stapia się, zespala w sposób realistyczny czynnik indywidualny i społeczny; postacie te cechuje wyrazisty rysunek charakteru.

O odtwarzaniu postaci bohaterów w dramaturgii radzieckiej pisał A. Karaganow w cytowanym wyżej artykule:

„Dramaturgia radziecka ma już niemały dorobek w dziedzinie odtwarzania człowieka w procesie rozwijania się i opanowywania sprzeczności i konfliktów antagonistycznych. O wiele skromniejsze jest jej doświadczenie w odtwarzaniu konfliktów nieantagonistycznych, w obnażaniu charakterów ludzi ścierających się w tych konfliktach".

Ze wszystkich artykułów i wypowiedzi radzieckich dramaturgów i krytyków przebija głęboka troska o dalszy rozkwit dramaturgii w obliczu zadań, jakie nakłada na nią okres wielkich budowli komunizmu.

Józef Spinc

PISARZE I ARTYŚCI NIEMIECCY W WALCE O POKÓJ

Gorączkowo prowadzona remilitaryzacja Niemiec zachodnich, której kategorycznie sprzeciwia się poważna większość niemieckiego społeczeństwa, musiała wywołać reakcję również wśród

pisarzy i artystów. Upadek kultury w Trizonii, schlebianie najniższym instynktom, astrologia i pornografia jako źródło pisarskich natchnień, nawrót do haseł hitlerowskich, kabotyństwo i nihilizm jako cnoty „intelektualistów" kawiarnianego życia zachodniego Berlina, Frankfurtu i Düsseldorfu, trywializacja tematyki filmowej przy równoczesnym naśladowaniu hollywoodzkich wzorów i taniej imitacji sartrowskiego teatru, nie od dzisiaj są nieustającą troską owej grupy postępowych pisarzy niemieckich, zdających sobie doskonale sprawę z powagi sytuacji oraz niebezpieczeństwa, jakie grozi kulturze niemieckiej, tak dotkliwie niszczonej w epoce brunatnego terroru.

Kurs na moralną remilitaryzację, na zatruwanie młodych dusz hasłami odwetu i nienawiści, nie pozostał oczywiście bez wpływu i na dawnych stypendystów Goebbelsa, wypoczywających dotąd w swych wspaniałych rezydencjach i komfortowych willach kupionych za honoraria hitlerowskich wydawców. W nowej glorii ukazują się powojenne rękopisy takich ideologów faszyzmu jak Ernst von Salomon i E. E. Dwinger, jak August Scholtis i Ernst Jünger. Ich kolizje z Hitlerem miały swoje źródła w interpretacji posłannictwa Germanów. Głosili te same recenzyjne i szowinistyczne idee z nieco innym odcieniem. Ci to pisarze są dzisiaj w czołówce propagandy amerykańskiej w Bonn, ich nowe książki plasowane są na najlepszych warunkach i w największych nakładach.

Ten stan rzeczy niepokoi odpowiedzialnych pisarzy niemieckich. Dla tych pisarzy sprawa pokoju i jedności ojczyzny równa się możliwości odrodzenia demokratycznej kultury niemieckiej, nadziei współpracy z innymi narodami, ich kulturą i osiągnięciami. Walka z remilitaryzacją na odcinku kulturalnym stała się więc palącą kwestią dla wszystkich patriotycznych i postępowych elementów w pisarstwie niemieckim po obu stronach rzeki Łaby.

Bert Brecht, w apelu do pisarzy i artystów niemieckich, powiedział słowa głębokiej prawdy, które zmobilizowały wielu pisarzy do walki o pokój. Słowa te napisane zostały w liście otwartym w kilka dni po apelu premiera NRD Otto Grotewohla, domagającego się ogólnoniemieckich rozmów w sprawie zjednoczenia Niemiec i zawarcia traktatu pokojowego. Brecht przypominał „Kartagina prowadziła trzy wojny. Po pierwszej — jeszcze mogła żyć. Po drugiej — były ruiny i zgliszcza. Po trzeciej — przestała istnieć".

Ten kartagiński problem powojennych Niemiec w obliczu tworzenia w Trizonii amerykańskich baz wojennych do przyszłej agresji stał się nie obsesją ale hasłem do walki z podżegaczami wojennymi. Niespodzianką dla wielu odwetowców spod znaku Jakuba Kaisera, przywódcy rewizjonistów w Bonn był nie tylko protest wielu znanych pisarzy w zachodnich Niemczech, ale ich bliska współpraca z pisarzami NRD. Tacy zasłużeni prozaicy i poeci jak Johannes Tralow, Ernst Pentzold, Walter von Molo, Georg Schwarz, Hans Henny Jahnn, Günther Weisenborn, Martin Behaim-Schwarzbach, Hans Erich Nossack, Axel Eggebrecht — wyliczymy tylko najbardziej poczytnych — nie tylko odezwali się na apel Berta Brechta, ale przystąpili do wspólnej walki o pokojowe i zjednoczone Niemcy w skali narodowej.

Walka ta, prowadzona zresztą już od roku, kiedy nastąpiło pierwsze spotkanie pisarzy NRD z ich zachodnimi kolegami w Monachium, nie jest bynajmniej prosta i łatwa. Pisarze walczący o jedność Niemiec w zachodnich stronach swej ojczyzny spotkali się od razu z koncentrycznym ogniem płat

ch agentów Wall Street oraz ich nie-ieckich pomocników.

Na terenie zachodnich Niemiec istnie-w tej chwili dwa ośrodki prowadzą-na odcinku kulturalnym moralną militaryzację i antywschodnią kam-nię. Pierwszy — to niemieckie ntrum tzw. Kongresu wolności kul-ralnej, pozostającej pod patronatem negatów i agentów pokroju Artura estlera i Melwyna Lasky'ego. Klika wspierana finansowo przez władze erykańskie, wydaje w Berlinie mie-cznik *Der Monat*, gdzie współpra-ją niemieccy truciciele młodego po-lenia, jak Günther Birkenfeld, Franz rkenau i Ernst Tillich. Zadaniem upy *Der Monat* (która opanowała wnież jedną z radiowych central an-wschodniej dywersji — RIAS w Ber-ie, nieodrodnej siostry *Voice of Ame-a)* jest przekupstwo i deprawacja sarzy oraz gloryfikacja „amerykań-iego stylu życia". Bajeczne honora-a, wycieczki do USA, przekłady na ele języków — oto niektóre ze środ-w, prowadzące do celu: do korupcji sarza (zgodnie z amerykańskim „sty-m" życia). Pismo to redaguje dyspo-nt kasy *Wall Street* w Trizonii, spomniany Melwyn Lasky, postać miętna z organizacji Kongresu Ju-szów w Berlinie, który pod hasłem brony kultury" podżegał do wojny apelował do Trumana o użycie bom-atomowej (na wniosek Jamesa rnhama).

Drugim ośrodkiem takiego promie-owania na niemiecką kulturę jest maryla reakcyjnych pisarzy nie-ieckich, zgrupowanych dokoła Aka-mii Językoznawstwa i Sztuki w rmstadcie, na której czele stoi pu-icysta i piewca hugenberszczyzny — dolf Pechel, wydawca miesięcznika *eutsche Rundschau* (finansowanego zez magnatów Zagłębia Ruhry).

Pechel, który w okresie agonii wei-marskiej republiki należał do protago-nistów Papena i domagał się nazajutrz po hitlerowskim przewrocie usunięcia z Akademii Sztuki Henryka Manna i Maxa Liebermanna, podczas wojny na zlecenie Goebbelsa kierował odcin-kiem kulturalnego penetrowania tych kół niemieckiego społeczeństwa, które z trwogą przypatrywały się nieuchron-nej katastrofie Niemiec. Pechel był więc tym człowiekiem, który miał po-zyskać „oporne" elementy dla ludobój-czej polityki Hitlera. Dlatego też przez wiele lat pozwalano mu wydawać *Deu-tsche Rundschau* i dopiero gdy wysiłki jego spełzły na niczym, miesięcznik ten zamknięto. A było to już po Sta-lingradzie.

Po wojnie Rudolf Pechel wznowił przy pomocy władz brytyjskich i swoich reńskich protektorów *Deutsche Rund-schau*, głosząc na jej łamach aktywną rehabilitację nacjonalizmu i szowiniz-mu. Co więcej, wkrótce wydał książkę o uczestnikach puczu 20 lipca 1944 na życie Hitlera, która stała się apologią reakcyjnych generałów, pragnących usunąć Hitlera od rządów tylko po to, aby uratować niemiecki imperializm. Po tej linii szła zresztą cała publicys-tyka Pechla i jego kliki, zgrupowanej wokół wspomnianej wyżej Akademii Językoznawstwa w Darmstadcie.

O ile celem akcji Lasky'ego i grupy *Der Monat* było przede wszystkim ideologiczne powiązanie międzynaro-dowych reakcjonistów i renegatów kla-sy robotniczej, o tyle Pechel i jego przyjaciele polityczni zajęli się odcin-kiem wyłącznie niemieckim. Temu cho-dziło nie tylko o skaptowanie pisarzy na usługi bloku atlantyckiego, ale prze-de wszystkim o scementowanie czołów-ki nacjonalistycznych pisarzy niemiec-kich jakoby dla „misji germańskiego przedmurza". Wkład magnatów reń-skich w Plan Schumana, owej wielkiej

kuźni *Wall Street* w sercu Europy, miał iść równolegle do moralnego udziału reakcyjnych pisarzy w dziele psychicznej remilitaryzacji. A fundusze, płynące z waszyngtońskiego Pentagonu (ministerstwo wojny) do kasy Lasky'ego uzupełniały miliony z Planu Marshalla, przeznaczone na przekupstwo prasy niemieckiej oraz stypendia dla wydawców.

Z tych właśnie powodów oraz w atmosferze pogróżek wojennych zarówno pogrobowcy Trzeciej Rzeszy w rodzaju Ernsta Jüngera czy Bluncka, Willa Vespera czy Hansa Grimma, jak i moralni grabarze Weimaru, torujący Hitlerowi drogę do władzy, jak właśnie sam Pechel, K. F. Boree, Kasimir Edschmid, Rudolf Binding, a nawet uprawiający strusią politykę „neutraliści" w rodzaju Ericha Kaestnera czy Carla Zuckmayera — opowiedzieli się niedwuznacznie za polityką rozłamu i podziału Niemiec, za wojną a przeciw pokojowi.

Akcję dywersyjną rozpoczęto nie tylko od pisania nowych dzieł i wskrzeszenia starych, wzorowanych na hitlerowskich brewiarzach, ale przede wszystkim ogłoszono nagonkę na postępowych pisarzy, których twórczość przenika na rynek wydawniczy. Zohydzono w oczach niezorientowanych czytelników nie tylko książki, ale i postacie takich ludzi, jak Anna Seghers, Arnold Zweig, Bert Brecht, Friedrich Wolf, posponowano pamięć Henryka Manna, ostatnio zaś i Kellermanna. Ileż przekleństw i nienawiści spadło na głowę Tomasza Manna, który ze swej kalifornijskiej pustelni w *Pacific Palisades* miał odwagę bronić pokoju i godności jego bojowników! Ile obmów i zawiści dotknęło takich pisarzy jak Lion Feuchtwanger czy Bodo Uhse, nie mówiąc już o plejadzie utalentowanych pisarzy młodszego pokolenia, jak Eduard Claudius, Kuba (Kurt Bartel) czy Stefan Hermling?! Siewcy nienawiś którzy prócz odwetu i rasowego szał prócz germańskiej mitologii oraz im tacji Nibelungów, niczego wnieść n mogą do powojennej literatury ni mieckiej, rzucili się jak stado krukó na obóz postępu i pokoju, usiłując n cjonalistyczną histerią powstrzym rosnący z dnia na dzień front bojov ników o pokojowe i zjednoczor Niemcy.

Ani hitlerowskie doświadczenia, a pieniądze agentów *Wall Street*, a wygrywanie najniższych instynktó (choć w okresie bardzo temu sprzyj jącym, gdzie w Trizonii miliony bezr botnych i opuszczona młodzież stan wią, zdawać by się mogło, łatwy żer d hitlerowskich hien) w okupowany kraju, nie powstrzymały pokojowe nurtu wśród pisarzy i artystów międ Renem i Odrą. Mimo koncentryczny ataków, mimo represji i szantażu, twó com moralnej remilitaryzacji nie ud ło się ani opanować niemieckiego PE Clubu, ani też przeszkodzić w utworz niu ogólnoniemieckiego komitetu pisa skiego dla jedności Niemiec.

Gdy przed rokiem nastąpiło pierws spotkanie pisarzy Trizonii z ich kol gami z NRD celem wypracowania pr gramu Kongresu Kultury (wyznacz nego na czerwiec br. w Lipsku) Pech i renegat Theodor Plivier w liś otwartym, drukowanym na łama amerykańskiej urzędówki *Die Ne Zeitung* domagali się rozłamu. Odp wiedzią postępowych pisarzy i art stów zachodnich Niemiec był maso udział w Kongresie Kultury w Li sku, gdzie Johannes Becher w stąpił z ideową deklaracją pisar walczących o pokojowe i zjednoczo Niemcy.

Potępienie remilitaryzacji, związan go z nią dekadentyzmu i nihilizmu literaturze, obrona moralnych warto i wychowanie młodego pokolenia w d

pokojowej współpracy narodów — naczelnymi postulatami Kongresu Lipsku. Z referatów wygłoszonych przez zachodnich delegatów mo- było odtworzyć obraz upadku lite- ry w Trizonii i wysiłki młodych rzy, walczących o nową treść prze- panoszącej się w Trizonii modzie generalskie wspomnienia, pamięt- zbrodniarzy wojennych i podobne katechizmy odradzającego się mili- zmu.

październikowym walnym zgro- zeniu niemieckiego PEN-Clubu w eldorfie, gdzie pokojowa grupa pi- niemieckich odniosła całkowite cięstwo, próby rozłamu spaliły raz cze na panewce.

asło lansowane przez postępowych rzy: „Literaci i artyści do współ- stołu" odniosło właśnie w Düs- rfie swój pierwszy triumf. Nieza- olenie poważnej większości niemiec- o społeczeństwa z wojennej poli- Adenauera oraz protesty przeciw- ezceremonialnej remilitaryzacji ko- n klasy robotniczej i spauperyzo- ej inteligencji, musiały odbić się ksem na obradach niemieckiego -Clubu.

pisarzy z Erichem Kaestnerem, mirem Edschmidem, K. F. Bo- em i Georgem von der Vringem tąpiło z organizacji. 34 pozostało brało nowe prezydium, w skład któ- weszli między innymi z Zachodu— nnes Tralow, Günther Weisenborn ns Henny Jahnn, z NRD zaś — nnes Becher. Pisarze zachodni zło- ponadto deklarację nawiązania ych rozmów z NRD w sprawie wrócenia jedności ojczyźnie. „Je- ny kategorycznie przeciwni pogłą- szerzonemu przez pewnych pisa- — powiedział na zebraniu poeta H. ahnn — jakoby udział w walce o ość Niemiec na terenie Trizonii stać się przedmiotem czyjejkol- wiek podejrzliwości". Usiłowania grupy Pechla zastosowania metod waszyngtońskiej Komisji dla badania antyamerykańskiej działalności spełzły więc na niczym! Postępowi pisarze niemieccy odnieśli w Düsseldorfie nowe zwycięstwo w obronie niemieckiej kultury, poprzez kordon amerykański nad Łabą budując jeszcze jeden pomost porozumienia na drodze do jedności Niemiec.

Niemiecka elita umysłowa pokazała podżegaczom wojennym, że jest za pokojem, za porozumieniem między Niemcami i za jednością. W obliczu niesłychanych wysiłków amerykańskiej propagandy, której nie obce są przecież metody zastraszenia i terroru, szantażu i obmowy, pozytywne rezultaty zarówno Kongresu Kultury w Lipsku, listów otwartych Brechta i Wolfganga Langhoffa (które znalazły echo w wystąpieniach pokojowych tak wpływowych ludzi zachodniego teatru jak Bolesław Barlog, dyrektor *Schiller-Theater* i Victor de Kowa z *Renaissance-Theater* w Berlinie), a w końcu zwycięstwo nad siłami reakcji na zebraniu w Düsseldorfie stały się poważnym wkładem niemieckich pisarzy i artystów na nowym etapie walki o pokój.

Marian Podkowiński

NOTATNIK AMERYKAŃSKI

Niechybne przeznaczenie

Dean Acheson, sekretarz stanu, to człowiek prawdziwie subtelny i kulturalny. Wystarczy spojrzeć na jego sylwetkę pełną wytworności, na rożek chusteczki ułożonej z równą niemal precyzją, starannością i poczuciem piękna jak u jego szefa, niezrównanego pod tym względem Harry S. Trumana. Wystarczy pomówić z nim o sztuce, o delikatnych drgnieniach duszy ludzkiej, by przekonać się, ile własna jego dusza

zawiera wrażliwości i wdzięku. Ale Dean Acheson nie rozumie — choć przecież jest prawnikiem — jak i dlaczego zarobienie kilku milionów można nazwać czasami złodziejstwem, a niedotrzymanie umowy — łajdactwem. Bo jeżeli udało się?... Nie tylko Dean Acheson jest głęboko przekonany, że powodzenie zastępuje wszystko. Cała filozofia życiowa USA i cała moralność — zarówno w życiu codziennym jak i w życiu publicznym — opiera się na przeświadczeniu, że sukces jest najwyższym kryterium etyki, pod jednym tylko warunkiem — trwałości.

W roku 1832 liczna armia amerykańska wyruszyła na podbój terenów zajmowanych przez Indian Seminolów. Ale trzykroć słabsze oddziały Indian, pod wodzą utalentowanego Osceoli zadawały Amerykanom klęskę po klęsce. Wobec tego zaproponowano Osceoli rokowania, wydano mu list żelazny i zaproszony do kwatery generała Zachariasza Taylora, późniejszego prezydenta USA. Tam, pod osobistym dozorem przyszłego (Taylora) i na osobisty rozkaz urzędującego prezydenta (Jacksona), na „ziemi wolnych, w siedzibie dzielnych" *), list żelazny zastąpiono żelaznym drągiem i kajdanami; Osceola wkrótce potem zmarł w więzieniu „w okolicznościach niejasnych", jak mówi historyk, a właściwie zupełnie niedwuznacznych. Ale opór Seminolów został złamany, toteż Jackson i Taylor uchodzą po dziś dzień za bohaterów narodowych. Inny prezydent, Harrison, jeszcze jako „bohaterski" generał kazał żywcem ćwiartować wodza czerwonoskórych, Tecumseha, a z jego skóry wykonać szereg „przedmiotów pamiątkowych". Szczegóły te można znaleźć w każdej obszerniejszej historii Indian amerykańskich. Ilse Koch musiała się w tym rozczytywać.

*) Słowa hymnu narodowego USA.

Od owych czasów minęło z górą sto lat, ale tradycje prezydenckie przetrwały i drąg żelazny i obdzieranie ze skóry pozostają nadal w arsenale środków polityki USA. Jaskrawe tego przejawy widzimy na Korei i w zachowaniu się wytwornego Dean Achesona w San Francisco, Ottawie i Paryżu.

Ekspansja Stanów Zjednoczonych datuje się od zarania ich istnienia, ale szczególnego wigoru nabrała w połowie ubiegłego wieku. Wówczas też dorobiono do niej „ideologię", a nawet coś w rodzaju metafizyki. Ukuto wówczas termin Niechybne przeznaczenie — *Manifest Destiny* — oznaczający, iż w planach Opatrzności leży, by USA zawładnęły całą Półkulą Zachodnią. Dziś Niechybne przeznaczenie podszeptuje Trumanom Achesonom oraz Olimpijczykom z *Wall Street* władztwo już nie półkuli lecz całej kuli ziemskiej.

Program ekspansji na zachód, ku wybrzeżom Pacyfiku i dalej, sformułował najdobitniej Seward, sekretarz stanu za prezydentury Lincolna. Ten sam Seward, który w roku 1864 odmówił udziału w platonicznym zresztą proteście, założonym pod naciskiem opinii publicznej przez Paryż, Londyn i Wiedeń przeciw okrucieństwom rządu carskiego srożącym się w Polsce po zdławieniu powstania. Ten sam Seward, który za 7.200.000 dolarów kupił od cara Alaskę terytorium dwakroć większe niż pierwotny obszar USA. Metodę posługiwania się dolarem doprowadził do perfekcji Knox, sekretarz stanu z okresu przed I wojną światową, który pierwszy użył na określenie swego systemu terminu *dollar diplomacy* — dyplomacja dolarowa.

W okresie poprzedzającym wojnę domową (1861—65) pełnienie woli Niechybnego przeznaczenia spoczywało w ręku feodałów Południa

ojna wydarła władzę z ich rąk i do-
owadziła do zniesienia niewolnictwa
urzynów. Nie oznaczało to jednak rze-
ywistego wyzwolenia kolorowej lud-
ości Stanów. Po pewnym okresie zma-
ń i pertraktacji doszło w roku 1876
trwałego porozumienia między czyn-
kami rządzącymi stanów północnych
południowych. Zasady układu były
oste: Murzynów wydano na łup reak-
plantatorów w zamian za pozosta-
enie kapitałowi przemysłowemu Pół-
cy wolnej ręki w stosunku do ro-
tników i drobnej burżuazji. Od te-
czasu reakcyjność cechuje w spo-
b trwały całą politykę wewnętrz-
i zagraniczną USA. Przegrupo-
anie sił spowodowane przez układ
ło wstępem do szybkiego rozrostu
wstających w tym czasie trustów i
onopoli. Dodajmy tu w nawiasie, że
takiego wyniku niemało przyczyniła
drobna burżuazja miast i wsi, która,
ma niezdolna do ujęcia władzy w rę-
popierała najpierw wielki kapitał
zeciw feodałom, później zaś — poko-
nych feodałów przeciwko wielkiemu
apitałowi. Siłą rzeczy narzucają się
nalogie z rolą, jaką odegrała drobna
urżuazja niemiecka w stosunku do hi-
eryzmu — narzędzia monopoli nie-
ieckich.

W tym samym roku 1876, który zna-
ył sprzysiężenie sił reakcji prze-
w rosnącej dynamice świata pracy,
rezydent Grant wypowiedział zdanie,
towane nieraz jako ilustracja tenden-
izolacjonistycznych wielkiego kapi-
łu. Na początku swej prezydentury
rant wymusił na państewku San Do-
ingo „traktat przyjaźni", odrzucony
dnak przez senat USA. „Gdyby ten
aktat został ratyfikowany — ubolewał
7 lat później Grant — cała ziemia
San Domingo byłaby dziś własnością
apitalistów amerykańskich". Znany
storyk C.A. Beard przytaczając te sło-
wa stwierdza z całą szczerością, że ka-
pitaliści amerykańscy nie chcieli wów-
czas eksploatować San Domingo, albo-
wiem we własnym kraju mieli równie
korzystne możliwości: kapitały zainwe-
stowane w kolejnictwie i innych przed-
siębiorstwach dawały w tym czasie po
15 i więcej procent dywidendy.

Dopiero w dwadzieścia lat później
N i e c h y b n e p r z e z n a c z e n i e
skłoniło ukształtowany już ostatecznie
monopolistyczny imperializm amery-
kański do wyruszenia na podbój Ame-
ryki Łacińskiej, Filipin i innych wysp
Pacyfiku oraz azjatyckiego Dalekiego
Wschodu.

Płonący dom sąsiada

Jeszcze w pierwszej połowie XIX
wieku Stany Zjednoczone arogowały
sobie „prawo i obowiązek" interweniowania w wypadku, gdy „dom sąsiada płonie" (*„the neighbor's burning house" principle*). Zasada ta od początku okazała się niezmiernie wygodna, ponieważ o tym, kto jest sąsiadem i czy dom jego płonie, orzekały czynniki rządzące Waszyngtonu. Metoda została znacznie ulepszona na przełomie wieku, kiedy dla ułatwienia sobie akcji ratowniczej Amerykanie przystąpili sami do podkładania ognia u sąsiadów, gorliwie następnie ratowanych.

Celował w tym ratownictwie prezydent Teodor Roosevelt, żarliwy poza tym wyznawca stosowania żelaznego drąga, zwanego przezeń „wielką pałką" — *Big Stick*. Klasycznym przykładem były losy małej republiki murzyńskiej — Haiti. Po sprowokowaniu w Haiti rewolucji Roosevelt kazał wywieźć w celu „zabezpieczenia" cały zapas złota banku państwowego. USA płaciły od tego „depozytu" bardzo niskie odsetki, ale to samo złoto „pożyczyły" rządowi

Haiti na wysoki procent. W kilkanaście lat później inny „dobroczyńca" ludzkości, Wilson, wysłał do Haiti piechotę marynarki USA, która zmasakrowała ludność stolicy Port-au-Prince, po czym, pod groźbą karabinów, zmuszono parlament do ratyfikowania zupełnie rujnującego „traktatu przyjaźni" ze Stanami Zjednoczonymi. Od tego czasu grabienie małej republiki nie ustaje. Wilson, który głosił „wojnę dla skończenia z wojną" *(war to finish war)*, niezwłocznie po jej zakończeniu przystąpił do „akcji porządkowej" w Meksyku. Nazwano to potocznie „prywatną wojną prezydenta". Wilson nie chciał zwracać się do Kongresu, mającego wyłączne prawo wypowiadania wojny, i — podobnie jak Truman na Korei — wolał na własną rękę „gasić pożar" zręcznie przez siebie samego wzniecony.

Innym osiągnięciem Teodora Roosevelta był kanał Panamski. Obszar dzisiejszej Panamy należał do Kolumbii, która jednak nie godziła się na niekorzystne warunki USA. Roosevelt wobec tego kazał zorganizować na potrzebne mu terytorium „rewolucję", ogłosić „samodzielną" republikę Panamy i na jej czele postawić w charakterze prezydenta swoją marionetkę, Manuela Guerrero. Nie potrzeba dodawać, że Stany otrzymały wszelkie koncesje, jakich chciały. Z prywatnej korespondencji Teodora Roosevelta wynika, że w tym samym mniej więcej czasie skłaniał on rząd japoński do rozpętania wojny z Rosją i do podboju Korei w przekonaniu, iż kasztany wydobyte z tego ognia dostaną się Stanom Zjednoczonym.

Przejdźmy do naszych dni. W Niemczech zachodnich i Japonii, we Francji i Boliwii, na Filipinach i w Grecji Stany Zjednoczone sprawują nieomal wszechwładne rządy. Dyktują skład gabinetów, politykę społeczną i gospodarczą, walutową i handlową. Przeważnie nie trudzą się organizowaniem podpaleń w domu sąsiada, lecz „ratują" go nie oglądając się na preteksty. Pojęcie „sąsiada" uległo przy tym znacznemu rozszerzeniu: bazy wojskowe USA rozsiane są po całym świecie, ktokolwiek zaś ma nieszczęście sąsiadować z jedną z tych baz uważany jest za sąsiada Stanów. Dla uplastycznienia metod stosowanych przez USA w rządzeniu sąsiadami przytoczymy zdanie zaczerpnięte z organu wielkiej finansjery, *U.S. News* (czerwiec 1951): „Dostawy cyny dla USA z Boliwii są dość zabezpieczone — o tyle, o ile może je zagwarantować armia boliwijska, która, rządząc obecnie tym krajem, zabroniła strajków i wprowadziła stan wojenny".

Władztwo *Wall Street* nad światem kapitalistycznym przynosi odpowiednie owoce. Chwalcy „rozkwitającego" przemysłu brazylijskiego podkreślają, że w latach 1946—47, w stanie Sao Paolo dywidendy w przemyśle dały 34%, a w niektórych wypadkach sięgały nawet 100%. Zyski Banco de Chile wynosiły 50% kapitału, zyski innych spółek jeszcze więcej. W Urugwaju dywidendy przedsiębiorstw chicagoskiej wytwórni konserw Swifta przekroczyły 100%. Równocześnie zaś płace robotnicze w Ameryce Łacińskiej wahały się w tym czasie w granicach od 1/4 do 3/5 minimum kosztów utrzymania, przy czym przeciętna zdecydowanie trzyma się w pobliżu dolnej granicy i ma tendencję zniżkową. Toteż w rezultacie górnik boliwijski na zakup zwykłego, gotowego ubrania musiałby wydać równowartość 500 (pięciuset!) dniówek roboczych; w Peru 95% robotników młodocianych choruje na gruźlicę, a w Chile w niektórych miejscowościach liczba ta obejmuje 100% ogółu robotników; w Brazylii umiera na malarię 80.000 osób rocznie, jakkolwiek wystarczyłby jednorazowy wydatek 10 centów amerykań-

ich na głowę ludności dla całkowite- wytępienia tej choroby; w Meksy- 60% ludności wiejskiej i małych iast umiera bez pomocy lekarskiej, w Rio de Janeiro połowa robotników niera przed osiągnięciem 29 roku ży- a; na Kubie przeciętna spożycia w ro- zinie robotniczej wynosi 914 kalorii, jest to liczba typowa dla całej Ame- ki Południowej i Środkowej; na 150 ilionów ludności tego kontynentu po- wa nie umie czytać i pisać; śmier- lność wynosi 23 na tysiąc w stosun- u rocznym, a przeciętna życia nie rzekracza 32 lat.

Takie są wyniki panowania Stanów jednoczonych nad Ameryką Łacińską. ropaganda amerykańska szermuje prawdzie przy każdej okazji tzw. unktem 4. programu Trumana, prze- idującym „pomoc" dla krajów zaco- nych; warto jednak przypomnieć oświadczenie Achesona złożone na ten te- at w senacie USA 30 marca 1950: Zdaje się, że dość powszechnie panuje ogląd, iż dla tych zacofanych w roz- oju ludów będziemy budować fabry- , kopalnie i inne warsztaty pracy. Jest nieprawda". Przynajmniej wyraźnie szczerze.

Doktryna Trumana i plan Marshalla - to współczesne rozwinięcie zasady płonącego domu". Zarówno doktryna ak i plan są narzędziem nie przebie- ającej w środkach interwencji w we- nętrzne sprawy państw, które znala- y się w orbicie wpływów *Wall Street*. Wyniki znane są powszechnie: stały u- sk i ferment społeczny, stały ucisk ospodarczy, stały deficyt dolarowy. aństwa zmarshallizowane muszą pod aciskiem Stanów wydawać na zbroje- ia sumy dwakroć wyższe od sta- ek marshallowskiej „pomocy". Defi- t dolarowy utrwala hegemonię *Wall treet* w świecie kapitalistycznym, a wnocześnie przyspiesza wydatnie roz- kład gospodarczy tego świata. Wyjścia z błędnego koła imperializm amerykański szuka na drogach wojny.

Łabędzi śpiew ulicy Wałowej

W roku 1641 Indianie oblegali kolonistów holenderskich broniących się spoza palisady i wału biegnącego w poprzek południowego cypla półwyspu Manhattan. Na tym miejscu powstała z czasem ulica, nazwana — ze względu na ślady umocnień — ulicą Wałową — *Wall Street*. Takie były początki dzisiejszej głównej warowni imperialistycznego kapitału, podpalaczy świata rojących o podboju kuli ziemskiej.

William Z. Foster, przewodniczący Komunistycznej Partii Ameryki, a zarazem znakomity historyk i socjolog, wskazuje cztery zasadnicze czynniki, biorące swój początek w powszechnym kryzysie kapitalizmu, a leżące u źródeł dążeń *Wall Street* do hegemonii światowej: dwa z nich są natury gospodarczej, dwa zaś — politycznej. Te ostatnie — to przerażenie spowodowane załamywaniem się ustrojów kapitalistycznych w różnych punktach globu i związane z tym przeświadczenie, że rozwój socjalizmu przyspiesza proces rozpadu. Czynniki gospodarcze — to miażdżąca przewaga Stanów Zjednoczonych, których produkcja bieżąca jest dwakroć wyższa od produkcji wszystkich pozostałych krajów kapitalistycznych razem wziętych oraz akcentująca się coraz jaskrawiej sprzeczność pomiędzy rosnącymi możliwościami produkcji a kurczeniem się rynków zbytu. Wyłania się widmo kryzysu gospodarczego, z którego USA niejednokrotnie wydobyły się dzięki wojnie i przed którym także teraz przy pomocy wojny chcą się uchronić.

„Przemysł zbrojeniowy jest odtąd największym przemysłem kraju i otrzyma (w r. 1951) od Skarbu Państwa 73,6 bi-

liona dolarów. Wobec tego można się spodziewać uniknięcia deflacji, recesji i depresji" — stwierdza cytowany już organ finansjery *U.S. News* w numerze z 8.VI.51. Krótkie to zdanie jest odzwierciedleniem wszystkich dążeń, pragnień i rachub monopoli amerykańskich. Nakręcanie koniunktury wojennej jest programem oficjalnym rządu i wielkich koncernów. Frazeologia pacyfistyczna spowija ten program tylko na użytek „ulicy". W publikacjach o nakładzie ograniczonym, w wydawnictwach dla „swoich", dla „wtajemniczonych", dla Wielkiej Kapituły kapitalizmu — mówi się otwarcie i bez obsłonek.

Przemysł zbrojeniowy jest nie tylko największym obecnie przemysłem USA, ale i najbardziej wpływowym i najbardziej pasożytniczym. Daje największe zyski bez żadnych ze strony wielkiego kapitału wkładów, gdyż cała jego rozbudowa odbywa się za pieniądze skarbowe, pieniądze podatnika. Amerykańska prasa finansowa jest najżarliwszym heroldem zbrojeń. Rzecz zrozumiała. Prasa ta przyznaje z całą szczerością, jaką jest winna „dostojnym" swym abonentom, że „likwidacja „małej wojny" na Korei mogłaby pociągnąć za sobą taki przypływ nastrojów pokojowych w Stanach, że Kongres stanąłby w obliczu zupełnej niemożności uchwalania dalszych kredytów wojennych".

A kredyty te są niemałe. Budżet zwyczajnych wydatków wojskowych na rok 1950 był trzydzieści razy wyższy od budżetu na rok 1938. Od chwili rozpoczęcia agresji amerykańskiej na Korei budżet militarny USA wzrasta w postępie geometrycznym nieomal co miesiąc. Zimna wojna kosztowała okrągło 100 miliardów dolarów. Wojna gorąca wydatki te już teraz więcej niż podwoiła.

I już obecnie staje się rzeczą coraz bardziej widoczną, że koniunktura wojenna nie likwiduje sprzeczności wiodących do kryzysu, lecz je tylko częściowo odsuwa. Historia przecież nie powtarza się nigdy w sposób identyczny i Synhedrion wielkich monopoli zdaje sobie z tego sprawę. Jeszcze raz powołajmy się na *U.S. News* (25.V.51): „Wielkie zakłady, zatrudniające powyżej stu robotników, pracują z pełną niemal wydajnością. Zakłady średnie — 75-100 robotników — zużytkowują trzy czwarte swych możliwości. Warsztaty mniejsze — 25-75 robotników — zatrudnione są w połowie. Drobne warsztaty — poniżej 25 robotników — zatrudnione są w jeszcze miejszym stopniu. Nie zdaje się — a przyznaje to i szef ESA*) Eric Johnston — by rząd mógł jednocześnie sprostać programowi zbrojeń i zapobiec inflacji... Roboty budowlane, produkcja aparatów radiowych, samochodów, narzędzi gospodarczych spadnie w najbliższym czasie na rzecz wzrostu produkcji wojennej... Wojna, pobór, listy zabitych i rannych — wszystko to może stać się niebezpieczne politycznie: wojna może stać się niepopularna..."

U.S. News mylą się, ale i mają rację. Mylą się twierdząc, że wojna może się stać niepopularna, gdyż popularna nigdy nie była. Popularna była i jest tylko w pojęciach i wypowiedziach płatnej propagandy amerykańskiej — prasy, radio, etc. W szerokich zaś warstwach społeczeństwa Stanów Zjednoczonych wojna, która tym razem nie zlikwidowała bezrobocia, natomiast — choć toczy się w skali ograniczonej — wypaczyła już strukturę ekonomiki USA, wywołała inflację, coraz gwałtowniejszy wzrost cen i spadek płac realnych — napotyka na coraz silniejsze sprzeciwy. *U.S. News* mają więc rację wyrażając obawę, że wojna może się stać niebezpieczna politycznie...

---

*) *Economic Stabilization Administration* — Urząd Stabilizacji Gospodarczej.

Jednakże wcale stąd nie wynika, by mperializm amerykański, po przekoaniu się, że wojna nie jest panaceum a śmiertelną chorobę przeżerającą oranizm kapitalizmu; że nie przedłuży au życia, lecz wprost przeciwnie, nieybnie mu je skróci; że z punktu wizenia jego własnych interesów rozętanie wojny jest zupełnym absurem — wcale stąd nie wynika, że po wierdzeniu niewątpliwości tych oczyistych pewników imperializm amerykański sam zrezygnuje ze swych plaów podpalania świata. Albowiem równie niewątpliwym pewnikiem jest i to, e im bardziej beznadziejna staje się ytuacja reakcyjnego, imperialistycznego kapitalizmu, tym bardziej rozpaczliwe i bezsensowne stają się jego poczyania.

Łabędzia pieśń ginącego świata kapitalistycznego rozbrzmiewa serią okrzyków wojennych. Od zwartości obozu pokoju, od potęgi oporu stawianego ciemnym mocom wojny przez siły pokoju i demokracji wewnątrz USA i na całym świecie, zależy zdławienie tych okrzyków, zniweczenie planów, ugaszenie zarzewia zbrodni.

Julian Stawiński

ERRATA

W numerze 11 Twórczości, na str. 7 błędnie wydrukowano tytuł artykułu J. Stalina z 7 listopada 1923 r. Tytuł właściwy powinien brzmieć Rewolucja Październikowa a kwestia warstw pośrednich.

KSIĄŻKI NADESŁANE

PROZA

Anna Antonowska — Wielki Mourawi. Tom I, Z ros. tłumaczyli: część I — Maria Mongirdowa, cześć II — Mikołaj Dąb. Teksty archaizowane oprac. dr Stanisław Skorupka. Ilustr. Maja Berezowska. „Czytelnik", Warszawa. 1951. Str. 527 i 4 nlb.

Louis Aragon — Komuniści. Listopad 1939 — marzec 1940. Przekł. z franc. Julii Hartwig. Przepisy pochodzą od redakcji. „Czytelnik". Warszawa, 1951. Str. 307 i 1 nlb.

Muchtar Auezow — Syn Kazachstanu (Abaj). Powieść. Księga II. Oryg. w jęz. kazachskim. Przekł. z ros. Stefana Pogorzelskiego. Przekł. wierszy Jerzego Litwiniuka. Słowniczek opracował Edmund Bora. „Czytelnik". Warszawa, 1951. Str. 395 i 3 nlb.

Johannes R. Becher — Pożegnanie. Tragedii niemieckiej część pierwsza 1900 — 1914. Powieść. Przekł. autoryz. Juliusza Saloniego. Przekł. wierszy Artura Maryi Swinarskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 459 i 1 nlb.

Alena Bernaskowa — Droga otwarta. Powieść. Przekł. z czesk. Jadwigi Bułakowskiej. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 309 i 3 nlb.

Marian Brandys — Początek opowieści. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 351 i 1 nlb.

Willi Bredel — Milcząca wieś. Opowiadania. Przekł. autoryz. Juliana Popławskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 212 i 2 nlb.

Jozsef Darvas — Czarny chleb. Przekł. z węg. Camilli Mondral. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 113 i 3 nlb.

Klara Feher — Pierwszy tydzień. Przekł. z węg. Camilli Mondral. „Czytelnik". Warszawa, 1951. Str. 133 i 3 nlb.

Walentyn Kostylew — Iwan Groźny. Powieść. Księga III — W newskiej twierdzy. Przekł. Czesława Jastrzębiec - Kozłowskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 443 i 1 nlb.

Anna Kowalska — Wielka próba. Państwowy Instutut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 162 i 1 nlb.

Józef Ignacy Kraszewski — Brühl. Opowiadanie historyczne. Oprac. Józef Feldman. Wyd. II, przejrzane. Biblioteka Narodowa Nr 114, Seria I. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. XXIX, 368 i 2 nlb.

Aleksander Kuprin — Utwory wybrane, tom II. Przekł. z ros. Ziemowita Fedeckiego, Jerzego Litwiniuka, Haliny Rogalowej, Kazimierza Truchanowskiego, Walentyny Założny. Cykl: Złota Seria Literatury Rosyjskiej. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 381 i 3 nlb.

Józef Kuśmierek — Uwaga! Człowiek. „Czytelnik" Warszawa, 1951. Str. 198 i 2 nlb.

Borys Leonidow — Sala nr 3. Przekł. z ros. Jacka Frühlinga. Przekł. cytatów z Bloka Stanisława Średnickiego. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 126 i 2 nlb.

Ksenia Lwowa — Leśny obszar. Przekł. z ros. Włodzimierza Lisowskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 80 i 3 nlb.

Oskar Malis — Słońce już wyjrzało. „Czytelnik". Warszawa, 1951. Str. 277 i 2 nlb.

Gabriel Musrepow — Żołnierz z Kazachstanu. Oryginał w jęz. kazachskim. Tłum. z przekł. ros. Zygmunt i Maria Robakiewiczowie. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 321 i 3 nlb.

Igor Newerly — Chłopiec z Salskich Stepów. Wyd. III. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 204 i 5 nlb.

Julian Niemcewicz — Dwaj panowie Sieciechowie. Powieść. Wstępem i objaśnieniami zaopatrzył dr Jan Dihm. Biblioteka Narodowa Nr 135, Seria I. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1950. Str. XLII, 52 i 2 nlb.

A. Pareja Diez - Canseco — La Beldaca. Powieść. Przekł. z hiszp. Heleny Bychawskiej. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 274 i 1 nlb.

Aleksander Radiszczew — Podróż z Petersburga do Moskwy. (Wybór). Przekł. Seweryna Pollaka. Oprac. i wstęp Wiktora Jakubowskiego. Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych, tom 57, opracowany w Instytucie Badań Literackich. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. XXXV, 131, 3 nlb i 1 portret.

Romain Rolland — Dusza zaczarowana, tom II — Lato. Przekł. autoryz. Feliksa Konopki. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 422 i 1 nlb.

— Piotr i Łucja. Z szesnastu drzeworytami Fransa Masereela. Przekł. Marii Zabojeckiej i Henryka Bezmaskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 166 i 1 nlb.

Wadim Sobko — Rękojmia pokoju. Przekł. autoryz. Jerzego Wasilewskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 414 i 1 nlb.

Lu Sün — Opowiadania. Przekł. z chińsk. Olgierda Wojtasiewicza, z ros. Wandy Kindler. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 177 i 3 nlb.

Stanisław Wygodzki — Jelonek i syn. Powieść. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 266 i 1 nlb.

rnold Zweig — Topór z Wandsbek. Powieść. Część I. Przekł. autoryz. z niem. Edyty Sicińskiej. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 349 i 2 nlb.

oanna Żwirska — Światło. Opowiadania. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 102 i 2 nlb.

OEZJA I DRAMAT

Guzdiew i O Forsz — Dzieciństwo Gorkiego. Sztuka w 10 odsłonach. Przekł z ros. Ziemowita Fedeckiego i Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 99 i 1 nlb.

yula Hay — Mienie. Dramat w 14 obrazach. Oryg. w jęz. węg. Przekł. z niem. Izabelli Czermakowej. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 127 i 1 nlb.

Ienryk Heine — Poezje wybrane. Przekł. Stanisława Łempickiego. Przygotowała do druku Jadwiga Gamska - Łempicka. Tekst objaśnił dr Zdzisław Zygulski. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. 234.

oman Hussarski i Stanisław Lem — Jacht „Paradise". Sztuka w 4 aktach. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 81 i 3 nlb.

arosław Iwaszkiewicz — Odbudowa Błędomierza. Sztuka w 3 aktach. „Czytelnik", Warszawa. 1951. Str. 101 i 3 nlb.

ieczysław Jastrun — Wiersze dawne i nowe. Wybór. „Czytelnik". Warszawa. 1951. Str. 277 i 2 nlb. i 1 fotografia.

rena Krzywicka — Dr Anna Leśna. Sztuka w 3 aktach. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 96 i 2 nlb.

ndrzej Mandalian — Dzisiaj. Rysunki Tadeusza Kozłowskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 34 i 3 nlb.

Iolier — Świętoszek. (Tartufe). Komedia w pięciu aktach. Przekł. z franc. i oprac. Tadeusza Boya - Żeleńskiego. Wyd. II, przejrzane. Biblioteka Narodowa Nr 40, Seria II. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. XXXII i 136 i 4 nlb.

lfred Musset — Kaprysy Marianny. Komedia w 2 aktach. Przekł. Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 63 i 1 nlb.

andor Petöfi — Wybór poezji. Wybrał, opracował, wstępem i przypisami opatrzył Juliusz W. Gomulicki. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 267, 1 nlb i 1 portret.

. M. Platus — Żołnierz samochwał (Miles gloriosus). Przekł. i oprac. prof. dr Gustawa Przychockiego. Wyd. II, zmienione. Przygotował do druku dr Władysław Strzelecki prof. Uniw. Wrocł. Biblioteka Narodowa Nr 53, Seria II. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. LIX, 152 i 3 nlb.

T. M. Platus — Kupiec (Mercator). Przekł. i oprac. prof. dr Gustawa Przychockiego. Wyd. II, zmienione. Przygotował do druku dr Władysław Strzelecki prof. Uniw. Wrocł. Biblioteka Narodowa Nr 46, Seria II. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Wrocław, 1951. str. XLI, 115 i 1 nlb.

Jan Rojewski — Tysiąc walecznych. Sztuka w 3 aktach. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 94 i 3 nlb.

Michał Rusinek — Pawilon pod sosnami. Sztuka w 3 aktach. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 73 i 3 nlb.

Arnold Słucki — Słońce nasz towarzysz. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 38 i 2 nlb.

Janusz Warmiński — Zwycięstwo. Sztuka w 4 aktach. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 119 i 2 nlb.

Andrzej Wydrzyński — Śmierć Hamleta. Sztuka współczesna w 3 aktach. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 105 i 3 nlb.

Stefan Żeromski — Grzech. Dramat w 4 aktach. W opracowaniu Leona Kruczkowskiego. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 81, 2 nlb. i 8 fotografii.

STUDIA HISTORYCZNO — LITERACKIE (IBL)

Jan Baculewski i Janina Kulczycka — Historiografia polskiego pozytywizmu. Osobne odbicie ze Studiów historyczno - literackich, tom III — Pozytywizm cz. II. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. 88.

Jan Zygmunt Jakubowski — Z dziejów naturalizmu w Polsce. Instytut Badań Literackich. Studia historyczno - literackie pod red. Jana Kotta, tom V. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. 140.

Wacław Kubacki — Palmira i Babilon. Instytut Badań Literackich. Studia historyczno - literackie pod red. Jana Kotta, tom VII. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Wrocław, 1951. Str. 80.

Jan Nowakowski — Spór o Zolę w Polsce. Z dziejów pozywistycznej recepcji naturalizmu francuskiego. Instytut Badań Literackich. Studia historyczno - literackie pod red. Jana Kotta, tom VIII. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. 74.

Pozytywizm, część II. Opracowali: B. Michałowska, R. Szwarcówna, A. Kamieńska, S. Frybes, J. Garycka, J. Baculewski i J. Kulczycka. Instytut Badań Literackich. Studia historyczno - literackie pod red. Jana Kotta, tom III. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. 456.

Stefan Żółkiewski — Badania nad literaturą polską — Dorobek, stan i potrzeby. Z po-

wodu I Kongresu Nauki Polskiej. Z prac Instytutu Badań Literackich. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 102 i 1 nlb.

ESSAY I KRYTYKA

D. D. Błagoj — Aleksander Puszkin. Przekł. autoryz. Seweryna Pollaka. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 153 i 1 nlb.

Roger Garaudy — Gramatyka wolności. Przekł. z franc. Haliny Suwały. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 159 i 2 nlb.

Melania Kierczyńska — Spór o realizm. Szkice krytyczne. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 193 i 3 nlb.

Wacław Nałkowski — Pisma społeczne. Wybór. Wybrał i opracował Stefan Żółkiewski. Z prac Instytutu Badań Literackich. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 476 i 2 nlb.

LITERATURA NAUKOWA

Józef Grycz — Bibliotekarstwo praktyczne w zarysie. Wyd. II, przerobione. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. 290 i 2 nlb.

Prace polonistyczne. Pod red. Stefanii Skwarczyńskiej, Anieli Kowalskiej i Jana Trzynadłowskiego. Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza, oddział w Łodzi, seria VIII 1950. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Wrocław — Łódź, 1951. Str. 335.

Juliusz Starzyński — Badania nad sztuką. — Dorobek, stan i potrzeby. Z powodu I Kongresu Nauki Polskiej. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 105 i 2 nlb.

Stefan Vrtel — Wierczyński — Teoria bibliografii w zarysie. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. X i 278.

Karyna Wierzbicka — Źródła do historii teatru warszawskiego od roku 1762 do roku 1833. Część I. — Czasy stanisławowskie. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. VIII i 201.

HISTORIA I PUBLICYSTYKA

Zygmunt Batowski — Malarki Stanisława Augusta. Przedmowa prof. Stanisława Lorentza. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. VII, 71, 1 nlb. i 18 reprodukcji obrazów.

Hipolit Grynwaser — Pisma. Tom I — Kodeks Napoleona w Polsce. Demokracja szlachecka 1795 — 1831, str. 240; tom III — Sprawa włościańska w Królestwie Polskim w latach 1861 - 62 w świetle źródeł archiwalnych, str. 236. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951.

R. H. Hilton i H. Fagan — Powstanie angielskie 1381 r. Przekł. autoryz. Jerzego Stawińskiego. Przekł. wierszy Jana Baranowicza. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 221 i 3 nlb.

Jędrzej Kitowicz — Opis obyczajów za panowania Augusta III. Oprac. Romana Pollaka, prof. Uniw. Poznańskiego. Wyd. II, zmienione. Tekst po raz pierwszy wydany w całości. Biblioteka Narodowa Nr 88, seria I. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. LXXVII i 613.

W. Mawrodin — Piotr Pierwszy. Przekł. autoryzowany Jadwigi Dmochowskiej. Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa, 1951. Str. 307 i 1 nlb.

Rzeczypospolita Krakowska 1815 — 1846. Wybór źródeł. Wstępem i objaśnieniami zaopatrzyła dr Janina Bieniarzówna, st. asyst. Uniw. Jagiell. Biblioteka Narodowa Nr 138. Seria I. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. LV. 483 i 1 nlb.

M. M. Smirin — Reformacja ludowa Tomasza Münzera i wielka wojna chłopska. Przekł. autoryz. Aleksandra Neymana. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Część I — str. 320, 1 nlb. i 1 portret; część II — str. 358, 1 nlb. i 1 portret.

Wiosna Ludów. Polscy rewolucjoniści — sylwety. W opracowaniu: Witolda Kuli, Witolda Łukaszewicza, Franciszka Paprockiego, Hanny Pomorskiej i Anny Rynkowskiej. Cykl: W stulecie Wiosny Ludów 1848 — 1948. Wydawnictwo zbiorowe pod red. Natalii Gąsiorowskiej. Tom IV. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1951. Str. 394 i 2 nlb.

BIBLIOTEKA SZPILEK

Stefania Grodzieńska — Plagi i plażki. Ilustr. Charlie. Biblioteka Szpilek, 16. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 129 i 3 nlb.

LITERATURA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Stanisław Aleksandrzak — Wielki Plan 6-letni. Ilustr. K. M. Sopoćko. Wyd. I. Biblioteka Harcerza. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951.

Michał Biriukow — Czajka. Przekł. z ros. Jana Kruszewskiego. Ilustr. M. Chudiaka, przedruk. z wyd. ukraińskiego „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 479 i 2 nlb.

Helena Boguszewska — Dzieci znikąd. Ilustr. Mieczysława Kościelniaka. Wyd. XI. Biblioteka Harcerza. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 79 i 1 nlb.

Brzechwa — Siedmiomilowe buty. Widowisko w 17 scenach. Muzyka Zbigniewa Turskiego. Ilustr. M. Orłowskiej. Wyd. I. Teatr Szkolny. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 94.

edzic i diabeł. (Bajka łotewska). Przekł. z ros. Zofii Łapickiej. Ilustr. Z. Piotrowskiego. Biblioteka dla dzieci. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 15 i 1 nlb.

Ignatow — Bracia bohaterowie. Wyd. I. Przekł. z ros. Natalii Gałczyńskiej. Ilustr. M. Kościelniaka. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 134, 2 nlb. i 1 wykres.

cenizacje, tom III. Pod red. Marii Górskiej. Tłumaczenie z języka rosyjskiego. Wyd. I. Teatr Szkolny. Biblioteka Harcerza. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 404 i 1 nlb.

Kassil i M. Polanowski — Ulica młodszego syna. Książka wyróżniona Nagrodą Stalinowską. Biblioteka Harcerza. Przekł. z ros. Zofii Terleckiej. Ilustr. St. Rozwadowski. Wyd. I. Biblioteka Harcerza. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str .583 i 2 nlb. bez zdjęć i ilustracji.

ria Kędziorzyna — Wędrówki Szyszkowego Dziadka. Ilustr. Anny Seifertowej. Wyd. I. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 69.

ria Korewa — Atahelpa, pierwszy wódz Indian. Ilustr. St. Rozwadowski. Wyd. III. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 86 i 1 nlb.

Kozaczenko — Świadectwo dojrzałości. Oryg. w jęz. ukraińskim. Przekł. z ros. Nadziei Druckiej. Ilustr. J. Zarzyckiego. Wyd. I. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 156 i 2 nlb.

ichał Krajewski — Miejsce stałego zamieszkania. Część I. Ilustr. Juliusza Krajewskiego. Wyd. I. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 180 i 2 nlb.

Krait — Droga do morza. Przekł. z ros. Zofii Petersowej. Ilustr. N. Koczergina przedruk. z oryg. ros. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 86 i 2 nlb.

icyna Krzemieniecka — Jak to nad Bałtykiem bywa. Wyd. II. Ilustr. Jerzego Karolaka. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 30 i 1 nlb.

Kurek — Szkoła sześciolatki. Cykl: Młodzież w walce o Plan Sześcioletni. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 79.

Mamin-Sybiriak — Jemielja myśliwy. Przekł. z ros. St. Michałowskiego. Ilustr. A. Szigajewa, przedruk. z wyd. ros. Wyd. I. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 31 i 1 nlb.

Marszak — Wielkolud. Przekł. Janusza Minkiewicza. Ilustr. Ha-Ga. „Czytelnik", Warszawa, 1951.

Henryk Orłoś — Grzybobranie. Wyd. II, poprawione i uzupełnione. Fotografie wykonane przez autora, pochodzą ze zbiorów Instytutu Badawczego Leśnictwa. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 50 i 2 nlb.

Eliza Orzeszkowa — Dziurdziowie. A... B... C... Inscenizacja Jadwigi Chamiec. Wyd. I. Teatr Szkolny. Biblioteka Harcerska. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 141 i 1 nlb.

Halina Rudnicka — Płomień gorejący. Ilustr. Mieczysława Kościelniaka. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 216 i 3 nlb.

Olga Siemaszko — Wiosna. 11 obrazków. „Nasza Księgarnia", Warszawa.

I. Sokołow - Mikitow — Przez góry i lasy. Przekł. z ros. Zygmunta Wereszczyńskiego. Ilustr. E. Czaruszyna, przedruk. z wyd. ros. Wyd. I. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 355 i 1 nlb.

I. Turgieniew — Przepiórka. Przekł. z ros. M. Domańskiego. Ilustr. Z. Piotrowskiego. Biblioteczka dla dzieci. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 14 i 1 nlb.

F. Wigdorowa — Moja klasa. Przekł. z ros. A. Wołowskiego. Ilustr. B. Winokurowa, przedruk. z wyd. ros. Wyd. I. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 336 i 3 nlb.

Zofia Wilska — Ogródek na działce. Ilustr. J. Molgi. Biblioteka Harcerza. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1951. Str. 58 i 1 nlb.

PAMIĘTNIKI, BIOGRAFIE, LISTY, WSPOMNIENIA

Arturo Colombi — W ręku wroga. Przekł. z włosk. Janusza Zborsztyna. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 157 i 3 nlb.

Henryk Kamieński — Pamiętniki i wizerunki. Z rękopisów przygotowała do druku i przypisami opatrzyła Irmina Śliwińska. Wstęp Witolda Kuli. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. LVI, XX, 323, 1 nlb. i 2 fotografie.

Giovanni Germanetto — Pamiętnik fryzjera. Przekł. z włosk. Marii Rzepińskiej. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 266 i 2 nlb.

REPORTAŻE

Ryszard Konarski — Obrazki węgierskie. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 150 i 4 nlb.

Kazimierz Koźniewski — Siła lotu. „Czytelnik". Warszawa, 1951. Str. 61 i 3 nlb.

Jan Neuls — Bitwa o węgiel. Przekł. z czesk. Krystyny Żebrowskiej. Słowniczek terminów górniczych opracowała Irena Bednarek. „Czytelnik", Warszawa, 1951. Str. 255 i 1 nlb.

Edmund Jan Osmańczyk — Notatki korespondenta. „Czytelnik". Warszawa, 1951. Str. 111 i 2 nlb.

Jacek Wołowski — Z dziennika podróży do Związku Radzieckiego. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 94 i 1 nlb.

SPIS TREŚCI

Str.

Józef Stalin: List do tow. Demiana Biednego. W odpowiedzi Bill-Biełocerkowskiemu. Do tow. Demiana Biednego 3
NARADA POŚWIĘCONA TWÓRCZOŚCI ARTYSTYCZNEJ 27.X — 28.X: Z przemówienia min. Jakuba Bermana. Z przemówienia Pawła Hoffmana. Z przemówienia min. Włodzimierza Sokorskiego 10
Seweryn Pollak: Na śmierć Wernera Tiegel. Pottier. Wezwanie 30
Wiktor Woroszylski: Stasia Szarlińska na budowie Berlina. Thälmann 33
Roman Bratny: Rozstanie z towarzyszem Borowskim . . . 36
Jan Huszcza: Sady. Niedzielny wieczór w miasteczku. Wierszyk żartobliwy 37
Igor Newerly: Pamiętnik z Celulozy 39
Julian Przyboś: Giessbach. Rzut pionowy 79
Jan Szeląg: Kraszewski satyrykiem 81
Michał Csokonai: Wieczór — przeł. Aleksander Rymkiewicz 88
Wasyli Żukowski: Pieśniarz w obozie rosyjskich bojowników — przeł. Anatol Stern 91
Konrad Rylejew: Na śmierć Byrona. Do Biestużewa. Tyś zapragnęła... — przeł. Zbigniew Bieńkowski 96
Z SEKCJI ZLP: Adam Mauersberger: Pisarze polscy w walce o nowy słownik 100
Z ŻYCIA NAUKI: Kazimierz Ostrowski: Rozwój poglądów na powstawanie życia na ziemi 105
WŚRÓD KSIĄŻEK: Leszek Herdegen — Jerzy Putrament „Wiersze wybrane"; Hieronim Michalski — Tadeusz Kubiak „Ballady i pieśni"; Andrzej Lam — Stefan Żółkiewski „Stare i nowe literaturoznawstwo"; Witold Chwalewik — William Szekspir „Otello", „Król Lir", „Makbet"; Ludwik Grzeniewski — Eiwind Bolstad „Spekulant" 112
NA WIDNOKRĘGU: Krzysztof Wolicki; Józef Spinc; Marian Podkowiński; Julian Stawiński . 134
KSIĄŻKI NADESŁANE 156

Wydaje Instytut Prasy „Czytelnik"
Redaktor Naczelny: Adam Ważyk
Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 734-65, centr. 7-52-50/52, wewnętrzny 18
Administracja: Wiejska 12, tel. 7-52-50
Prenumerata i kolportaż: PPK „Ruch" Oddz. w W-wie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25
Wpłat na prenumeratę można dokonywać Pl. 3 Krzyży 16. Chmielna 25.
Cena zeszytu zł 3.60. Prenumerata kwartalna zł 10.80, półroczna — zł 21.60.
Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

D.S.I. 15